Wiera Iwanowna Krzyżanowska

Pięcioksiąg ezotoryczny
dziewięciotomowy

MAGOWIE



wydane przez

POWRÓT DO NATURY
Katolickie publikacje

80-345 Gdańsk-Oliwa ul. Pomorska 86/d
tel/fax. (058) 556-33-32

M A G O W I E

Rozdział pierwszy

Są miejscowości, które stworzyła natura jak gdyby w chwili smutku. Owiewa je jakaś tęsknota i to dziwne, niewymowne przygnębiające wrażenie odnosi każdy, ktokolwiek znajdzie się w ich obrębie.

Miejscowość taką posiada północna Szkocja. Brzeg jest tam wysoki, skalisty, poszarpany głębokimi zatokami. W miejscu tym morskie fale szumią nieustannie, pieniąc się burzliwie wśród ostrych skał podwodnych, które tworzą groźny i zdradliwy łańcuch, trudny do przebycia dla marynarzy.

Na szczycie najwyższej skały wznosił się starożytny zamek, którego wygląd ponury i surowy był harmonijnym uzupełnieniem ogólnego obrazu pustki i melancholii.

Ciężka, o grubych liniach architektura, szerokie, poczerniałe ściany, tudzież wąskie i głębokie, jak strzelnice okna nadawały zamkowi piętno XIII w. Mimo swej starości zachował się on tak doskonale, że mógł uchodzić za rezydencję jakiegoś zamożnego pana, rozmiłowanego w zabytkach średniowiecza.

Istotnie, dwie grube, okrągłe wieże nie utraciły jeszcze ani jednej cegły. Mur ogrodzenia stał nietknięty przez ząb czasu, a szeroka fosa, okrążająca zamek od strony równiny, napełniona była wodą, zresztą, jak dawniej. Przejścia przez fosę broniły strzelnice i most zwodzony z ochronną siatką. Ale wrażenie współczesności zamek ten sprawiał tylko z daleka. Natomiast z bliska wędrowiec przekonywał się, że olbrzymie głazy, składające się na całość zamku, pokryte były pleśnią i mchem, oraz że jedynie długowieczność istnienia zabarwiła czarnoszarym kolorem to dzikie siedlisko, które zrosło się ze skałą, jak orle gniazdo.

Od strony lądu okolica również miała wygląd posępny i odstraszający. Dołem, u podnóża zamku, ciągnęła się dolina zarośnięta jałowcem i pokryta głębokimi wybojami.

Dopiero w dali, na wzgórzu widniała szpiczasta dzwonnica kościółka i tonące w zieleni domki wieśniacze.

Również z tej strony, spoza ścian zamczyska ukazywała się zieleń stuletnich dębów i wiązów.

O ile jednak ogólny widok zamku przenosił oczy wędrowca o kilka wieków wstecz, o tyle szeroka, wspaniale wymoszczona szosa, przerzynająca równinę, rozwiewała złudzenie, świadcząc wymownie o kulturalnej rzeczywistości wieku XIX.

W pewien pochmurny, sierpniowy dzień drogą tą, utrzymaną znakomicie i obsadzoną drzewami, jechały dwa powozy. W pierwszym z nich, właściwie w niedużej bryczce siedziało dwoje młodych ludzi: mężczyzna i kobieta, ubrana w zwykły ciemnogranatowy strój, w kapeluszu tego samego koloru. Ten ciemny strój uwydatniał oślepiającą białość jej twarzy. Włosy miała tak jasne, że byłyby zupełnie białe, gdyby nie będąca ich szczególnym jakimś pięknem delikatna, pozłocistość lśnienia. Drugim powozem był duży, szeroki furgon, zaopatrzony z przodu w niskie siedzenie, zajęte obecnie przez mężczyznę

w sile wieku i starszą kobietę, wyjątkowo małomówną.

W pierwszych podróżnych czytelnik poznał zapewne Ralfa Morgana czyli innymi słowy - księcia Supramati i jego małżonkę Narę; oboje zmierzali do swego szkockiego zamku w celu zdobycia sztuki i wiedzy w t a j e m n i c z o n y c h.

Wieźli ze sobą starą służącą, powiernicę Nary i Tortoza, na którego wierności, szlachetnym rozumie i dyskrecji można było całkowicie polegać. Młodzi milczeli, patrząc w zamyśleniu na rozpostarty przed nimi smutny krajobraz lub zwracali wzrok na zamek, którego czarna sylwetka odcinała się od szarego tła nieba. Pogoda była zła. Od oceanu zrywał się wiatr chłodny, świszczący, na horyzont wyległy czarne chmury. Przeciągłe wycie burzy odzywało się coraz głośniej i dochodziło coraz bliżej.

- Mam wrażenie, że ten stary zamek powita nas huraganem - zauważył Supramati.

- O, nie sądzę, gdyż zanim burza rozszaleje się na dobre, będziemy już w domu - odrzekła Nara.

- Zresztą z tej wysokości widok szalejącego morza jest groźnym, ale jednocześnie wspaniałym widowiskiem.

- Zapewne Narajana kochał to miejsce - ciągnął Supramati. - W teczce jego znalazłem zdjęcie tego zamku, chociaż trudno jest przypuścić, aby nieprzesycony jeszcze światowiec, czujący się dobrze tylko w wirze świata i w zgiełku, mógł sobie upodobać tak osamotnione, tchnące smutkiem pustkowie.

- Ależ zapominasz chyba, że Narajana był nieśmiertelny! Właśnie rozwiązły tryb życia budził w nim głębokie nastroje ducha, a wszakże w takich chwilach chaos rozpasanych żywiołów najbardziej odpowiadał szaleństwom burz, które on przeżywał. Narajana istotnie kochał to schronisko w ciężkich chwilach swego życia. Tylko jego pietyzmowi należy zawdzięczać oryginalne urządzenie wnętrza zamku i to, że w ogóle zamek ten dotychczas istnieje tak dobrze zakonserwowany. Dlatego radziłam ci, abyś przyjechał tu na studia niższej magii. Bardziej odpowiedniego miejsca nie znajdziemy nigdzie, gdyż jeśli chodziło o przyjemność lub o laboratoria, Narajana był mistrzem w urządzaniu i zdobywaniu niezbędnych akcesorii.

Ostatnie słowa powiedziała Nara, śmiejąc się.

Tymczasem bryczka zaprzężona w ogniste rumaki, przeleciała błyskawicznie drogę, dzielącą ją od zamku, przemknęła przez most zwodzony, minęła ciemną, głęboką bramę i zatrzymała się przed podjazdem, nad którym zwisał murowany daszek.

W dużym, ciemnym korytarzu, będącym niegdyś zbrojownią, gospodarzy powitał zarządzający zamku - starzec o srebrzystej brodzie, ochmistrzyni w podeszłym wieku i kilkoro sług o ponurych, ściągniętych w zmarszczki twarzach.

- Spotyka nas tutaj kolekcja starożytności. Doprawdy wydaje mi się, że ludzi tych zgromadził tutaj Narajana dla kokietowania przybyszów - powiedział książę, gdy znaleźli się na schodach.

- Narajana nie lubił ludzi zatwardziałych niepoprawnie w cnocie, skromności - odpowiedziała Nara z lekkim uśmiechem. - Ludziom tym, którzy byli mu oddani, a którzy przedtem widzieli i słyszeli wszystko, cokolwiek mogli widzieć i słyszeć, Narajana usiłował przedłużać życie.

Większość tych sług to starcy, liczący już po sto lat.

Mimo tak podeszłego wieku, służba zamkowa na przyjęcie państwa zaczęła krzątać się żwawo. Wszędzie na ozdobionych herbami kominkach płonął żywy ogień, rozniecając ciepło pod sklepieniami, po całym zamku, gdzie panowała wilgoć i chłód. W sali jadalnej zastawiony był stół z przepychem. Co zaś dotyczy obiadu, to pod względem przyrządzenia potraw i doboru dań na specjalne uznanie zasłużył kucharz.

Supramati wyraził swe szczere zadowolenie. Po obiedzie udał się na zwiedzanie zamku.

Umeblowanie komnat było antyczne, pełne prostoty i powściągliwego komfortu. Każdą niemal ścianę pokrywały rzeźby z czarnego dębowego drzewa, lub makaty.

Rzeźbione meble w komnatach księcia należały bez wątpienia do końca czternastego stulecia, natomiast meble w apartamentach Nary pochodziły z czasów królowej Elżbiety.

Jeden tylko szczegół niewiele miał wspólnego z ogólnym stylem tego średniowiecznego siedliska - wschodnie dywany, zaścielające podłogi.

Drzwi z gabinetu Supramatiego prowadziły na obwiedziony kamienną balustradą balkon, który jak gniazdo jaskółcze, zwisał nad przepaścią.

Stanąwszy na balkonie, książę wsparł się łokciami o balustradę i zapatrzył w przestrzeń z zachwy-

tem, przejęty jednocześnie dreszczem lęku.

Pod nim, w dali, w przestworzach szalała burza. Oślepiające błyskawice ostrymi cięciami przerzynały czarne tło nieba, rozwścieczone fale urastały nagle jak góry, pieniły się, uderzały o skałę i z łoskotem rozbijały się u brzegu.

Wicher wył i gwizdał, grzmiały pioruny, a Supramati stał na balkonie, jak gdyby wznosił się razem z nim ponad tym chaosem.

I gdy to wspaniałe, lecz przejmujące zgrozą widowisko pochłonęło go całkowicie - drobna rączka dotknęła jego ręki, a jasnowłosa główka oparła się o jego ramię.

W milczeniu Supramati przytulił żonę do siebie i już oboje, pogrążeni w zadumie, spoglądali w mroku na bezdenną przestrzeń, rozpostartą u ich stóp. Nagle, niewiadomo skąd błysnął szeroki promień światła, rozdarł ciemności, zamigotał żywym jaśnieniem na falach, osrebrzył białą pianę, uwydatnił grzbiety zbałwanionych wód.

Na okrzyk zdziwienia męża Nara odpowiedziała:

- W pobliżu jest latarnia. Dzisiaj niejeden marynarz dozna zmiłowania i z radością ujrzy to światło, które będzie mu przewodnikiem wśród niebezpiecznych dróg. Mnie się wydaje, że ta latarnia jest znamieniem twojego życia.

Supramati! Jak ten żeglarz, walczący z rozszalałym morzem, puściłeś się na nieznany ocean tajemniczej i przejmującej trwogą wiedzy. Wśród mroku, który otoczył cię zewsząd, w walce, którą będziesz musiał podjąć z żywiołami, jedynym twoim sternikiem będzie twoja wola; lecz w nadziei wtajemniczenia znajdziesz tę latarnię, którą upatrzysz sobie jako cel swoich wysiłków, podczas gdy w olśniewającym świetle wyższej magii znajdziesz swego przewodnika, bo ono, jak gwiazda rozjaśni drogę, którą sobie obrałeś.

- Tą przewodniczką, tą świecącą gwiazdą na szlaku moich przedziwnych losów ty będziesz, Naro - rzekł Supramati, przyciskając żonę do piersi. - Ty dasz mi miłość, która mnie wesprze, ty dasz mi swą miłość, która rozproszy we mnie zwątpienie i ukołysze moją tęsknotę w czasie mających nastąpić ciężkich doświadczeń.

- O, tak, Supramati! Dam ci miłość, nie ziemską, nie zmysłową, ale czystą i niezniszczalną, uszlachetniającą i wiążącą nasze dusze na wieki, miłość, która będzie nas pociągała na drogę nieskończonego doskonalenia się i wiedzy.

Książę nie odpowiedział i ucałował rękę żony z wdzięcznością. Oboje byli tak wzruszeni, że zamilkli, rozkoszując się tylko wspaniałym widokiem burzy. Dopiero, gdy zaczęła się ulewa, wrócili do pokoju.

Gabinet oświetlała lampa z błękitnym abażurem. Na kominku trzaskał wesoło ogień, rozsiewając ciepło. Miły przepych tej komnaty stanowił kontrast z szalejącą na zewnątrz burzą.

To przyjemne wrażenie spotęgowała wesołość Nary, która śmiejąc się i swawoląc, nalewała mężowi herbaty. Resztę wieczoru spędzili wesoło. Ponieważ jednak podróż zmęczyła ich trochę, więc wcześniej udali się do swoich komnat.

Supramati położył się do łóżka, ale nie mógł zasnąć. To, co było niewiadomego we wtajemniczeniu, do którego przygotowywał się, męczyło go. To zaś co dotychczas widział z pozagrobowego świata, raczej odpychało go niż pociągało. Ponadto działała mu na nerwy szalejąca nieustannie burza. W głębokiej nocnej ciszy słychać było z bolesną wprost świadomością, jak gwizdał i jęczał wicher w kominie, jak wył ocean. Nacierając na brzeg fale uderzały z taką siłą o skałę, że zdawało się, iż wzniesiony na niej zamek drży w swoich posadach.

Aby myślom swoim dać inny kierunek, Supramati zaczął oglądać otaczające go przedmioty. Na makatach, pokrywających ściany, był przedstawiony turniej: zwycięzca klęczał u stóp damy i brał z jej rąk łańcuch złoty. Rysunek ten jednak pozostawiał wiele do życzenia, gdyż blade twarze damy i rycerza były nad wyraz nieprzyjemne.

Supramati zwrócił oczy na portret wiszący na przeciwległej ścianie i oświetlony zawieszoną u sufitu lampą. Portret ten malowany na drzewie wyobrażał kobietę w czarnym stroju z przykrytą głową. Wykonanie malowidła było nieudolne, jakkolwiek zdradzało ono pędzel dobrego artysty. Z płaskiej kredowej, twarzy patrzało dwoje błękitnych oczu tak pełnych wyrazu głębokiej goryczy, że dama ta, z której już przed wiekami zostały tylko prochy, budziła szczere współczucie.

O tak, wszystko tu mówiło o zaginionych w historii wiekach i o znikomości ludzkiego życia. Radości

i smutki tylu wymarłych pokoleń pochłonął tajemniczy niewidzialny świat. Myśl o życiu, trwającym wiecznie, rozwijającym się w nieskończoność przejęła księcia lękiem. Nie zwracał już uwagi na otoczenie i zastanowił się nad zdarzeniami, które w dziwny sposób pokierowały jego życiem.

Jak w kalejdoskopie przesuwały się lata jego biednej, przeciążonej pracą doli, gdy był doktorem. Jego naukowe dociekania i bezwiedna obawa przed śmiercią. Strach niewytłumaczony, tym większy, im bardziej podcinały go rozwijające się suchoty. Potem przyszedł moment, kiedy zjawił się Narajana, jak niezrównany czarnoksiężnik z “Tysiąca i jednej nocy” i przeistoczył biednego, konającego Ralfa Morgana w księcia Supramati, nieśmiertelnego milionera. A oto podróż do lodowców w towarzystwie tajemniczego przewodnika, który opowiadał mu o cudownych własnościach eliksiru życia. Potem spotkanie Nary, obcowanie z istotami nieśmiertelnymi i wstąpienie do bractwa rycerzy “Okrągłego Stołu Wieczności” w zaczarowanym pałacu Graala. Wreszcie - wycieczka do Indii i zawarcie znajomości z magiem Ebramarem, w którym uzyskał opiekuna na kilku stuleci. Wspomnienie to rozwiało w duszy księcia niepokój i dławiący go smutek. Azaliż ma stracić wiarę we własne siły, gdy posiada w oddanej mu z bezgraniczną miłością żonie i w przyjacielu Dachirze, tym współbracie nieśmiertelności, tak potężne duchy opiekuńcze?

Czemuż miałby nie wystawić się na takie same próby, na jakie wystawili się inni. Naturalnie, ciało jest słabe i doznaje wstrząsu wskutek dotknięcia sił okultystycznych. Lecz gdzież jest wola, aby zwyciężyć tę słabość.

Rozmyślając tak, Supramati poczuł gorące pragnienie zasięgnięcia rady u Ebramara, chciał wypowiedzieć mu swoje zwątpienia i prosić go o pomoc i wskazówki. Wstał szybko i postanowił wypróbować przedmiot, który ofiarował mu Ebramar w chwili, gdy opuszczał on Himalaje. Mag powiedział, że w razie istotnie zachodzącej potrzeby można go wywołać za pomocą tego przedmiotu.

Na kanapie stała niewielka walizka z przeróżnymi tajemniczymi rzeczami, które Supramati pragnął mieć zawsze pod ręką, a których nie wolno było nikomu dotykać.

Otworzywszy walizkę, Supramati wyjął z niej okrągłe pudełko wielkości talerza, niegłębszego niż dziesięć centymetrów. Pudełko było zrobione z jakiegoś białego metalu, jak gdyby ze srebra, ale mieniło się różnymi barwami, sprawiając wrażenie masy perłowej. Wieko zdobiły jakieś, nieznane, świecące, fosforycznie znaki.

Supramati już niejednokrotnie oglądał ten przedmiot. Teraz, obracał go w rękach, przykładał do ucha, gdyż zdawało mu się że wewnątrz pudełka rozlega się jakiś dźwięk.

Istotnie pudełko grało tym głębokim, charakterystycznym szumem, jaki wydaje muszla.

Książę poruszył głową, usiadł, postawił pudełko na stole i nacisnął pośrodku wieka podłużny znak, na który kiedyś zwrócił mu uwagę Ebramar. Rozległ się głuchy trzask i wieko otworzyło się. Z pudełka buchnął duszący aromat i powiała fala ciepłego powietrza, tego powietrza, którym Supramati oddychał wieczorami podczas pobytu swego w Himalajach.

Książę pochylił się z zaciekawieniem, aby ujrzeć zawartość pudełka, lecz wewnątrz nic nie zobaczył, oprócz szarego, skłębionego tumanu. Głębokość pudełka wydała mu się tak otchłanną, jak czarna przepaść, której przecież nie mógł zawierać tak płytki przedmiot. Supramati gubił się w domysłach. Nie mogąc dociec tego, czego sam nie pojmował, poprzestał na dokładnym wykonaniu wskazówek swego mistrza i zapatrzył się w pudełko.

Wkrótce w ciemnej głębokości ukazał się czerwony punkt. Punkt ten poruszał się, zbliżał, powiększając się szybko.

Nagle okrzyk przerażenia wybiegł z ust Supramatiego.

Ukazała mu się zupełnie wyraźnie, choć w mglistym zarysie, wspaniała głowa Ebramara, otoczona delikatnym, srebrzystym obłokiem.

Duże, ogniste oczy maga patrzyły na niego głębokim, jasnym spojrzeniem; uśmiechnięte usta rozchyliły się i głuchy, dobrze znajomy głos oznajmił:

- Witam cię, mój synu! Nie trwóż się, albowiem to, co widzisz, nie jest cudem lub czarodziejstwem, lecz zwyczajnym zastosowaniem praw natury. Wiedz o tym, że doszły mnie twoje myśli trwożne i niespokojne i zjawiam się, aby ci powiedzieć: nie opuszczaj ramion, dopóki nie rozpocząłeś pracy i nie lękaj się potęg nieznanych, gdyż czuwamy nad tobą. Zapewne czeka cię droga ciężka, ciernista, lecz kto wytrwa, ten będzie nagrodzony. Nie możesz wyobrazić sobie nawet tego szczęścia, jakiego zaznasz, gdy

przekonasz się, że twoja siła astralna stała się potęgą i że ta potęga jest służebnicą twojej wyćwiczonej woli. Zaznasz szczęścia, mając świadomość, że nie jesteś już uległym niewolnikiem nieznanych, rozstrzelonych sił, lecz panem kosmicznych żywiołów, zależnych od twojej myśli i potężnej woli.

Supramati słuchał, jak we śnie i nie mógł pojąć, w jaki sposób Ebramar, oddzielony od niego oceanem i tysiącami mil, mógł rozmawiać z nim i zjawić mu się w dotykalnej postaci. Dreszcz nadprzyrodzonej trwogi wstrząsnął jego ciałem.

W tej chwili dał się słyszeć cichy śmiech.

- Synu mój, wszystko to, na co teraz patrzysz, wyda ci się rzeczą zupełnie zrozumiałą, gdy poznasz mechanizm zjawiska, które cię obecnie tak zaniepokoiło. Bądź cierpliwy, okaż męstwo i stanowczość, a nadejdzie czas, gdy rozproszą się cienie i gdy jasnym, zachwyconym spojrzeniem ujrzysz objawienie cudów nieskończoności.

Uczyniwszy ostatni znak, zjawisko zaczęło blednąć. Głowa utraciła swój rysunek, stopniowo rozpłynęła się w obłoku, wreszcie został tylko czerwony punkt, niknący w głębi. Pudełko zamknęło się samo.

Oddychając z trudem, Supramati zawinął pudełko w płótno i włożył z powrotem do walizki. Następnie położył się do łóżka, lecz znowu długo nie mógł zasnąć. To, co przed chwilą widział i słyszał, wywarło na nim wstrząsające wrażenie, ale zarazem pod wpływem tego wrażenia zapragnął tym bardziej zbadać ten tajemniczy świat, w którym utajone są tak cudowne zjawiska. Wstąpiła w niego otucha. Myśl, że w każdej chwili posiada możność skomunikowania się ze swym potężnym protektorem, który bez względu na dzielącą ich przestrzeń, przebywa w pobliżu, podziałała na niego dobroczynnie i uspakajająco.

Wreszcie głęboki, pokrzepiający sen skleił mu powieki.

Obudził się świeży i rześki, doskonale usposobiony. Pogoda również poprawiła się i morze zalane było światłem słonecznym. Nawet pustelnicza miejscowość miała jakiś inny radosny wygląd pod wpływem ożywczych promieni.

Nara była również ożywiona i wesoła.

Gdy po śniadaniu Supramati chciał udać się na dokładne, szczegółowe zwiedzanie zamku, sprzeciwiła się temu i rzekła z uśmiechem:

- Na to będziesz miał jeszcze dość czasu. Nie ma tu nic osobliwego, a jeśli chodzi o część zamku przeznaczoną na okultystyczne zajęcia, to radzę ci zwiedzić ją wyłącznie pod przewodnictwem Dachira. Teraz zaś, korzystając z pięknego poranku, pójdziemy na spacer i obejrzymy okolicę. Po obiedzie zaprowadzę cię sama do sali, którą nazwałam świątynią wtajemniczenia. Czy zgadzasz się na ten program, panie mój i rozkazodawco?

- Zastosuję się do niego z radością, ty moja czarodziejko, mój cudzie! Gotów jestem słuchać cię zawsze. Przy tym muszę wyznać szczerze, że spacer na świeżym powietrzu jest bardziej zajmujący i przyjemny, aniżeli oglądanie tych starych sklepień - dodał wesoło Supramati.

Odbyli konno długi spacer, po czym zeszli ku morzu krętą, ukrytą w skale ścieżką, którą znała tylko Nara. Droga ta była bezpieczna i dostępna dla istot nieśmiertelnych.

Po obiedzie Nara ujęła męża pod ramię i prowadząc go ze sobą, rzekła podstępnie:

- Pójdziemy do twego przyszłego czyśćca.

Znaleźli się w małym gabinecie, do którego drzwi ukryte w obiciu ściany prowadziły z gabinetu Supramatiego.

Stąd udali się krętymi schodami na górne piętro i weszli do ciemnego gabinetu pozbawionego okien.

W świetle kaganka, który niosła Nara, Supramati ujrzał w głębi pokoju olbrzymie żelazne drzwi, pokryte czarnymi i czerwonymi znakami kabalistycznymi. Pośrodku każdego skrzydła drzwi, w medalionie, mającym kształt pięcioramiennej gwiazdy umieszczone były symboliczne malowidła. Malowidło jednego medalionu przedstawiało czerwonego węża, stojącego na ogonie i trzymającego kaganek, malowidło drugiej - wyobrażało gołębia, niosącego w dziobie złoty pierścień.

Nad drzwiami, niby nad wejściem do egipskiej świątymi, widniała skrzydlata tarcza słoneczna, a nad nią symbole czterech żywiołów, wśród których przewijała się czarna wstęga z następującym napisem, utworzonym z liter ognistego koloru:

“Ten, kto studiuje wiedzę we wszystkich jej dziedzinach, osiąga chwałę maga; lecz nie masz powrotu dla tego, kto odchyli zasłonę tajemnicy!”.

Nara poczekała, aż mąż obejrzy drzwi, a następnie rzekła:

- Znaki, które tu widzisz, to klucze do wywołania wielu ciekawych zjawisk. Wejdźmy tutaj.

Nacisnęła sprężynę i drzwi otworzyły się bezszelestnie. Pokój, do którego weszli był okrągły i nie miał okien. Z zawieszonej u sufitu szklanej kuli sączyło się delikatne, niebieskawe światło, zaledwie rozwidniające pokój.

Supramati jednak widział wyraźnie każdy przedmiot. Sala ta była jednocześnie świątynią i pracownią: po jednej stronie na wzniesieniu, mającym kilka stopni, stał ołtarz z czarną, jedwabną zasłoną, rozchyloną w tej chwili; po drugiej znajdował się piec zaopatrzony w olbrzymie miechy, retorty, zwoje rurek destylacyjnych i w inne przyrządy, służące do alchemii.

Na półkach poukładane były książki w starych skórzanych oprawach, leżały zwoje papieru i stały szkatułki oraz pudełeczka; oszklona szafa pełna była baniek, garnuszków i woreczków najrozmaitszej wielkości. Na ołtarzu leżał miecz, stał kubek i wznosił się krzyż odlany z jakiegoś nieznanego metalu. Tuż przy ołtarzu zawieszony był dzwon.

Pod ścianą na wysokiej podstawie stało lustro o różnokolorowej, błyszczącej powierzchni, takie samo, jakie Supramati widział już w zamku nad Renem. Tutaj również pośrodku pokoju znajdowała się metalowa, wypolerowana tarcza i leżał młotek, ale miała ona większe rozmiary niż ta, w którą kiedyś tak nieostrożnie uderzył, wywołując tym widzenie armii krzyżowców.

Wśród tych rzeczy były porozstawiane maleńkie stoliki zaopatrzone w złote lub srebrne lichtarze z grubymi, woskowymi świecami, używanymi powszechnie w kościółkach.

Dwa duże stoły dźwigały na sobie olbrzymie, zapieczętowane księgi i na każdym z nich stało dość duże naczynie, pełne wody tak świeżej i czystej, jak gdyby jej przed chwilą nalano. Niskie i miękkie fotele uzupełniały umeblowanie pokoju. W sali unosił się dziwny, ostry, lecz jedno-cześnie orzeźwiający aromat.

Gdy Supramati obejrzał już wszystko, Nara rzekła z uśmiechem:

- Chodźmy! Wywołamy zaraz Dachira.

Poprowadziła męża do dziwacznego lustra i nacisnęła sprężynę. Lustro poruszyło się natychmiast, osunęło się z podstawy i stanęło przed nimi.

Dopiero teraz Supramati dostrzegł wielkość lustra, równą jego wzrostowi.

- W tej samej chwili Nara nacisnęła kawałek jakiejś materii, podobnej do waty i zaczęła nią mocno nacierać polerowaną powierzchnię. Lustro pociemniało, utraciło swe różnokolorowe zabarwienie i uczyniło się czarne jak atrament. Następnie na powierzchnię wystąpiły srebrzyste krople, jak gdyby przesiąkały od wewnątrz.

Jednocześnie z ukazaniem się tej świecącej rosy, Nara zanuciła coś półgłosem, w nieznanym mężowi języku.

Następnie, skończywszy śpiew, rzekła:

- Teraz patrz uważnie!

Supramati zaczął obserwować, ze zrozumiałym zaciekawieniem, zachodzący w jego oczach proces. Powierzchnia lustra jak gdyby wprawiła się w ruch, drżała, wydając trzask; nastąpnie zaszła gęstym oparem, który z kolei przeistoczył się w fioletową mgłę. Potem zasłona ta rozsunęła się i ukazała widok na morze. Przed nimi, ginąc w oddali, rozpościerała się równina, sfalowana powiewem świeżego wiatru. Ostre morskie powietrze uderzyło z impetem, a z dala, sunąc po falach, szybko zbliżał się okręt, w którym Supramati poznał od razu statek Dachira. Wkrótce pokład okrętu zaczął zarysowywać się coraz wyraźniej i po upływie kilku minut statek stanął na jednym poziomie z oknem. Na pokładzie stał Dachir, pochylony ku masztowi z twarzą bladą, uśmiechniętą. Uchyliwszy kapelusza, mag skłonił się uprzejmie.

- Śpiesz się Dachirze! - krzyknęła Nara, czyniąc ręką przyjazny znak. - Oczekujemy ciebie. Supramati płonie z niecierpliwości.

- Jutro będę wieczerzać z wami - odpowiedział dźwięczny, dobrze znany głos.

W tej chwili fioletowa mgła zasłoniła otwór dziwnego okna, następnie ukazała się metalowa tarcza i zaczęła szybko pochłaniać resztki oparu, unoszące się jeszcze nad jej powierzchnią. Wreszcie wszystko powróciło do poprzedniego stanu.

Supramati osunął się na krzesło i otarł pot z czoła.

- Wszystko to, czego doświadczam, oglądając nieprawdopodobne zjawiska, obalające wszystkie prawa natury, może przyprawić o pomieszanie zmysłów! - wykrztusił, pochylając w tył głowę.

Nara roześmiała się głośno.

- Ach, Supramati, gdy wpadasz w napuszoną zarozumiałość uczonego, zaczynasz mówić rzeczy zabawne.

Czyż można obalić prawa natury? Czyż nie prostszym i bardziej logicznym będzie przypuszczenie, że istnieją nieznane przez nas prawa, których zastosowanie przez ludzi, umiejących kierować nimi, tworzy zjawiska, które zdumiewają cię jedynie dlatego, że nie znasz ich istoty?

Wkrótce będziesz mógł wyjaśnić te wszystkie “tajemnice” i pierwszy będziesz się śmiał z dzisiejszego swego wzruszenia.

Supramati z niecierpliwością oczekiwał następnego wieczoru. Dzięki wrodzonemu sceptycyzmowi nie wierzył własnym oczom, mimo oczywistości zjawisk. Wydawało mu się niemożliwością zapowiedziane przybycie Dachira. Wczorajsze widzenie było zapewne tylko halucynacją, spowodowaną przez rozstrojone nerwy.

Z polecenia Nary kolację przygotowano dla trzech osób. Około dziesiątej jeden ze starych służących wprowadził oczekiwanego gościa. Tym razem Dachir miał na sobie wspaniały ubiór współczesny. Po powitaniu wszyscy zasiedli do stołu.

Gdy skończono kolację, Nara opuściła pokój, a gość i gospodarz zostali sami. Dachir uścisnął mocno rękę Supramatiego i rzekł:

- Dziękuję ci, przyjacielu, żeś obrał sobie we mnie przewodnika! Zmęczony już jestem błąkaniem się po morzach i będę szczęśliwy, mogąc odpocząć tu w waszym towarzystwie!

- Działałem tylko pod wpływem sympatii dla ciebie, a to nie zasługuje na żadną wdzięczność - wesoło odpowiedział Supramati - kiedy jednak masz zamiar rozpocząć nasze prace?

- Jeżeli nie będziesz miał nic przeciwko temu, to jutro wieczorem.

- Doskonale! Czy potrzebny mi będzie jakiś rytuał, abym przygotował się do pracy?

- Przygotowania zaczną się dopiero jutro, a na razie jesteśmy wolni!

- Tym lepiej - zauważył Supramati.

Następnie rozmowa została skierowana na inne tematy.

Nazajutrz upływał im czas bardzo szybko na rozmowach, spacerze i spożyciu obiadu, który obydwaj pochłonęli z apetytem. O wtajemniczeniu nie wspomniano ani jednym słowem. Dopiero wieczorem Dachir oznajmił:

- Czas już na nas, Supramati, pożegnaj się na tydzień ze swoją piękną małżonką. Ten czas jest niezbędny na przygotowanie się do pierwszego aktu twojego wtajemniczenia.

Udali się do laboratorium, które opisaliśmy. Ku zdziwieniu Supramatiego Dachir otworzył drzwi, których istnienia nie domyślał się i wprowadził go do sąsiedniej komnaty.

Stały tu dwa łóżka i coś w kształcie dużej, szerokiej, szklanej wanny, napełnionej niebieskawym przezroczystym płynem.

- Tutaj - rzekł Dachir - powinniśmy spędzić tydzień na postach, modlitwie i oczyszczeniu. Zacznijmy zaraz!

Zapalił dwanaście grubych, jak ręce, świec w lichtarzach i rozniecił na trójnogu węgle, rzuciwszy na nie garść proszku; proszek natychmiast buchnął różnokolorowym płomieniem, napełniając pokój dusznym zapachem.

- Teraz rozbierz się i wejdź do basenu! - rozkazał Dachir.

Supramati spełnił polecenie; lecz spostrzegł ku swemu najwyższemu zdumieniu, że to, co w wannie, wydawało mu się wodą, było jakąś materią prawie nieuchwytną.

Wprawdzie odczuwał wilgoć, ale ta wilgoć pochodziła raczej z powietrza, niż z płynu. Następnie doznał na całym ciele gorących ukłuć i znowu ze zdumieniem stwierdził, że wypełniona po brzegi wanna opróżniła się nagle w sposób niepojęty.

Supramati nie zdawał sobie sprawy, czy ta dziwna materia wyciekła przez jakiś specjalny kanał, czy pochłonięta została przez jego organizm. Poczuł w sobie spokój i przypływ sił, wyszedł z wanny z uczuciem zadowolenia i zaczął się ubierać.

Potem czas upływał szybko.

Supramati kąpał się codziennie w tajemniczej substancji i poddawał się okadzaniu. Dachir dwa razy dziennie dawał mu posiłek, złożony z białego chleba i kubka czerwonego wina, które przynosił z ołtarza

w laboratorium. Resztę czasu Supramati spędzał na odmawianiu modlitw, oznaczonych w kajecie przez jego nauczyciela, na zapamiętywaniu przeróżnych magicznych formułek i na ćwiczeniach, mających na celu kształcenie woli oraz osiągnięcie zdolności skupienia się na jednym przedmiocie.

Zaabsorbowany tymi pracami, nie spostrzegał nawet, jak czas upływał. Czuł się dobrze, był rześki; umysł miał jasny, jak nigdy. Nie odczuwał już głodu ani zmęczenia, zdziwił się ogromnie, gdy nagle Dachir oznajmił mu:

- Tydzień już upłynął. Weź ostatnią kąpiel i włóż ubranie, które znajdziesz w tym pudle.

Zlecenie to Supramati wykonał bezzwłocznie. Gdy wyszedł z wanny, wydobył z pudła długą, obszerną tunikę koloru mlecznego i włożył ją na siebie. Spłynęła po jego ciele aż do stóp, układając się w miękkie fałdziste zwoje. Materiał ten nie był ani jedwabny, ani wełniany, ani płócienny. Nadzwyczaj cienka i zarazem mocna, lecz delikatna jak puch materia mieniła się, jakby była pokryta rosistym pyłem i za dotknięciem chrzęściła lekko.

- Cóż to jest? Nigdy niczego podobnego nie widziałem - zapytał Supramati.

- Materia ta jest utkana z włókien rośliny magicznej - odrzekł Dachir, nakładając na siebie podobną tunikę.

Potem wyjął z drugiego pudła dwa metalowe pasy z uwypuklonymi na nich znakami kabalistycznymi i łańcuch z fioletową gwiazdą.

Gdy Supramati opasał się i założył łańcuch, Dachir dodał: - Zjedz kawałek chleba i wypij kubek wina. Potem weź woskową świecę i w drogę!

Supramati usłuchał go w milczeniu. Serce biło mu silnie, gdyż zrozumiał, że nadszedł czas, gdy po raz pierwszy zetknie się z niewidzialnym, strasznym światem.

Uzbroiwszy się w miecz, który leżał na ołtarzu i wziąwszy w drugą rękę świecę woskową, Dachir rzekł:

- Teraz podejdź do zasłony, wiszącej w głębi pokoju! Idę za tobą!

Supramati opanował mężnie rosnący w nim niepokój i udał się we wskazanym kierunku.

Zaledwie postąpił kilka kroków ciężka zasłona rozsunęła się, jakby targnęły nią niewidzialne ręce i otworzyła wąskie przejście podobne do kładki, przerzuconej przez czarną otchłań, ziejącą z obu stron. Patrząc wyłącznie przed siebie, Supramati przeszedł nad otchłanią.

Podniosła się druga kurtyna i książę zszedł do obszernej sali, okrągłej jak laboratorium i prawie zupełnie pustej. Pośrodku na kamiennej podłodze, był narysowany czerwony krąg, wokół którego stały cztery trójnogi z węglami, płonącymi różnokolorowym ogniem: białym, niebieskim, zielonym i czerwonym. Aromat wypełniający pokój był tak silny, że Supramati doznał zawrotu głowy. Nagle zniknęło mu wszystko przed oczami, bo oto ujrzał Narę, uśmiechającą się do niego przyjaźnie.

Podobnie jak on - bosa odziana w taką samą tunikę, młoda kobieta stała w głębi pokoju przy sznurze dzwonu, wiszącego pod sufitem. Rozpuszczone, spadające aż do stóp włosy tworzyły na niej wspaniały płaszcz. Była piękniejsza, niż kiedykolwiek, ale jej czarująca twarzyczka miała surowy wyraz uroczystości i niezłomnej woli.

Pójdź i stań pośrodku! - zwróciła się do męża tonem rozkazującym.

Supramati spełnił rozkaz, używając całej swej mocy, aby zachować należyty spokój.

Wówczas Dachir podniósł miecz w górę i uczyniwszy nim ruch w kierunku północy, południa, wschodu i zachodu, zanucił dziwną pieśń. Jednocześnie Nara zaczęła powoli uderzać w dzwon.

Rozległy się przeciągłe, jękliwe dźwięki, akompaniujące głosowi Dachira. Miało się wrażenie, że dzwoni jakiś szklany instrument.

Nagle ucichło wszystko. Po chwili wśród grobowej ciszy Dachir zakrzyknął gromowym głosem: - Duchy żywiołów! Wyjdźcie z wnętrza ziemi, z głębiny wód, z wyżyn eteru i z ognia, który przenika wszystko!

Zjawcie się nam, sługi przestrzeni, poruszające potęgi żywiołów!

Na ten zew salę napełnił szum. Wiatr gwizdał, ziemia drżała, a w powietrzu rozległ się trzask. Zdawało się, że napływał zewsząd jakiś tłum niewidzialny i tłoczył się wokół Supramatiego, Nary i Dachira. Następnie gęste jak dym, chmury rozwiały się, ustąpiwszy miejsca jasności. Przy kręgu tłoczyła się jakaś niezwykła armia, utkwiwszy swe pałające spojrzenia w Supramatiego.

Były to szarawe, o niewyraźnych konturach istoty, przyodziane w rozwiewające się szaty. Próbowały przestąpić krąg, ale sprawiało im to mękę. Nagle powietrze przeszyła błyskawica i na głowie Suprama-

tiego ukazał się jaśniejący śnieżnobiały krzyż.

Napowietrzne masy cofnęły się i utworzyły cztery grupy skupione wokół czterech trójnogów. Obecnie tłum zjaw miał wyraźniejsze zarysy i można było odróżnić kształty tych fantastycznych istot; dziwaczne i okropne.

Jedne z tych zjaw były czerwone jak ogień i jak gdyby odlane z rozpalonego żelaza; inne zielonawe utworzone z błotnej zakrzepłej piany, zresztą oprócz fosforyzujących oczu, nie miały w sobie nic ludzkiego. Trzecia grupa wyróżniała się dziwacznymi formami i posiadała skrzydła koloru błękitnego. Grupa ta bezustannie unosiła się koło trójnoga, na którym płonął niebieski ogień. Wreszcie wśród kłębów czarnego dymu poruszały się obrzydliwe maleńkie istoty o złowrogich, ziemistoszarych twarzach.

Supramati patrzył na ten straszny tłum widziadeł i dygocąc febrycznie, zaledwie mógł utrzymać w ręku świecę. Jak we śnie, słyszał rozlegający się w przestrzeni śpiew: to harmonijny wrzask. Była to mieszanina skarg, łkań, radosnych okrzyków i tęsknoty do światła.

I znowu rozległ się dźwięczny głos Dachira:

- Duchy żywiołów! Poszukujecie swego pana, szukacie pola pracy? A oto on - wasz nowy pan! Łączę was z nim, a wy przysięgnijcie mu posłuszeństwo i pomoc.

Ogłuszające uderzenie pioruna wstrząsnęło zamkiem aż do jego posad. Jasne błyskawice strzelały ze wszystkich stron, chwytając Supramatiego jak w ogniową siatkę. Ziemia, zda się, zniknęła zupełnie, utworzywszy mu pod stopami czarną, bezdenną przepaść. W tej chwili z drugiej strony przepaści zarysowała się kamienna arka - monumentalne wejście do nieznanego, ukrytego w ciemnościach “tamtego” świata.

Nara i Dachir znaleźli się obok neofity, chwycili go za ręce i popchnęli przed siebie.

- Przejdź, nie cofaj się bo zginiesz! Trzymaj mocno światło i idź bez wahania! - wołali oboje głosem stanowczym.

Zdeterminowany, z zaciśniętymi zębami, Supramati rzucił się naprzód i przeszedł otchłań, trzymając kurczowo woskową świecę.

Przestąpiwszy próg arki, znalazł się w absolutnej ciemnicy. Grunt był pod nogami śliski i zda się co chwila groził usunięciem się. Mimo to Supramati szedł wytrwale, zapatrzony w płomień świecy, popychany wiatrem, uderzającym w niego z tyłu.

Po chwili, która wydała mu się wiecznością, w półmroku zarysowała się druga arka, innego kształtu, służąca za wejście do wąskiego i prawie ciemnego korytarza.

Supramati, ośmielony już, wszedł zdecydowanie. Nagle ze wszystkich stron otoczyły go straszne, potworne zwierzęta. Płazy, nietoperze i jadowite owady pojawiały się co kroku, kąsając go i czepiając się.

Z resztkami świadomości Supramati szedł dalej po śliskim gruncie, nie zdając sobie sprawy, gdzie idzie.

Dopiero, gdy oślepiająca światłość uderzyła go w twarz, zatrzymał się na chwilę. Nieoczekiwanie korytarz rozszerzył się i ukazał nowe drzwi całe w ogniu. Z drzwi tych, jak z pieca buchał płomień, a na progu siedziało fantastyczne zwierzę, olbrzymich rozmiarów, o ludzkiej twarzy.

Zza pleców potwora wyrastały ogromne skrzydła, a spojrzenie jego groziło śmiercią każdemu, kto ośmieliłby się zbliżyć do niego.

Zimny pot wystąpił na czoło młodego doktora, a w uszach dźwięczały mu jeszcze słowa przewodników:

- Idź ciągle naprzód, bez wahania, nie cofaj się, bo zginiesz!

Więc z rozpaczliwym męstwem rzucił się znowu przed siebie.

Odniósł wrażenie, że wpadł do ognistego potoku.

Wzrok potwora przeszywał go na wskroś, jak rozpalone żelazo. Odruchowo podniósł świecę do góry. Wówczas ujrzał ze zdziwieniem, że potwór, zamiast rzucić się na niego, pochylił głowę i poszedł naprzód, jakby wskazywał mu drogę.

W miarę jak postępowali tą tajemniczą drogą, wygląd obrzydliwego potwora ulegał przemianie.

Twarz wstrętna przeistaczała się w oblicze anioła cudownej piękności. Na kędzierzawej głowie miał girlandę śnieżno białych kwiatów. Cielsko potwora pozbywało się stopniowo swego ciężaru i masy, wreszcie, gdy stało się zupełnie przeźroczystym i lotnym ciałem, okryła je ognista tunika, spłynęła po

nim lekkimi wspaniale ułożonymi fałdami.

Nagle ogień zgasł. Supramati powiódł wystrszonym wzrokiem dookoła i ujrzał przed sobą rozlaną szeroko powierzchnię wód. Wiatr zawył, wzdymając burzliwe fale jak wielkie góry i ciskając strzępy rozwianej piany w twarz neofity i ognistego anioła.

Supramati uczynił ruch, jakby chciał przystanąć, ale anioł spojrzał na niego z tak znaczącym uśmiechem, że książę rzucił się w fale. Przez chwilę miał wrażenie, że tonie w bezdennej przepaści. Pochłonęła go zimna jak lód woda, zaparłszy w nim oddech; szumiało mu w uszach, w oczach pociemniało, doznał zawrotu głowy. Lecz nagle wpadła na niego fala, uniosła go i wyrzuciła na powierzchnię.

Spojrzał zdziwiony. Woda zniknęła, wiatr umilkł: panowała wokół uroczysta cisza.

Stał na wygładzonej jak lustro, powierzchni niewielkiego jeziora i patrzył na rozpostarty dokoła krajobraz, pełen żywych barw. Widać było zielone skupiska drzew, mokradła usiane kwiatami, a w górze jaśniało błękitne sklepienie niebios. Opodal, tonąc w potokach oślepiającego światła, stał anioł ognisty, dzierżąc w podniesionej ręce śnieżnobiały krzyż, zalany krwią.

Na twarzy tego tajemniczego przewodnika malował się jakiś nadludzki majestat; jasne płomienne oczy utkwił w olśnionych oczach Supramatiego i mówił dźwięcznym głosem, wskazując na krzyż:

- Patrz! Oto droga wieczności zalana krwią tych, którzy przezwyciężyli własną cielesność. Na tej drodze cierpią wszyscy; tutaj trzeba pokonać wszystkie żądze ludzkie, wszystkie pragnienia zmysłowe, wszystkie ułomności ducha. Tu człowiek materialny będzie ukrzyżowany, ażeby zmartwychwstać duchem i ażeby przekroczyć próg wiedzy absolutnej. Otóż uczyń krok, abyś przestąpił ten próg, oblany potem twojej pracy i zdobyty za cenę twego zmysłowego ciała, a w świecie niewidzialnym zapłonie dla ciebie olśniewająca gwiazda maga.

Krajobraz przesłonił się mgłą i zmienił swój wygląd.

Zieleniejąca ziemia uniosła się i utworzyła pod sobą sklepienie, rozwidnione przyćmionym światłem. Pośrodku stał otwarty sarkofag, a nad nim świeciła promienna gwiazda; obok grobowca stał ten sam duch genialny, który służył księciu za przewodnika. Obecnie jednak zamiast krzyża miał w ręku czarny kubek.

- Co to wszystko znaczy? - przemknęło przez myśl Supramatiego jak błyskawica.

- Ma to znaczenie następujące: oto zagadka, którą musisz rozwiązać - odrzekł duch, podnosząc czarny kubek.

W tej chwili zapadły ciemności. Supramati poczuł, że leci w otchłań i zemdlał.

Gdy otworzył oczy, ujrzał pochyloną nad nim Narę i Dachira.

Powiódł ręką po czole, usiłując zebrać myśli. Miał wrażenie, jakby ocknął się po ciężkim śnie, pełnym okropnych koszmarów.

Nagle zbudziła się w nim pamięć i uprzytomnił sobie dokładnie wszystko, co zaszło. Lecz kiedy rozchylił usta, aby przemówić, Dachir położył mu palec na wargach i rzekł takim głosem, który zmusił go do posłuszeństwa:

- Milcz! Nie odsłaniaj tajemnicy, którą oglądałeś. Noś ją w sobie jak przewodnie światło.

Rozdział drugi

Po upływie kilku dni, przeznaczonych na odpoczynek i spędzonych na wesołych, przyjacielskich pogawędkach tudzież na interesującej lekturze, Dachir oznajmił pewnego wieczoru, że znowu nadszedł czas pracy i pracę tę rozpoczną nazajutrz z rana w laboratorium. - Czy znowu będzie wywoływanie? - zapytał Supramati z odcieniem niechęci.

Nara pogroziła mężowi palcem, a Dachir odpowiedział ze śmiechem:

- Nie, tym razem weźmiemy się do teorii, na praktykę mamy jeszcze czas.

Nazajutrz z rana, zaledwie wzeszło słońce, Supramati zjawił się w laboratorium. Zastał już tam Dachira, który pochylony nad jakimś olbrzymim foliałem, zajęty był czytaniem.

Powitali się serdecznie i Dachir, podnosząc się z krzesła rzekł:

- Najpierw muszę pokazać ci, mój przyjacielu, jak należy rozpoczynać dzień.

Zaprowadził Supramatiego do pokoju, w którym stały dwa łóżka i wanna! Minęli go jednak i otworzywszy ukryte w ścianie drzwi, zeszli krętymi schodami na niższe piętro, na którym znajdowała się prawdziwa łazienka z umieszczonym pośrodku dużym, marmurowym basenem. Resztę umeblowania stanowiła toaleta, zaopatrzona w niezbędne przybory, pościel i dwa duże kosze.

- Będziemy tu się odświeżać trzy razy dziennie. Czy widzisz tę sprężynę? Za naciśnięciem jej, basen napełnia się, za przesunięciem jej w prawo, płyn znika. Ta niebieska emaliowana amfora zawiera esencję aromatyczną, której szklankę należy wlać do wody. Po użyciu kąpieli będziesz przywdziewał szaty, które znajdziesz w tym oto kufrze. W szatach tych poczujesz się daleko wygodniej i ponadto pod względem kroju i koloru nadają się one bardziej do naszych zajęć, aniżeli te wasze modne ubrania. Po wykonaniu tego wszystkiego, co ci zaleciłem, przyjdź do mnie do laboratorium.

Kąpiel istotnie odświeżyła Supramatiego. Aromatyczna esencja zabarwiła wodę delikatnym, różowym kolorem i napełniła pokój zapachem róż i fiołków.

W kufrze Supramati znalazł długą, szeroką szatę z czarnej wełny, czarną czapeczkę i złoty łańcuch z przywieszonym pośrodku znakiem, który był wysadzany siedmioma różnymi drogocennymi kamieniami.

Wróciwszy do laboratorium, Supramati spostrzegł, że Dachir jest ubrany tak samo jak on.

- Obydwaj uczyniliśmy się podobni do Fausta! Dla zupełnego złudzenia brak tylko Mefista.

- O, nie! - zaprzeczył wesoło Dachir. - Właśnie ja kreuję Mefistofelesa w przebraniu uczciwego uczonego doktora. Albowiem przeze mnie będziesz wtajemniczony w arkana czarnej magii, o ty szlachetny Fauście, który zostałeś obdarzony wieczną młodością, mającą trwać daleko dłużej, niż młodość twego pierwowzoru. Zresztą rola kusiciela odpowiada mi znakomicie, a to z uwagi na kiepską sławę, jaką mnie obdarzyła legenda.

Gdy obydwaj usiedli, Dachir ciągnął:

- Najpierw powiem ci o pramaterii, tj. o tej niezwykłej substancji, którą wchłonąłeś w siebie, a o której nic nie wiesz. Nie myśl, że będę mógł udzielić ci zupełnie zrozumiałych wyjaśnień; ja sam zaledwie posiadam znajomość alfabetu tej olbrzymiej nauki, w której zawarty jest cały mechanizm wszechświata. Nie będę wspominał o zdobyczach współczesnych nauk, które bez wątpienia znasz doskonale, jako doktor i znakomity chemik. Nadmienię tylko, że nauka "oficjalna" nie zna istoty olbrzymiej ilości tych czynników, które działają wokół nas, nie wie, że poznawanie pierwiastków lub składników ciał prowadzi do coraz nowych odkryć i że niejedna rzecz, która wydawała się być bardzo prosta, okazała się nader złożoną.

Otóż cała nieskończona przestrzeń wypełniona jest eterem substancji bardziej subtelnej niż najsubtelniejszy i najlżejszy gaz czy fluid. Substancję tę nazywamy pierwotną materią. Jeśli można się tak wyrazić, jest to ogień w stanie nieuchwytnego fluidu, motor, dający życie, coś, czym jest wszystko przesiąknięte.

Ale czy duchy wyższe, wtajemniczone znają właściwości tej niezwykłej substancji, którą słusznie można nazwać "żywotnym sokiem wszechświata", nie wiem.

Substancja ta wypełnia całą przestrzeń, cały kosmos. Gdy zaczyna się tworzyć mgławicowa plama, wówczas pierwotna materia gęstnieje dzięki niezwykłej szybkości wiru i każda powstająca planeta pochłania ją w takiej ilości, jaka jest jej niezbędna dla przyszłych potrzeb. Ta matka-karmicielka jest nieodzowna dla życia ciał niebieskich w ciągu miliarda lat, gdyż pierwotną materią obdzielone jest wszystko, cokolwiek żyje, oddycha, porusza się i wydaje energię światła. Tam, gdzie światło to gaśnie, zaczyna się rozkałd; to - śmierć.

Każda planeta zawiera w swoim wnętrzu pewien zapas tego żywotnego soku i świat istnieje tylko do czasu, zanim nie wyczerpie się ostatnia kropla pierwotnej materii i zanim nie zachwieje się równowaga żywiołów, utrzymywana dzięki tej dziwnej substancji; albowiem jest ona właśnie tym boskim tchnieniem, o którym wspomina księga bytu - tchnieniem Stworzyciela, które unosi się nad mrokami chaosu i rozgranicza żywioły. Istotnie pierwotna substancja, przenikająca tworzącą się materię, dokonuje podziału, ale zawsze zachowuje dominującą rolę, przeistaczając się wskutek wirowania w różnorodne, ożywiane przez nią ciała; jakkolwiek na początku zadanie jej polega na zasilaniu światła w ciągu jego trwania planetarnego, to jednak wskutek atomizowania się i nieskończonego procesu przemiany, daje ona tylko życie ograniczone, jakie posiadają rośliny, zwierzęta i ludzie.

W wolnej postaci substancja ta nigdy nie jest składnikiem zwykłego życia, lecz przechodzi z pokolenia na pokolenie za pomocą przeradzania się.

Nam, nieśmiertelnym, wszystko to przedstawia się odmiennie. Pierwotną materię pochłaniamy w jej pierwotnej postaci i wobec tego ciała nasze osiągają długowieczność życia planetarnego.

Jak ci już wiadomo, żaden zbytek i żaden przypadek nie mogą wyczerpać źródła zawartej w nas żywotności pod warunkiem, że nie chwycimy się środka, użytego przez Narajanę i pociągającego za sobą nader poważne następstwa. Ażeby umrzeć, musimy wyczekiwać przejścia na inną planetę. Tam pierwotna materia znajduje się w zgoła odmiennych chemicznych kombinacjach, z którymi już nie może utworzyć organicznego związku zawarta w nas, wyczerpana i osłabiona materia tutejszego życia.

Nastąpi rozkład i oto po zakończeniu naszego długiego życia doczekamy się nareszcie chwili uroczystego przejścia do świata niewidzialnego. Dlatego jest rzeczą wielce rozsądną używać wszystkich sił, aby ciągle czynić postępy i aby w naszym duchowym życiu nie zatrzymywać się na jednym miejscu.

Supramati drgnął i nerwowo odrzucił w tył swe ciemne włosy.

- Wiesz, co ci powiem, Dachirze? Oto, gdybym na początku zdawał sobie sprawę z tego, co czynię, za nic w świecie nie wziąłbym do ust tego zdradzieckiego kubka. Chwilami, patrząc w perspektywę bezkresnego życia, dostaję zawrotu głowy.

- Wierzę ci! Właśnie tego samego i ja doświadczałem. A jednak w miarę, jak zgłębiałem naukę, uczucie to znikało. Bądź co bądź tym razem Rubikon przekroczony - trzeba iść naprzód!

- Lecz powiedz, proszę, kto pierwszy miał szczęście otrzymać tę pierwotną materię w całej jej ogromnej potędze i w jaki sposób przekazał ją innym?

Zapytujesz o to, czego sam nie wiem. Trudno jest wskazać wynalazcę “panaceum”, z którego dobrodziejstwa korzystamy z uwagi na archaiczność samego zdarzenia. Na ten temat istnieją pewne podania, które wydadzą ci się nazbyt legendarne.

Podobno Ewa, skuszona przez węża zakosztowała tej substancji; gdyż życie wydało jej się tak piękne, że zapragnęła przedłużyć je w nieskończoność.

Poczęstowała również Adama i za to oboje zostali wygnani z Raju. Lecz opuszczając Raj, oboje wzięli ze sobą zapas tej materii, co stanowi przyczynę tak długiego życia pierwszych patriarchów, tudzież Matuzala. Podobno Melchizedech posiadał tę materię i był już w owym czasie członkiem bractwa. Powyższe wyjaśnia również historia Prometeusza.

Lecz, gdzie się znajduje pierwotne źródło tej tajemniczej substancji - nie wiem. Jedni twierdzą, że na wyspie Ceylon, gdzie znajdował się Raj ziemski, inni wspominają o tajemniczym miejscu w Mezopotamii, pomiędzy Tygrysem i Eufratem, ktoś jednak zapewniał mnie, że w Afryce jest pewna grota, która głębokością swą dochodzi prawie do środka ziemi, skąd wypływało źródło życiowych sił.

Któż jednak doszuka się prawdy w tych wszystkich opowiadaniach? Jestem jedynie pewien, że znaczną ilość tej substancji posiada ośrodek naszego bractwa, znajdujący się nad dozorem jednego spośród członków.

W lodowcach strażnikiem takiego składu był Narajana, obecnie zaś rola ta przypadła tobie. Poczekaj! Chcę ci coś jeszcze powiedzieć. Mówiono mi, że niektóre olbrzymie węże znają właściwości pierwotnej materii i potrafią odszukać drogę do zdobycia jej. Jakoby miała pochłaniać ją królowa tych węży. Po przełknięciu materia ta odchodzi z powrotem i dzięki zetknięciu się z powietrzem oraz wskutek żywotnych emanacji, którymi jest przesycona, przybiera kształt błękitnego świecącego kamienia, obdarzonego cudowną mocą.

Jest to tak zwane “palladium” każdego królestwa węży. Ale jedynie wtajemniczeni umieją zdobywać ten kamień, posiadający niezwykłą własność. Leczy on choroby, zabezpiecza przed śmiertelną trucizną, lub jadem, zabliźnia rany, rozwija okultystyczne zdolności duszy, wywołuje jasnowidzenia itp.

Posiadacz takiego kamienia może poddać swojej woli wolę innych ludzi, nie będąc narażonym na podobne zakusy z innej strony.

Podobne kamienie posiadali niejednokrotnie profani, nie domyślający się wszystkich ich własności. Ten, kto jest wtajemniczonym nieśmiertelnym, może jedną kroplą pierwotnej materii rozłożyć ten kamień, który wówczas ulatnia się i przechodzi w gaz.

Z kamieni tych można wyrabiać magiczne gwiazdy; podobny kamień ma na piersi Mahatma. Z substancji takiego kamienia był proszek, który miał w swym ręku Van Hellmont i Helwecjusz i za pomocą

którego najmniej szlachetne metale można przekształcić w złoto.

Prawdziwe magiczne berła, ale nie zwyczajne berła zaklinaczy, mają w sobie zawsze materię pierwotną. Stąd właśnie wypływa ich moc w opanowywaniu żywiołów. Posiadając takie berło, mag budzi roślinność, wywołuje ładną pogodę lub ściąga deszcz, burzę, pioruny i błyskawice.

Za pomocą podobnego berła Mojżesz otworzył ziemię i wywołał ogień, który strawił buntowników.

Pierwotna materia w postaci proszku jest filozoficznym kamieniem alchemików; zmieszany z ziemią, powołuje do życia magiczne rośliny; ten sam proszek w połączeniu z różnymi chemicznymi materiałami tworzy drogocenne kamienie, obdarzone różnymi właściwościami magicznymi. Jednym słowem, mag w zależności od stopnia swego wykształcenia może wywoływać różne zjawiska; gdybyś je widział, zdawałoby ci się, że znalazłeś się w świecie zaczarowanym, podczas, gdy w rzeczywistości byłoby to tylko umiejętnym zastosowaniem potęg, nieznanych przez profanów.

Pierwotną materią posługują się wszyscy magowie i wtajemniczeni. Jedni biorą ją w celu zagwarantowania sobie życia planetarnego, inni natomiast zadowalają się tym, że korzystają z jej własności i zajmują się badaniem, jak studiami naukowymi.

- Z tego wynikałoby, że nie wszyscy magowie i wtajemniczeni cieszą się życiem planetarnym? - zapytał Supramati.

- Żyją oni wszyscy bardzo długo, nawet ci, którzy nie pragną przedłużyć swego życia za pomocą wiedzy. Ta długotrwałość pochodzi stąd, że ich życie trzeźwe, proste, pozbawione wszelkich wybryków, bardziej uduchowione, niż życie istoty materialnej, nader powoli wyczerpuje żywotne moce.

Lecz niezależnie od nieśmiertelnych z naszego bractwa, istnieje olbrzymia liczba wtajemniczonych, którzy zabezpieczają się na wielowiekowe życie, działając innymi środkami. Środki te zachowują im młodość, ewentualnie wiek dojrzały i dają im możność odejścia w świat niewidzialny w każdym czasie. Ale kategoria tych mędrców podlega specjalnej surowej regule, obowiązani są wystrzegać się wszelkiego zbytku, czego znowu może nie uczynić nieśmiertelny z naszego bractwa. Niestety w niejednym bractwie znajdzie się człowiek w rodzaju Narajany lub spotkać można zdeprawowane jednostki igrające ogniem, dalekie od poznania tej siły, jaką dysponują. Lecz ludzie tacy znikają po upływie krótszego lub dłuższego czasu swego istnienia, podobnie, jak zniknął twój poprzednik.

- Więc mamy zacząć od poznania pierwotnej materii? - zagadnął Supramati.

- Tak i nie! Pierwotna substancja zawarta jest niewątpliwie we wszystkim i spotykamy ją wszędzie, w najróżnorodniejszym zastosowaniu; ale nasz program będzie bardziej ograniczony. Zaczniemy od poznawania tego, co ma nazwę czarnej materii. Weźmiemy się do poznawania żywiołów w ich niezespolonym i burzliwym stanie. Każdy żywioł posiada własnych prawodawców. Otóż zapoznasz się przede wszystkim z tymi niższymi, lecz strasznymi w swej potędze czynnikami. Dopiero wtedy, gdy ich pokonasz, zostaniesz ich władcą, wyzbędziesz się obawy przed ich groźnymi mocami, wówczas przejdziemy do niższego stopnia białej magii, gdzie wysiłki nasze będą już uwieńczone względnym spokojem, pewną harmonią wewnętrzną i świadomością własnych sił. Mam nadzieję, że po przejściu tego stopnia będziesz mógł zostać uczniem Ebramara i pod jego kierunkiem wznieść się o kilka faz wyżej do jaśniejącego przybytku “absolutnej harmonii”.

- Czy starczy mi sił na tej ciernistej drodze? - westchnął z powątpiewaniem Supramati.

- Przede wszystkim - nie powątpiewaj! Pamiętaj zawsze, że wątpienie jest już częściową porażką. Oczywiście, musisz pokonać jeszcze wiele rzeczy i znieść wiele ciężkich prób; ale posiadając energię i stanowczość, przezwyciężysz to, co przezwyciężone zostało przez tylu innych, co przed tobą przezwyciężyłem i ja! Pomyśl tylko, z jakim mozołem musiał przechodzić pierwsze stopnie wiedzy nieokrzesany, gruboskórny korsarz, a w jakich warunkach ty jesteś, będąc uczonym, zaprawionym w pracy umysłowej.

- Słusznością swoich wywodów zawstydziłeś mnie, Dachirze. Pozwól, że ci podziękuję i wybacz, że obarczyłem cię takim niewdzięcznym zadaniem, jak wtajemniczenie ciemnego profana, jakiego masz w mojej osobie, dla którego potrzeba wiele cierpliwości.

Dachir uśmiechnął się i serdecznie uścisnął dłoń Supramatiego.

- Nie rób sobie zbytecznych wyrzutów - rzekł. Rad jestem, że mogę być twym nauczycielem. Wszak jesteśmy prawdziwymi braćmi, związanymi wspólnym losem, jednakowymi dążeniami i wspólną pracą. Cierpliwości mam dość, gdyż przeszedłem już wszystkie zwątpienia, niepokoje i ciężkie próby, które teraz oczekują ciebie. Przeżyłem nieuchronne momenty upadku ducha, zniecierpliwienia i nawet przykro-

ści, a był to czas, gdy przez stosowanie praw okultystycznych obserwowałem zjawiska, których zasady nie mogłem sobie wytłumaczyć; wiele zadanych przeze mnie pytań zostało bez odpowiedzi, jakkolwiek wmawiano we mnie wspaniałomyślnie dla otuchy: “Zrozumiesz to później!”

Dalsza rozmowa ciągnęła się na ten sam temat. Supramati zainteresował się szczególnie pierwotną materią i ciągle dopytywał się o nią, aż Dachir rzekł mu z uśmiechem:

- Widzę, że rad byś za jednym zamachem przeniknąć “święte świętych” i dowiedzieć się więcej niż ja sam mogę ci tej wiedzy udzielić. Jest to niemożliwe. Nauczę cię tylko sylabizowania. Ponieważ jednak własności i działanie pierwotnej materii zainteresowały cię tak bardzo, pójdź ze mną: zrobimy doświadczenie, z którego dowiesz się, jak działa tajemniczy czynnik podczas formowania się planet i jak rozdziela on na różne składniki i zasadnicze pierwiastki.

Supramati wstał bardzo zadowolony i podążył za Dachirem, który skierował się w głąb pokoju, gdzie za naciśnięciem sprężyny otworzył drzwi.

- Zamek ten jest zupełnie podobny do pudełka z sekretnymi przedziałkami! Ściany i podłogi mają pełno niespodzianek - zauważył wesoło Supramati.

Wszedł śmiało ze swoim przewodnikiem do okrągłej sali, w której podłoga była połyskująca i tak wygładzona, że poślizgnąwszy się, omal nie upadł.

- Do licha! Zdaje mi się, że idę po tafli kryształowej! - zawołał.

- Tak jest w istocie - odparł również wesoło Dachir. - Więc idź ostrożniej!

Supramati z ciekawością rozejrzał się dookoła. Sala była prawie pusta.

- Powiedz mi, Dachirze - zapytał - dlaczego wszystkie pokoje są tutaj okrągłe, a nie czworoboczne? Czy i to ma jakiś związek z magiczną praktyką?

- Oczywiście - odrzekł Dachir - funkcjonowaniu toków podczas wszystkich magicznych operacji sprzyjają bardziej koła, niż figury łamane, w to jest włączona energia kształtu Ziemi.

Następnie uniósł ciężką kotarę i odsłonił wysokie, wąskie okno, oszklone jedną grubą szybą.

- Spójrz! Środek podłogi składa się z czerwonego kryształu, a tam na cokole stoi coś w rodzaju kryształowego pudła. Jest to właśnie instrument, za pomocą którego dokona się nasze doświadczenie.

Supramati zbliżył się i pochylił nad dużym, przeźroczystym pudłem. Pudło to było zupełnie próżne, zaledwie na dnie jego widniała maleńka skłębiona mgiełka, mieniąca się wszystkimi barwami tęczy.

- W tej gablocie znajduje się fluid przestrzeni w takim stanie i w takich kombinacjach, jakie towarzyszyły tworzeniu się i naszej planety. Zaraz zobaczysz, jak na niego podziała materia pierwotna.

Dachir wyjął z kieszeni mały flakonik ze złotym korkiem napełniony tajemniczym płynem, który Supramati znał już dobrze.

- Ten flakon - rzekł - zapatrzony jest w przyrząd, przepuszczający zaledwie jedną dziesiątą część kropli materii, niezbędnej dla naszego doświadczenia.

Po chwili kropla, podobna do iskierki ognia, padła na dno pudła. W oka mgnieniu Supramati poczuł mocne uderzenie w kark i odniósł wrażenie, jak gdyby ziemia zakołysała mu się pod nogami. Dachir chwycił go za rękę i przytrzymał. Zresztą trwało to wszystko zaledwie jedną sekundę tak, że Supramati nie zwrócił na przyjaciela uwagi, gdyż pochłonęło go widowisko, rozgrywające się w jego oczach.

Wewnątrz kryształowego pudła wrzało. Różnokolorowe obłoki zaczęły wirować z nieprawdopodobną szybkością, rozlewając się, gęstniejąc, tworząc spirale i rwąc się na strzępy, jakby je pędził huragan. Aby złudzenie było zupełne, w pokoju rozlegał się jednocześnie trzask, świst, szum ogłuszający, jak gdyby pracowało naraz kilka elektrycznych motorów. Szum ten chwilami zagłuszało przewalenie się pioruna.

Nagle wrzawa ucichła i wszystko rozpłynęło się w szarej parze, przeoranej byłskawicą. Wreszcie uczynił się jakiś nieopisany ruch i - ku najwyższemu zdziwieniu Supramatiego utworzyły się cztery warstwy, różniące sią kolorami i materią.

W głębi pudła burzyła się roztopiona masa; ukazała się nad nią czerwona, przeźroczysta warstwa. Trzecia warstwa była bardziej przeźroczysta i miała błękitnawe zabarwienie. Resztę przestrzeni wypełniła szara para. Bardziej uważny wzrok dostrzegał, że z pyłem tej pary mieszało się mnóstwo świecących punktów.

Z roztopionej materii wyrastały i unosiły się w górę cienkie włókna, które niezatrzymywane nigdzie i skręcone na kształt olbrzymiego węża przebiegały przez wszystkie trzy warstwy z lekkim chrzęstem.

- To, co obecnie zaszło w ciągu kilku minut, w przestrzeni dokonuje się w ciągu milionów lat i to pod działaniem tej materii pierwotnej, której kilka kropel wystarczyłoby, aby planeta nasza została strawiona i obróciła się w gaz. Ponieważ doświadczenie nasze było nader niedoskonałe, przeto forma sferyczna nie mogła się utworzyć. Ale nie gra to roli! I bez tego powinieneś rozumieć, że roztopiona materia - to środek, wnętrze planety i ognisko, skąd bierze początek życie. Warstwa czerwona wyobraża pierwszą kondensację najmniej szlachetnych materii, tworzących korę. Następnie idzie płynna i atmosferyczna warstwa, która przenika ogień przestrzeni, mająca w waszym słowniku nazwę elektryczności. Toki tej rzekomej elektryczności, przedstawiające się w postaci ognistych żył, zawsze są w styczności z głównym rezerwuarem centrum.

Gdy Supramati nie mógł się napatrzeć na ten wywołany w oka mgnieniu dziwny wzór świata, Dachir podał mu olbrzymią lupę.

- Proszę, weź to. Instrument ten jest zrobiony z brylantu, ważącego z górą sto karatów. Jest on o wiele doskonalszy, niż wasze lupy. Za pomocą niego możesz widzieć, jak podczas ukształtowania się materii, w stopniu obecnie oglądanym, już różniczkują się kształty istot żywych i roślin, których zaczątki są już dane i które później wytworzy ziemia.

Supramati chwycił instrument, a gdy spojrzał, z ust jego wybiegł zdławiony okrzyk. Zdumionymi oczami ujrzał nieprzeliczone mnóstwo roślin i zwierząt, mających przeróżne kształty. Była to flora i fauna w stosunku do siebie różnorodna. Ale było to zarazem coś tak mglistego, w takim chaotycznym stanie, że na zorientowanie się w szczegółach należałoby poświęcić całe miesiące.

Toteż Dachir przerwał mu oglądanie.

- Czas już odłożyć to wszystko. Na razie napatrzyłeś się dosyć, a na szegółowe obejrzenie wszystkiego potrzebowałbyś dużo czasu. Dopływ świeżego powietrza zaraz zburzy ten mikroskopijny światek.

Otworzył okno i do pokoju wpadła fala świeżego morskiego powietrza. Dachir uchylił wieko pudła i - utworzone w nim warstwy zmieszały się momentalnie i rozpłynęły w szarej parze, która ulotniła się w atmosferze, nie pozostawiwszy żadnego śladu.

Zamknąwszy okno, zasunął kotarę, potem obydwaj przeszli do sąsiedniego pokoju.

Supramati, zaabsorbowany tym, co widział i wzburzony siadł w fotelu i zamyślił się głęboko.

- Chodźmy na obiad. Nie widziałeś jeszcze naszej jadalni, - rzekł Dachir, wesoło klepiąc przyjaciela po ramieniu.

- Masz rację! Zapomniałem o tym, że jestem głodny.

- Dobry znak! Jeżeli wyszedł ci z pamięci obiad, to nadajesz się na uczonego.

Rozmawiając tak, minęli laboratorium, zeszli ze schodów i drzwiami, znajdującymi się w ciemnym gabinecie, weszli do niewielkiej sali o poczerniałych wskutek starości belkach i ciemnych, pokrytych rzeźbami ścianach. Ciężki, masywny kredens, stół i krzesła z wysokimi oparciami świadczyły o starożytności zamku.

Wąskie okno z kolorowymi szybami było otwarte i obok niego stał duży fotel pod baldachimem.

Stół, nakryty białym obrusem, zastawiony srebrami i kwiatami był przygotowany na przyjęcie dwóch osób. Za jednym z krzeseł stał karzełek, spełniający powinności lokaja.

Obiad składał się z jarzyn, jaj i puddingu z suszonych owoców. Oprócz tego na stole leżały ser, chleb, masło, mleko i stała butelka wina.

Na deser były przeznaczone winogrona, gruszki i brzoskwinie.

- Menu nasze nie jest zbyt złożone, ale podczas prowadzonych tu prac musisz zadawalać się potrawami jarskimi. Wszyscy wtajemniczeni praktykują w ten sposób - zauważył Dachir z uśmiechem. - Gdybyśmy byli zwykłymi śmiertelnikami, musielibyśmy poprzestać wyłącznie na chlebie i wodzie, aby ciała swe przygotować ścisłym postem do przyszłych doświadczeń; ponieważ jednak jesteśmy nieśmiertelni, więc możemy pozwolić sobie na tak zbytkowny obiad.

- O, według mnie zasady wegetarianizmu są znakomite - odrzekł Supramati. - W ciągu całego czasu zamieszkiwania u Ebramara, żywiłem się wyłącznie jarzynami i nie czułem żadnego pociągu do mięsnych potraw, do których zresztą mam wstręt.

- Gdy upłynie termin twego pierwszego “wtajemniczenia” i w ogóle, gdy wrócisz do świata, możesz znowu jeść mięso, lecz być może wtedy sam nie będziesz już chciał!

- Bardzo możliwe, gdyż rozumiem, że potrawy mięsne zarażają organizm składnikami trupimi.

Po skończonym obiedzie młodzi ludzie wrócili do laboratorium. Dachir przyniósł znaki i niezrozumiały tekst.

- W książce tej są zawarte formuły wszystkich kategorii. Wszystkich tych znaków powinieneś się nauczyć, a formułki umieć na pamięć. Są to początkowe zaklęcia i gdy opanujesz je pamięciowo, zrobimy pierwsze doświadczenie. Nawet zwykli czarownicy znają część tych formuł, lecz od ciebie wymaga się czegoś więcej. Nie powinieneś, jak zwykły czarownik, być niewolnikiem złych potęg, które wywołasz; musisz od razu, na wstępie, zostać ich panem i rozkazodawcą. Ponieważ wzrok twój wtórny jest jeszcze nierozwinięty, więc zaopatrzę cię w magiczne okulary, przez które będziesz mógł oglądać to, co wokół ciebie dzieje się.

Supramati wziął się do pracy żarliwie. Studiował tajemnicze znaki i uczył się formułek, złożonych z liczb i słów, których znaczenia nie rozumiał.

Początkowo przyzwyczajał się z trudem do tak nowego rodzaju zajęć, lecz Dachir pomagał mu i udzielał wyjaśnień. Zanim zapadła noc, Supramati umiał już prawie bez błędu wymawiać kilka formułek i kreślić wprawioną ręką niektóre znaki.

Praca ta pochłaniała go do tego stopnia, że nie zauważył nadejścia nocy. Dachir zapalił lampę i spojrzawszy na zegar, rzekł z uśmiechem:

- Skończ już pracę, na dzisiaj dosyć. Niedługo wybije dziesiąta, a nasza piękna pani domu nie może się nas doczekać. Śpieszysz się niepotrzebnie, gdyż Bogu dzięki, czasu masz dużo.

- To prawda, lecz chciałbym jak najprędzej przejść pierwsze najcięższe i najmniej ciekawe stopnie wtajemniczenia - odparł Supramati, ocierając pot z czoła.

Przebrani w swoje zwykłe ubrania, przeszli do stołowego pokoju, w którym oczekiwała na nich Nara.

- Cóż powiesz, Supramati? Jakże spędziłeś pierwszy dzień twego wtajemniczenia? - zapytała z uśmiechem młoda kobieta.

- Ogromnie ciekawie - odrzekł Supramati, całując żonę.

Usiadł obok niej i z ożywieniem zaczął opowiadać o pracy, dokonanej w ciągu dnia.

- Wszystkie tajemnice świata niewidzialnego, które oglądałem, zachwycają mnie, lecz jednocześnie przejmują trwogę. Zatrważa mnie leniwego prostaka, olbrzymi trud, jaki mam jeszcze podjąć. Znajdując się u podnóża wysokiej drabiny, po której szczeblach mam iść do góry, dziwię się, jak inni mogli wejść tak wysoko, nie czując zawrotu głowy - dodał żartobliwie smutnym głosem.

- Skorzystaj z dwóch cnót, które były ogromnie pomocne twoim poprzednikom, a mianowicie: z męstwa i stanowczości, a wejdziesz tam bez przeszkód - odrzekła wesoło Nara.

I zaraz dodała z powagą:

- Przeczucie mi mówi, że osiągniesz wyższe stopnie wiedzy i zostaniesz wielkim magiem. Byłeś zawsze myślicielem i dobrym pracownikiem. Im dalej posuniesz się na nowej drodze, tym bardziej zainteresuje cię świat okultystyczny i potęga, jaką zdobędziesz, gdy zawładniesz całą armią zręcznych, zdradzieckich lecz odważnych żołnierzy, ukrytych w otaczającej cię atmosferze i niewidzialnych dla profanów. Nie odczuwałeś jeszcze rozkoszy w górowaniu ponad tłumem, w odczytywaniu cudzych myśli, w przynoszeniu ulgi utajonym cierpieniom i we władaniu siłami natury.

- Daj Boże, aby twoje przeczucia, najdroższa moja, spełniły się i abym stał się godnym twojej, tak dobrej o mnie opinii. W każdym razie, do osiągnięcia tego celu użyję całej swej woli - rzekł Supramati, całując rękę żony.

Rozmowa potoczyła się na ten temat. Gdy Dachir mówił o wywoływaniach, które zamierzali uczynić, Supramati ze swej strony o kilku seansach spirytystycznych, na których był obecny podczas ostatniego swego pobytu w Londynie.

Chorował wtedy bardzo i wobec zbliżającej się śmierci chciał dociec prawdy w mroku mogiły, do której zmierzał tak szybko.

Został członkiem pewnego koła i brał udział w serii seansów. Widział nader ciekawe manifestacje: pojawienie się przedmiotów, efekty świetlne i nawet częściową materializację. Niektóre zjawiska wywarły na nim głębokie wrażenie, inne - zbudziły pewne wątpliwości.

- Wiem o tym - wtrąciła Nara - że tego rodzaju seanse są w modzie i że w ogóle spirytyzm rozpowszechnia się szybko, gdyż czyni on zadość potrzebom serca tych ludzi, których znudziła pustka różnych przekonań i nietolerancja nauki, mogąca śmiało równać się z zacofaniem klerykalnym. Niestety,

spirytyzm, znalazłszy się w chaotycznych i niepomyślnych warunkach, utknął na abecadle świata okultystycznego, gdyż spirytyści nie znają praw, rządzących zjawiskami. Dobre media spotyka się rzadko, a duchom-przewodnikom najczęściej przeszkadza brak harmonijnego nastroju wśród uczestników i nieraz zła wola. Głupi, ordynarny tłum chce patrzeć tylko dlatego, aby później negować i wyśmiewać się w przekonaniu, że świat pozagrobowy ze swymi okropnymi tajemnicami istnieje dla jego rozrywki.

- Słusznie! - rzekł Dachir. - Dzięki spirytyzmowi dużo jest błaznów. A jednak ta wiedza, śmieszna na pozór, zrobiła dużo dobrego i uratowała niejedną duszę ze zgubnej przepaści materializmu. Wiele rzeczy mogłoby się dokonać, gdyby na sprawę spirytyzmu patrzono inaczej.

Na chwilę wszyscy umilkli, po czym odezwała się Nara:

- O, tak, pragnęłabym, aby spirytyzm, dowodzący istnienia życia pozagrobowego w spobób dla każdego dostępny, rozwijał się i dojrzewał dla dobra ludzkości! Ale, wracając do ciebie, Supramati, jeśli sobie życzysz, możemy jeszcze dzisiaj urządzić seans spirytystyczny. Uczynię cię momentalnie jasnowidzącym i będziesz widział cały okultystyczny proces manifestacji spirytystycznych.

- Naturalnie, proszę cię bardzo. Uprzedzasz moje pragnienia. Chodźmy prędzej do laboratorium.

- Po co aż tam? Wystarczy mój salonik. Więc idźcie tam, panowie i przygotujcie wszystko, a ja tymczasem zarządzę coś na kolację, co nie będzie zbędne po seansie.

- Naturalnie, coś jarskiego? - zapytał, śmiejąc się Supramati.

- Właśnie. Na razie musisz zapomnieć o mięsie, później zaś, po upływie lat kilku, rostbeef, pieczone bażanty i inne smakołyki tego rodzaju wydadzą ci się kawałkami trupa. Ujrzysz rzeczy, które odbiorą ci apetyt, a woń rozkładu, której nie czują przeciętni gastronomowie, będzie cię dusić.

W maleńkim saloniku Dachir i Supramati pozasłaniali okna, usunęli zbyteczne meble i pośrodku ustawili okrągły stolik. Potem zgasili lampy i zapalili tylko jedną świecę.

Zaledwie zdążyli poczynić te przygotowania, weszła Nara. Przyniosła ze sobą maleńki, srebrny trójnóg i postawiła go na stole. Potem małymi kleszczami wyjęła spod kominka tlące się jeszcze węgle i położyła je na trójnogu. Gdy rozdmuchane przez Dachira węgle rozpaliły się, Nara wyjęła z kieszeni flakon i zawarty w nim płyn wylała na ogień. Momentalnie buchnął dym gęsty, napełniając pokój aromatem, w którym Supramati odróżnił zapach, znany mu już z pobytu na balu u hrabiego Rocka. Tym razem jednak aromat był tak silny, że Supramati doznał zawrotu głowy. W milczeniu usiadł przy stole.

Dachir wziął berło, znaczone kilkoma węzłami i pochyliwszy się zakreślił koło.

Na podłodze zajaśniała szeroka, fosforyczna obręcz, która w chwilę potem przemieniła się w szarą parę. Dachir teraz zajął swoje miejsce przy stole i położył ręce na rękach obecnych.

Zapanowało milczenie. Nagle wydało się Supramatiemu, że wokół niego wszystko zadźwięczało, poruszyło się, potem zaczęło wirować z niezwykłą szybkością razem z nim, ze stołem, z Narą, z Dachirem. Wkrótce pojawiło się błękitnawe światło i w tym półświetle dostrzegł ze zdziwieniem wysoką, cienką postać odzianą w szare, przypominające kolorem nietoperza, szaty. Ta istota, nadzwyczaj giętka i ruchliwa, trzymała w rękach czerwone berło, na którego końcu kręciła się kula również czerwona. Zewsząd padały fosforyczne iskry, łącząc się w locie ognistymi nićmi. Koło, zakreślone przez Dachira, wyrzucało teraz w górę płomienie różnej wielkości. Wkrótce obecni otoczeni zostali jakby fosforyczną siatką. Supramati obserwował wszystko z wzrastającym zainteresowaniem i ze zdziwieniem ujrzał, że z fałd portiery, ze ścian, podłogi i nawet z kominka zaczęły wychodzić różne istoty i grupować się przy kole. Twarze jednych miały wyraz dostępny i beztroski, innych - zły, zwierzęcy i nawet pełen nienawiści. Te drugie istoty próbowały przejść przez siatkę, lecz coś, jak prąd elektryczny, odrzucało je z powrotem. Dopiero wtedy, gdy przy stole zjawiło się kilka istot, podobnych ubiorem i szybkością ruchów do postaci, dzierżącej ognistą kulę - Nara wyraziła życzenie, aby z jadalni przyniesiona była karafka z wodą.

W tej chwili niektóre z duchów zniknęły z pokoju i wkrótce zjawiła się karafka otoczona białą parą podobną do waty. Karafkę dźwigały z trudem trzy szare istoty i postawiły na stole.

Potem Dachir polecił zagrać na flecie, gdyż instrument ten leżał na oknie. Momentalnie jakaś postać chwyciła flet i całkiem dobrze zagrała krótką znaną arię.

W tej chwili zjawił się nowy duch, który przestąpił z łatwością ogniste koło i przeszedł przez siatkę, zatrzymując się pomiędzy Narą i Dachirem.

Cała postać przybysza okryta była dużym, białym całunem, zasłaniającym mu także twarz.

W rękach trzymał bukiet kwiatów, od których szedł na cały pokój zapach lilii i róż.

Duch ten zaczął powoli ściągać zasłonę z twarzy i nagle głośny okrzyk wybiegł z ust Supramatiego, który w zjawie tej poznał swoją matkę. Piękna i odmłodzona patrzyła na syna jakimś dziwnym, nieruchomym wzrokiem.

Na jego okrzyk widziadło zachwiało się, pobladło, jakby miało zniknąć, lecz zaraz potem zjawiło się znowu.

- Mamo, znów widzę ciebie, droga mamo! - zawołał Supramati, dygocąc z wrażenia.

- Ralfie, drogie dziecko moje! - odezwał się kochany i dobrze znajomy głos.

- Ach, droga matko! Jakże byliśmy ciemni, nie wiedząc, że możemy się spotkać. Tyś była w pobliżu mnie, gdy opłakiwałem naszą rozłąkę i nie mogłaś dać mi znać o sobie, pocieszyć mnie i to tylko dlatego, że prawa świata niewidzialnego były nam nieznane. Czy jesteś szczęśliwa, powiedz? Czy widziałaś mego ojca?

- Widziałam go. Jest szczęśliwy i spokojny, gdyż uczciwie spełnił swe życiowe zadanie.

- Powiedz mu, że go kocham i codziennie modlę się za niego i za siebie. Patrz, mamo, jak jestem silny i zdrów! Teraz nie trwóż się o moje zdrowie - dodał z uśmiechem.

Twarz ducha omroczył wyraz bojaźni i smutku.

Położywszy rękę na głowie syna, widziadło odrzekło:

- Obecnie lękam się, czy nie za długim będzie to życie, o które niegdyś obawiałam się, że wkrótce zgaśnie.

- Więc powiedz, czy nie pochwalasz mi tej drogi, na którą zepchnął mnie los? - z żalem i niepokojem zapytał Supramati.

- Nie śmiem ganić, drogi Ralfie, gdyż nie znam się na tym. Jedynie obawiam się, że zbyt ciężką będzie dla ciebie nieśmiertelność i oczekujący cię olbrzymi trud, dzięki któremu masz stać się godnym sił tajemniczych, które ci dano do rąk. Zapytaj tych, którzy dotarli do wyższych dziedzin wiedzy i którzy mierzą swe życie lat tysiącami, czy są oni szczęśliwi, że wiecznie noszą na sobie znikomą powłokę, nie mogąc odpocząć w śmierci. Skazana na tysiące cierpień, właściwych życiu ziemskiemi, gdyż z dobrodziejstwa nieśmiertelności korzysta jedynie ciało, dusza jest jak dawniej, uwięziona i nie może nie czuć, nie kochać, nie opłakiwać cierpień, którym ulżyć nie zdoła.

Duch na chwilę umilkł, po czym znów zaczął mówić głosem coraz słabszym:

- Czuję, że opuszcza mnie siła, którą mnie obdarzono. Więc żegnaj, synu mój! Zjawię się, gdy mnie wezwiesz w ciężkiej dla siebie chwili, nie po to, aby rozwiązać zagadki, rządzące wszechświatem, lecz po to, abyś usłyszał czułe słowo matki.

Supramati czuł, jak ręka zjawy traciła swój dotyk, aż rozpłynęła się i uczyniła nieuchwytną. Widziadło topniało, stawało się przezroczyste, aż wreszcie zniknęło zupełnie.

Dysząc ciężko, Supramati upadł na krzesło i zakrył oczy. Jednocześnie Dachir zapalił świecę i rzekł:
- zmęczony jesteś, mój przyjacielu, nie na ciele, lecz na duchu. Przerwijmy ten seans! Zrobisz dobrze, nie bacząc na swą nieśmiertelność, jeśli położysz się spać.

Supramati wyprostował się, wziął pozostawione przez matkę na stole kwiaty ze zroszonymi jeszcze płatkami i przycisnął je do ust z uczuciem szczęścia i smutku zarazem.

Do rady Dachira nikt się nie zastosował i wszyscy zostali na miejscu, ciągnąc rozmowę. Supramati wiedział, że sceptycy celowo i uporczywie utrudniają rozwój spirytyzmu który przecież jest źródłem pociechy dla dusz cierpiących i jednocześnie sprzyja moralnemu odrodzeniu się człowieka, budząc w nim wiarę w życie pozagrobowe.

- Ach, ci sceptycy! - zawołała, śmiejąc się Nara. - Niekiedy czuję ogromną chęć przekonania ich przez nasadzenie im na nosy magicznych okularów. Sądzę, że ci wszyscy wielcy krzykacze uznaliby rozsądek za rzecz zbyteczną, przekonawszy się, że całą atmosferę wokół zaludniają te niewidzialne istoty, których egzystencji zaprzeczali, i że w przestrzeni, według ich zarozumiałego mniemania pustej, znajduje się królestwo istot niewidzialnych.

- Dało mi się niejednokrotnie już słyszeć podczas naszej rozmowy o jakiś magicznych okularach. Pokażcie mnie te okulary choć raz - poprosił Supramati.

- Chętnie - rzekła Nara i - otworzywszy rzeźbione biurko, inkrustowane kością słoniową, wyjęła duże okulary w złotej oprawie i podała je mężowi. Supramati oglądał je ze zrozumiałym zaciekawieniem. Szkła zastępował jakiś nieznany mu materiał bardziej przeźroczysty niż szkło i świecący różnymi kolora-

mi. Założył je, nie namyślając się długo, lecz ku swemu zdziwieniu niczego nie zobaczył, oprócz kolorowych fal, które wydawały szmer, poruszały się, przelewały. Jednocześnie miał wrażenie, że ścisnęła mu czaszkę jakaś rozpalona obręcz.

- Zdejmij okulary i obmyj twarz - rzekła Nara. - Dzisiaj nic nie zobaczysz, gdyż organy zmysłów masz zbytnio nasycone tą substancją, którą spaliłam przed seansem.

Patrząc jednak przez te okulary, zwykły człowiek przenika wzrokiem zasłonę, za którą ukryty jest świat niewidzialny.

Rzekłszy to, schowała okulary, a Supramati poszedł do swego pokoju umyć się, gdyż poczuł ból głowy, przemijający zresztą pod działaniem zimnej wody.

Rozdział trzeci

W ciągu kilku następnych tygodni nie zdarzyło się nic osobliwego.

Supramati uczył się gorliwie magicznych znaków i towarzyszących im dziwnych formułek, których najczęściej nie rozumiał. Gdy jednak zapytał Dachira o ich znaczenie, mag odpowiadał, że przedtem należy je umieć na pamięć.

- Ależ daleko trudniej nauczyć się tego, czego nie rozumiem! - zawołał podrażniony Supramati.

A jednak jest to rzecz niezbędna. Formułki, których się uczysz, mają tę własność, że gdybyś je rozumiał, wywołałbyś niepotrzebnie ukryte w nich moce i znalazłbyś się w położeniu ucznia czarownika u Goethego. Jedynie nieznajomość wypowiadanych słów utrudnia twym myślom i woli wywołanie zjawisk.

Wyjaśnieniem tym Supramati musiał zadowolić się z konieczności. Z czasem jednak przyznał słuszność słowom Dachira, spostrzegłszy, że istotnie jego studiom towarzyszą pewne fenomeny.

Gdy pewnego razu wymawiał magiczne formułki, opanowało go jakieś nieokreślone i niewymownie ciężkie zaniepokojenie. Uszu jego doszedł dziwny szum, wokoło niego pojawiły się dziwne cienie, z ciemnych kątów wybuchały iskry, ogarniało go tchnienie żaru.

Dowiedziawszy się o tych dość częstych przejawach, Dachir kazał przerwać naukę i na pewien czas zalecił inną pracę. Zaczął opowiadać przyjacielowi o ukrytych właściwościach drogich kamieni, ukazując mu różne kolory, którymi one świecą i ilustrując za pomocą przykładów działanie tych świetlnych emanacji na rośliny, zwierzęta i ludzi.

Zaczęli także wspólnie rozpoznawać trucizny roślinne, zwierzęce i mineralne, tudzież własności roślin i wpływ magnetyzmu zwierzęcego. Przed oczyma młodego doktora otwierała się teraz dziedzina zupełnie nowej botaniki i nowej chemii.

Kontynuowali również rozpoczęte ćwiczenia myślowe. Pewnego razu Dachir przyniósł z laboratorium duże koło, owinięte czarnym suknem. Postawiwszy je na stole, zdjął zeń sukno.

Supramati z ciekawością zaczął oglądać czarnoniebieską metalową tarczę, mieniącą się wszystkimi barwami tęczy, oraz magiczne lusterko, które już przedtem widział. Tarcza była oprawiona w ramę, rama zaś była wysadzona kawałkami różnych metali, drogimi kamieniami i medalionami, zawierającymi płyn. U góry zdobił ją medalion w kształcie amfory.

- Cóż to jest? - zapytał Supramati. Czy jest to lustro magiczne? Do czego ono służy?

- Tak, jest to lustro magiczne, które okaże ci pomoc przy nauczeniu się rzeczy bardzo trudnej: kierowania i utrzymywania myśli w karności oraz jej wyobrażeń. Czy zauważyłeś, że to lustro składa się wyłącznie z materiałów chłonnych. Jest ono czulsze od barometru, na który wpływ mają tylko zmiany atmosferyczne. W tym instrumencie, nieodzownym dla każdego prawdziwego maga, odzwierciedlają się najsłabsze wibracje myśli; jest on barometrem duszy. Profani mniemają zgoła nierozsądnie, że lustro magiczne ma tylko jedno zadanie: odsłaniać magowi obrazy przeszłości i przyszłości i zdradzać tajemnice tego lub innego przedmiotu, który zresztą jest obojętny dla uczonego. W rzeczywistości jednak przeznaczone jest ono do prac poważnych i na kształt fortepianu, służy do ćwiczeń myśli. Jest już czas wielki, abyś rozpoczął swoje prace nad myślą. Otóż patrz na tarczę, myśląc o jakimkolwiek przedmiocie i staraj się rzecz pomyślaną przedstawić sobie jak najdokładniej.

Unikaj w wyobraźni innych przedmiotów, gdyż myśli chaotyczne i przelotne nie dokonują niczego.

Supramati nachylił się i zaczął patrzeć w lustro. Wyobraził sobie mnóstwo przedmiotów, ale na żadnym z nich nie mógł skupić uwagi. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy zauważył, że na metalowej powierzchni odbiła się bezładna masa rzeczy, żyjątek i kwiatów, które mieszały się ze sobą, wykrzywiały, aż wreszcie zniknęły w krwawej mgle. Supramati doznał zawrotu głowy i zasłonił oczy.

- Ależ poczekaj! - zawołał śmiejący się Dachir.

- Wyobrażasz sobie więcej, niż lustro może pomieścić. Powtarzam: wybierz sobie jakąkolwiek zwykłą rzecz, np. krzesło, butelkę lub byle jaki owoc i wyobraź go sobie dokładnie. Im bardziej dokładnie będziesz go sobie przedstawiał, tym żywsze i doskonalsze będzie jego odbicie.

Supramati znowu pochylił się nad lustrem, skupił się i wkrótce ujrzał szarą, nieokreśloną odbitkę butelki. Lecz w tejże chwili obraz zmącił się i zastąpiła go odbitka szklanki napełnionej pieniącym się płynem, dokoła zaś zamigotała dość niewyraźna zabawna mieszanina głosów różnych znajomych: Lormoeilla, Pierrety i reszty towarzystwa, których wspomnienie bezwiednie połączyło się z wyobrażeniem butelki. Supramati był zirytowany. Podniósł głowę, śmiejąc się mimo woli.

- Nie przypuszczałem nigdy, aby tak trudno było ześrodkować myśli na jednym przedmiocie - wyznał.

- Dlatego, że nikt o tym nie myśli i nikt nie zwraca uwagi na nieskoordynowaną pracę mózgu - odrzekł Dachir. - A w rezultacie myśli się o mnóstwie rzeczy nieużytecznych, traci się drogi czas i męczy umysł niepotrzebnie. Patrz teraz! Pokażę ci, jak reaguje ten instrument na myśl już zdyscyplinowaną. Będę myślał o talerzu z owocami.

Nad lustrem pochylił się teraz Dachir. Wzrok jego błysnął i znieruchomiał; pomiędzy brwiami wystąpiły mu drobne fałdy.

Na wygładzonej powierzchni pojawił się momentalnie obraz talerza z gruszkami, jabłkami, winogronami i innymi owocami. Odbitka była kolorowa i jakby żywa.

Supramati zakrzyknął ze zdziwienia i zachwytu. Lecz Dachir pokiwał głową.

- Nie ma się czym zachwycać - rzekł. - Myślałem teraz dość niedbale. Kolory były niezupełnie dokładne, zwłaszcza leżące z tyłu wiśnie nie odbiły się wyraźnie. Niedokładności te pochodzą stąd, że nazbyt szybko wyobraziłem sobie przedmiot, podczas gdy należy czynić to skrupulatnie, nadając każdemu przedmiotowi sposobem malarskim kształt, kolor i właściwe odcienie.

Dachir nie przestawał patrzeć na wywołany przez siebie obraz i Supramati zauważył ku wielkiemu swemu zdziwieniu, że talerz zarysował się wspanialej i owoce nabrały naturalnego zabarwienia.

- Zdumiewające! - zawołał. - Wytłumacz mi jednk, dlaczego obraz, wywołany przeze mnie, zniknął z taką samą szybkością, z jaką się pojawił. Bo twoja odbitka jest jakby prawdziwym dziełem malarskim i trwa już kilka minut.

- Powodem jest to samo, o czym ci mówiłem. Masz niestałe, lotne, chaotyczne myśli, które nie są zdolne stworzyć czegoś określonego, a więc i odbitka ich nie może utrzymać się zbyt długo. Ja zaś myślę tylko o tym, co pragnę wywołać i nie pozwalam mózgowi zaprzątać się inną myślą. Mózg jest to taki sam organ jak ręka, trzeba tylko rozwijać siłę myślenia i zmuszać ją do posłuszeństwa.

- A czy lustro to nadaje się do odbijania włożonych obrazów z równą dokładnością?

- Bezwątpienia! Odbijać się tu może każda myśl. Z czasem po nabyciu wprawy w lustrze tym jak w panoramie może przesuwać się cały szereg obrazów. Zaraz dowiodę ci tego. Naturalnie jest to daleko trudniejsze, niż wywołanie odbitki butelki, a jednak rzecz, którą ci pokażę, jest tylko początkiem wielkiej sztuki myślenia.

Supramati patrzył w lustro z coraz większym zainteresowaniem. Wydało mu się, że lustro rozszerza się coraz bardziej powiększa i - nagle ujrzał w nim odbicie olbrzymiej równiny oceanu, oświetlonej księżycem. Po chwili wyrosła z fal i podsunęła się bliżej skała, na której widać było tajemniczą przystań rycerzy Graala.

Cudowny ten obraz zaczął stopniowo blednąć i rozpraszać się, miejsce zaś jego zajęła świątynia bractwa w chwili odprawiania nabożeństwa.

W istocie była to obszerna sala z kolumnadą, pełna subtelnych rzeźb, upiększona różnokolorową mozaiką.

Przez otwór kopuły wpadał strumień słonecznych promieni, zalewając światłem kamienne tafle

i śnieżnobiałe ubiory rycerzy. Na stopniach ołtarza stał najstarszy z bractwa, a naprzeciw niego sam Supramati.

Wszystko to było jakby wyjęte z życia, najdrobniejszy szczegół miał pozór rzeczywistości. Jak jednak wielkiego trzeba było artysty myśliciela, aby odtworzyć naturę i wywołać w tym mrocznym laboratorium widok oceanu, lub zalać go żywymi promieniami słońca.

Z uczuciem lęku i zachwytu Supramati spoglądał na Dachira, który dziwnie znieruchomiałym wzrokiem patrzył w lustro. Lecz nagle mag przetarł ręką oczy i z uśmiechem odwrócił się do przyjaciela; obraz zniknął jednocześnie i lustro powróciło do zwykłego swego stanu.

- Dachirze! Tyś osiągnął doskonałość w tej wielkiej sztuce, której imienia nie domyślałem się nawet. Przypuszczam, że do takiego mistrzostwa nigdy nie dojdę.

- Masz mnie za takiego wielkiego mistrza tylko dlatego, że na razie nie widziałeś niczego lepszego - odrzekł Dachir ze śmiechem. - Myśl moja nie odtwarza jeszcze zapachu, dźwięku itp. W ogóle jestem jeszcze daleki od celu. Ponieważ jednak zachwyt twój schlebia mojej ambicji, przeto pokażę ci jeszcze jedną cząstkę swej sztuki, a mianowicie uczynię myśl moją widzialną dla osoby drugiej. Zresztą zjawiska te zachodzą i wśród profanów, którzy tłumaczą je opacznie i nazywają przyrodzonym urojeniem.

Sam fakt zdarzał się tak często, że niepodobieństwem już jest negować go. Zdarzało się to w chwilach śmierci lub niebezpieczeństwa.

W rzeczywistości zaś te “urojenia”, to nic innego jak potężny objaw myśli, która stała się nie tylko widzialna, ale i dotykalna.

Różnica polega tylko na tym, że wśród profanów fenomeny te zdarzają się wypadkowo i nieświadomie, podczas gdy ja mogę je wywołać na żądanie.

Należy dodać, że myśl bierna, tj. nie związana z niczym określonym, odbija się w magicznym lustrze w postaci linii fosforycznych, słabiej lub silniej świecących, zależnie od energii wibracji mózgowych. Myśl jednak nie powinna być bierna, lecz czynna i robocza. Aby nie męczyć mózgu, praca mózgu powinna być harmonijna, gdyż każdy wie i doświadczył tego na sobie, że myśl burzliwa i niespokojna wyczerpuje organizm.

- Pójdziemy teraz do sąsiedniego pokoju i odetchniemy świeżym powietrzem, a później pokażę ci swą myśl, widzialną w przestrzeni.

- Nie jesteś zmęczony? - zapytał Supramati, wchłaniając z rozkoszą czyste, świeże powietrze morskie.

- Ja nie czuję się zmęczony, ale ty masz wygląd całkiem roztargnionego, jakkolwiek to, co widziałeś, nie powinno tak cię wzburzyć. Nawet wasza “oficjalna” nauka zaczyna przekonywać się o dotykalności myśli, którą nawet fotografuje się. Bezwątpienia, doświadczenia te są jeszcze słabe i dają kiepskie wyniki, jak to zwykle bywa z nowym odkryciem. Nie mniej jednak ludzie znajdują się na drodze do poddania naukowej kontroli najburzliwszych i niesfornych uczuć ludzkich.

Nawet dla nas utrzymanie myśli w karności jest rzeczą bardzo trudną. Zdawać by się mogło, że uczeni, ci pracownicy umysłowi, zrobili już ku temu pierwszy krok; a tymczasem, gdyby potrzeba było, aby skoncentrowali całą swą wolę do wyobrażenia sobie jednego przedmiotu, zobaczyłbyś, jakie zygzaki odbiłyby się w magicznym lustrze.

Prace, do których dzisiaj wziąłeś się, są ci bezwarunkowo potrzebne, gdyż musisz myślowo odtwarzać wszystkie kabalistyczne znaki i magiczne symbole zaklęć, przy tym powinieneś robić to szybko i dokładnie, bez najmniejszego nawet pozoru wahania.

Po godzinnym odpoczynku wrócili obydwaj do laboratorium. Stanąwszy przed magicznym lustrem Dachir rzekł:

- Za chwilę będę się witał z Ebramarem, a ty patrz w lustro. Oczywiście nie mogę przesądzać, że uda mi się ukazać własną osobę w postaci zupełnie realnej i ożywionej, gdyż sztuka ta wymaga olbrzymiego ześrodkowania woli, ale bądź co bądź zobaczysz mnie.

Ściągnąwszy brwi z nabrzmiałymi na czole od natężenia woli żyłami, Dachir wsparł się łokciami na poręczy krzesła za plecami Supramatiego, który jednocześnie ujrzał pośrodku lustra świetlne koło, rozszerzające się do rozmiarów tarczy księżycowego światła. Potem ukazał mu się taras jego własnego pałacu w Himalajach.

Przy stole zawalonym książkami siedział Ebramar, pochylony nad zwojem papirusów; obok, na dy-

wanie leżał biały chart.

Supramati jak oczarowany, patrzał na dobrze znany mu obraz: na skrawek łąki usianej żywymi kwiatami, na fontannę, której czysty strumień połyskiwał brylantowymi błyskami i na śnieżne wierzchołki gór, okalające horyzont. Nagle na ciemnym lazurze nieba ukazała się i zaczęła zbliżać szybko ruchoma czerwona chmurka.

Pies nastawił uszy, siadł i utkwił rozumne spojrzenie w twarzy pana; a ten podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać.

Czerwona chmurka opuściła się na taras i Supramati ujrzał, że wyszedł z niej Dachir. Postać miał energiczną, linie ciała niedość wyraźne, natomiast głowa uwypuklała się wyraźnie i można ją było poznać od razu.

Supramati mimo woli odwrócił głowę i drgnął. Dachir stał w poprzedniej pozycji z łokciami na oparciu krzesła; ale blada śmiertelnie twarz i szklane oczy dawały mu wygląd trupa. Supramati patrzył z trwogą na posiniałe szeroko otwarte oczy maga i na jego chłodną nieruchomą rękę pożółkłą jak wosk. O tak, było to ciało pozbawione życiowej mocy.

Drżąc jakby z zimna, przesunął swój wzrok na lustro. Widok indyjskiego pałacu nie zniknął. Ebramar podniósł się i rozjaśniwszy swą szlachetną twarz przyjaznym uśmiechem, podał Dachirowi rękę.

Supramati poznał po ruchu warg obydwu, że rozmawiają. Potem Ebramar wziął ze stojącego w pobliżu wazonu purpurowy kwiatek i wręczył go Dachirowi. Działo się to tak blisko, że Supramati odniósł wrażenie, iż należałoby tylko wyciągnąć rękę, aby dotknąć ręki Ebramara. W tej chwili Ebramar odwrócił się, uśmiechnął i uczynił znak powitalny, jak gdyby również widział młodego doktora. Potem znowu siadł na swoim miejscu i wsparty łokciami na stole, utkwił wzrok zamglony w postaci Dachira. Postać ta jednak cofnęła się i znowu przeistoczyła w czerwoną chmurkę.

Po chwili obraz zmącił się i zniknął, Supramati zaś usłyszał za sobą ciężkie, głębokie westchnienie.

Odwrócił się szybko i ujrzał świecące oczy przyjaciela, który z życzliwym uśmiechem podał mu kwiatek i rzekł:

- Ebramar pozdrawia cię i przysyła ci to na pamiątkę.

Supramati zerwał się z krzesła i ścisnął głowę oburącz.

- Ach! - krzyknął zachrypniętym ze wzruszenia głosem.

- Jest to już nie realizowanie myśli, lecz prawdziwa magia. Zakrawa to wprost na czarodziejską bajkę! Dachir poruszył głową.

- O, nie, przyjacielu. To, co wydało ci się czarodziejstwem lub cudem, jest jedynie zwykłym objawem myśli i astralnej materii wydzielanej przy pomocy woli z powłoki cielesnej. Zresztą rzecz zademonstrowana przeze mnie to błahostka w porównaniu z tym, co można i co powinno się osiągnąć. Gdy będziesz umiał to samo, co i ja umiem obydwaj zostaniemy uczniami Ebramara. Pod jego kierunkiem będziemy studiować wyższą magię i otworzą nam się inne horyzonty.

- Dachirze! Tylko przez skromność zmniejszasz swoją wiedzę, ale w tym kierunku osiągnąłeś już stopień doskonałości - rzekł Supramati, siadając i trzymając w ręku śliczny kwiatek, który napełnił aromatem całe laboratorium.

Dachir w zamyśleniu zaprzeczył ruchem głowy.

- Tak sądzisz dlatego, że nie masz najmniejszego pojęcia o bezmiarze wiedzy, którą powinniśmy zgłębić.

Ebramar oczywiście jest olbrzymem, ja zaś w porównanu z nim - lichym Pigmejem. A jednak ten wielki uczony, dla którego we wszechświecie nia ma już, zdaniem moim, żadnych tajemnic - zbladł, wyznawszy mi pewnego razu:

- Gdy rzucam wzrokiem w nieskończoną otchłań tajemnic, których jeszcze nie dociekłam, wstydzę się swego prostactwa i zdaje mi się, że jestem ślepym i znikomym pyłkiem!

- Daruj mi, że wypowiedziałem tak głupie i krzywdzące cię słowa - rzekł Supramati, ściskając Dachira. - Lecz niekiedy jestem nieprzytomny w tym dziwnym świecie, w którym znalazłem się dzięki tak nieoczekiwanym zrządzeniom losu.

- Ależ nie gniewam się i doskonale pojmuję stan twego ducha, gdyż i ja przechodziłem to samo. Ale dość mamy tego na dzisiaj! Jesteś zmęczony i wzruszyłeś się bardzo. Chodźmy do Nary, jej obecność uspokoi cię.

Odtąd Supramati wziął się do pracy z większą gorliwością. Szczególnie pragnął wykształcić swą zdolność myślenia i długie godziny spędzał przed zwierciadłem magicznym; a gdy po raz pierwszy na metalowej tarczy odbił się dokładnie słabo zabarwiony na zielono liść, Supramati jak dziecko, nie posiadał się z radości.

Natomiast zapamiętywanie magicznych formułek, których wcale nie rozumiał, różnych kabalistycznych znaków i długiego szeregu dziwnych imion szło mu daleko trudniej i jedynie dzięki nieustannym wysiłkom woli zmuszał się do zdobycia tej wiedzy, którą uważał za rzecz nieproduktywną. Często opadał z sił i czuł ogromne zmęczenie, nie będące zresztą w każdym stosunku do jego sił fizycznych, gdyż w rzeczywistości był zawsze silny i zdrów; ale chwilami praca umysłowa, stawała się dla niego nieznośną, jakkolwiek dążył za wszelką cenę do pokonania wszystkich trudności.

Dachir zwracał baczną uwagę na stan duchowy swego ucznia i wiele razy okazywał mu swą pomoc: albo przerywał pracę na kilka dni i czas ten przeznaczał na odpoczynek i rozrywki, albo zmieniał rodzaj pracy, co również zawsze dawało świetne rezultaty.

Jako doktor medycyny Supramati odnosił się do specjalności swej zawsze z jednakowym zainteresowaniem; dziwne i zupełnie nowe poglądy na sztukę lecznictwa, którą rozwijał przed nim jego nauczyciel, zajmowały go tak samo żywo jak sztuka myślenia, której z taką gorliwością poświęcał się.

Pewnego razu podczas rozmowy o leczeniu różnych chorób, Supramati niespodzianie zapytał: - Wytłumacz mi, na Boga, Dachirze, dlaczego trzeba być dobrym lekarzem, aby zostać czarownikiem lub magiem choćby najniższej kategorii?

- Dlatego, ponieważ ciało jest głównym obiektem, na którym nieszczęsna wiedza czarownika dokonuje praktyki: a ponadto ciało jest niezbędnym narzędziem duszy - to skomplikowana i wymagająca wielu rzeczy maszyna. Dlatego mag powinien znać wszystkie środki lecznicze, a także służące do zniszczenia ciała. Jako doktor medycyny wiesz, że do utworzenia ludzkiego ciała natura używa takich materiałów, jak mineralne, roślinne i zwierzęce substancje, które pochłania materia podczas ciąży i które służą potem do utrzymania ognia w tej kropli pierwotnej materii, jaką rodzice obdarzyli przyszłe jestestwo w chwili poczęcia. Wpływ innych, bardzo potężnych czynników, jak: koloru, dźwięku, zapachu itp. jest jeszcze bardzo mało znany współczesnej nauce. A istotna nauka lekarska polega na umiejętności korzystania ze wszystkich środków w celu usunięcia z organizmu rzeczy niepotrzebnych i zastąpienia ich brakującymi. Dlatego powinieneś nauczyć się czerpać zewsząd, z atmosfery i różnych dziedzin przyrody siły czynne, zdolne do utrzymania żywotności każdego stworzenia; jednocześnie zaś powinieneś znać środki, potrzebne do rozkładania ciał zarówno okultystyczne jak i materialne.

- Zajmowała mnie zawsze botanika i cudowne własności roślin; lecz wnoszę z tego, co słyszałem od ciebie, że pod tym względem posiadam bardzo niewielką wiedzę - zauważył w zamyśleniu Supramati.

- Jest to zupełnie naturalne, gdyż w nauce leczenia rośliny zajmują miejsce drugorzędne. W godnej pożałowania nieświadomości, człowiek depcze nogami skromnych dobroczyńców ludzkości. Gdyby lekarze posiadali lupę, podobną do naszych magicznych okularów, byliby nad wyraz zdziwieni dokonanymi przez siebie odkryciami. Aby dowieść słuszności tego, co powiedziałem, pokażę ci przez magiczne okulary, gdyż wzrok masz jeszcze nierozwinięty, pewne zioła i korzenie.

Dachir podszedł do dużej, dębowej szkatuły i otworzył ją. Wnątrze jej podzielone było na przegródki pełne traw, kwiatów suszonych, korzeni, pęcherzyków i drogich kamieni.

Gdy Dachir wyjął dwie rośliny i położył je na stole, Supramati zapytał ze zdziwieniem:

- Wszak jest to arnika i waleriana?

- Oczywiście - potwierdził Dachir z uśmiechem - umyślnie wybrałem te dwa dobrze znane gatunki ziół, którym nawet wasza “dumna” nauka przyznaje lecznicze własności, jakkolwiek umieszcza je pomiędzy środkami domowymi.

Włóż teraz magiczne okulary i nasyć oczy okultystyczną świetnością tych dwóch wielkich przedstawicieli świata roślinnego.

Supramati zaczął uważnie oglądać drobne kwiatki i zczerniałe korzonki arniki, gdy nagle okrzyk zdumienia i zachwytu wybiegł z ust jego. Skromne roślinki zmieniły swój wygląd ogromnie. Maleńkie żółte płatki wyglądały jak złote gwiazdy, rdzeń zaś przekształcił się w niebieskawą kulkę, wirującą nieustannie. Z żółtych płatków wystrzelały drobne, jakby elektryczne iskierki i tworzyły wokół rośliny zda się delikatną jak pajęczyna tkaninę, którą przeszywał ostry zygzak błyskawicy.

- Prawda, jaka to misterna robota? Jest to tkacz fluidu. Usuwa on uszkodzenia tkanek tak fluidycznych, jak i materialnych, powstałe wskutek rany lub uderzenia. Stąd właśnie pochodzą jego cudowne lecznicze własności.

Ponadto arnika posiada zdolności ściągania i gromadzenia dużej ilości słonecznego ciepła. Możesz więc teraz wyobrazić sobie, jak potężnym jest działanie na organizm ludzki, zwierzęcy i roślinny tego skromnego uzdrowiciela, gdy umiejętnie użyje się go do wyleczenia złamanych, zmiętych i umierających z wyczerpania kwiatów. Teraz przejdźmy do obejrzenia waleriany - rzekł Dachir chowając do szkatułki arnikę.

Supramati pochylił się w milczeniu nad korzonkiem, który również zmienił swój wygląd: zaczerwienił się teraz jak krew. Z rośliny tej wypływało złocistopurpurowe światło, tworząc wokół niej szeroką aureolę.

- Zawarty w tej roślinie ogień astralny rozbudza siły żywotne, uspokaja i ogrzewa organizm, wpływając przede wszystkim na działalność mózgu i funkcję serca - rzekł Dachir, zdejmując z oczu przyjaciela magiczne okulary i chowając je do futerału.

- Zapewne inne rośliny nie posiadają tak wybitnych własności, jak te dwie księżne roślinnego królestwa? - zapytał Supramati.

- I tak i nie! Niektóre rośliny mają specjalne przeznaczenie; ale nie ma pośród nich ani jednego zdziebełka, ani jednej trawki, nie obdarzonej jakąkolwiek ujemną lub dodatnią zaletą. A jest to zupełnie zrozumiałe, gdyż rośliny czerpią siły z wszystkiego, co je otacza; atmosfera, prądy gwiazd, ziemia, minerały, woda i jej sole - wszystko służy do ich powstania.

Składniki te wraz z niewyczerpanym ich bogactwem ma do swojej dyspozycji mag wyższy i one dają mu niemal fantastyczną potęgę, dzięki której może on również rozporządzać zapachem, dźwiękami i barwami - tymi siłami, poruszającymi wszechświat. My zaś możemy zaledwie nauczyć się korzystać z sił prymitywnych, studiując utajone źródła potężnego zła, które działa w otaczającym nas chaosie.

Wobec tego musimy nauczyć się wyrządzania zła, nie po to, aby korzystać z tej potęgi, lecz aby poznać destrukcyjne moce, ujarzmić je i zużytkować swą wiedzę w celu uśmierzenia ich.

- Jeżeli zrozumiałem dobrze, to znajdujemy się w położeniu człowieka “uczciwego”, który wie, że można kraść w pewnych razach bezkarnie, ale patrzy na złodziejstwo, jak na hańbiące przestępstwo, albo w położeniu człowieka, który rozumie, że morderstwo jest wielokroć usprawiedliwione, ale za nic na świecie nie zbruka swoich rąk zabójstwem.

- Myśl moją zdefiniowałeś doskonale, kochany Supramati! Znajomość zła okultystycznego powinno się posiadać zgoła nie w celach zbrodniczych, co hańbiłoby rozum, dążący ku światłu. Posiadać możność czynienia zła i nigdy nie wyrządzić go - oto największa chluba wyższego wtajemniczenia.

- Powiedz mi w takim razie, dlaczego świat ziemski jest tak uwarunkowany, że ma ciągłą styczność z okropnym światem niższych duchów? - zapytał Supramati.

- Gdyby bowiem jedynie wyższe i dobre duchy komunikowały się z ludźmi i ostrzegały ich, ileż zła można by uniknąć.

Dachir poruszył głową wątpiąco.

- Pytaniem tym potwierdziłeś zupełnie swą nieznajomość świata pozagrobowego. Niemożliwe jest odgraniczenie jednego świata od drugiego, gdy tak ściśle wiążą się one ze sobą.

Istoty wyzwolone z ciała i przeniesione do innego świata, związane są nadal z ziemią niezliczonym mnóstwem fibrów miłości, nienawiści, przyzwyczajenia, które pociągają je do tego miejsca, gdzie trwało życie cielesne. Śmierć nie jest zdolna zerwać tych więzów, gdyż każda rzecz, każda myśl i każde uczucie - dobre czy złe - wydziela astralną substancję tworzącą mocny związek. Tak zwani “umarli” - to jedynie niewidzialne, ale obecne nadal istoty; wobec tego spojrzenie spirytysty dostrzega, że ci, co w powszechnym mniemaniu zniknęli w nieznanej otchłani, przebywają wśród nas.

Gdy odwiedzisz otaczający nas świat niewidzialny, którego rąbek widział Dante i który słusznie ma nazwę “piekła”, będziesz mógł dopiero wtedy wyrobić sobie pojęcie o panującym tam życiu, o zachodzących tam walkach i o szalejących burzach, których odgłosu tępy słuch nasz nie chwyta. Oczywiście, nie słysząc i nie widząc niczego dookoła siebie oprócz jasnej i spokojnej atmosfery, rzekomo przesyconej bakcylami i atomami kurzu, człowiek mniema naiwnie, że tylko on jeden egzystuje i panuje w bezkresnej pustce przestrzeni, tworzącej zdaniem jego wszechświat.

- Nara pokazywała mi już mnóstwo istot, gromadzących się tłumnie wokół nas. Muszę wyznać, że zadrżałem na widok tego dziwnego świata, pełnego zdumiewających tajemnic.

- Istotnie - rzekł Dachir - pierwsza sfera naszej planety zawiera rzeczy nader nieprzyjemne, widziałeś jednak zaledwie jej powierzchnię. Zamierzam wkrótce zapoznać cię z niektórymi przywódcami piekielnych stowarzyszeń - z "demonami", jak mówią ludzie. W świecie tym mogę ci służyć swoim poparciem. Natomiast do wyższej sfery wprowadzi cię kiedy indziej Ebramar, lub ktoś inny spośród wtajemniczonych tej samej rangi.

- Doskonale! - zawołał Supramati. - Kiedyż więc będę przedstawiony panom demonom?

- Niedługo, gdyż widzę, że zmęczyłeś się już zapamiętywaniem słów kabalistycznych i znaków symbolicznych, których wcale nie rozumiesz - rzekł, śmiejąc się Dachir.

- Istotnie, zdenerwowało mnie to bezmyślne powtarzanie słów - potwierdził Supramati.

Po czym dodał z pewnym wahaniem:

- Ale czy naprawdę są tak straszne te piekielne istoty? Dachir potwierdził ruchem głowy:

- Pierwsze wrażenie, jakie odnosi się na widok świata, zaludnionego sferą piekielną jest okropne. Znałem pewnego człowieka, który, nie będąc należycie przygotowanym, przeniknął wzrokiem ten świat i umarł po upływie dwudziestu czterech godzin. Włosy mu posiwiały w ciągu kilku godzin jak śnieg. Ty zaś nie potrzebujesz się obawiać czegoś podobnego. Jesteś wszak nieśmiertelny i nie ryzykujesz pięknym kolorem swojej ciemnej czupryny.

Supramati zaśmiał się.

- A, to doskonale! Gdyż w przeciwnym razie mógłbym zostać siwy na całe życie!

- O, nie! Są środki, które nie tylko mogą przywrócić włosom zwykłego śmiertelnika poprzedni kolor, ale obdarzyć organizm nową siłą i młodością.

- Czy znasz podobne środki, Dachirze? - zapytał Supramati.

- Posiadam w tym względzie pewne wskazówki; prawdziwego zaś przepisu na te cudotwórcze, zaiste środki, nie zdołałem jeszcze poznać.

Przy tej sposobności opowiem ci o pewnym dość śmiesznym wydarzeniu, którego byłem świadkiem i który zobrazuje moje słowa.

Kiedyś spędziłem kilka miesięcy u Ebramara. Codziennie urządzaliśmy sobie spacery, podczas których Ebramar prowadził ze mną swą zawsze ciekawą i pouczającą rozmowę.

Pewnego razu zaszliśmy dalej niż zwykle i poczułem chęć odpoczynku oraz napicia się czegokolwiek.

Ebramar, który jak ci wiadomo, czyta myśli powiedział:

- Tutaj, w pobliżu, mieszkają biedni ludzie.

Odpoczniemy więc u nich.

Rzeczywiście po kilkuminutowym marszu ujrzeliśmy tonące w zieleni chaty.

Weszliśmy do pierwszej z brzegu izby, której właścicielką była stara kobieta. Gospodyni poczęstowała nas chlebem i mlekiem. Wychodząc, wręczyłem jej złoty pieniądz.

Podczas, gdy kobieta owa rozpływała się we wdzięczności dla mnie, Ebramar obserwował ją z uśmiechem.

- Ja również, babko - rzekł - nie chciałbym odejść stąd i nie podziękować ci za twoją gościnność. Poproś mnie o cokolwiek: jestem magiem i mogę spełnić twoje życzenie.

Staruszka spojrzała na niego z ciekawością i niedowierzaniem, po czym rzekła lękliwie, choć chytrze:

- Mój panie łaskawy! Jeżeli naprawdę jesteś magiem, to spraw, aby wyrosły mi zęby. Gdybyś wiedział, jak trudno jeść czerstwy chleb, mając zaledwie jeden ząb.

- Tylko to? Z przyjemnością - odrzekł Ebramar.

Powiedziawszy to, wyjął z kieszeni woreczek, który zawsze nosił ze sobą, dobył stamtąd maleńką buteleczkę i wlał kilka kropli do glinianego garnka z wodą.

Woda zbielała jak kreda.

- Garnek ten przechowuj w ciemnym i chłodnym miejscu - rzekł Ebramar. - W ciągu dziewięciu dni płucz usta tą wodą trzy razy dziennie z rana, w południe i wieczorem.

Po sześciu tygodniach będziesz mogła bez względu na swe lata gryźć orzechy, jeść skórki chleba,

chociażby nawet drzewo.

Zaciekawiło mnie to bardzo, więc postanowiłem dowiedzieć się po sześciu tygodniach o skuteczności lekarstwa. Lecz w tym czasie miałem tak dużo pracy, że zanim odwiedziłem biedną kobietę, upłynęło parę miesięcy.

Zastałem staruszkę siedzącą przed chatą. Robiła wrażenie o wiele młodszej i jadła z apetytem spory kawał chleba, który o ile mogłem zauważyć, nie był świeży.

- Cóż mi powiecie, babko? Jekże zęby? - zapytałem.

Skoczyła na równe nogi, przyjrzała mi się i wołała radośnie:

- Niech będzie błogosławiony Brahma i jego wysłannik - mag boski! Zawdzięczając jego lekarstwu, mam teraz takie zęby, że mogą mi ich pozazdrościć moi wnukowie.

Otworzyła usta i pokazała mi dwa rzędy białych zębów, stanowiących dziwny kontrast z jej starszą, pomarszczoną twarzą.

- Trochę tej cudownej wody zaoszczędziłam sobie, że starczyło i dla mojej siostry. Ma ona obecnie również wspaniałe, nowe zęby.

Wróciwszy do domu, opowiedziałem o tym Ebramarowi i poprosiłem go o receptę lub przynajmniej flakonik tej cudownej substancji. Ebramar uśmiał się z mego zachwytu i prośbie odmówił.

- Zapewne zamierzasz wyjechać do Europy - zauważył ironicznie - i utrzymywać się z obdarzania zębami rozpustników lub bezzębnych kokot, gdyż sam nie ryzykujesz utraty zębów?

Nic nie odrzekłem i na tym sprawa skończyła się. Lecz wiem, że Ebramar rozporządza naprawdę, niezwykłymi środkami, które zdumiałyby lekarzy.

I tak w czasie naszych przechadzek widziałem, jak uleczał z nadzwyczajną szybkością i bez żadnej operacji kilku niewidomych, spośród których dwóch miało kataraktę.

Uzdrawianie paralityków stanowi dla niego dziecinną zabawkę.

- W jaki sposób on usuwa kataraktę? - zapytał Supramati.

- Zwilża jabłko płynem o zielonawym zabarwieniu. Następnie zawiązuje oczy chustką i kładzie chorego na ziemię tak, aby nie padało na niego słońce. W stosunkowo krótkim czasie, najpóźniej w ciągu półtorej godziny, w zależności od wypadku, chory odzyskuje wzrok i wstaje zupełnie zdrów.

Na takich rozmowach i na odpoczynku spędzili kilka dni w towarzystwie Nary, po czym Dachir i Supramati przenieśli się do laboratorium, ażeby przygotować do obiecanych odwiedzin pozagrobowego świata.

Nareszcie nadszedł dzień oznaczony. Zanim wybiła północ obydwaj włożyli na siebie czarne trykoty i czapeczki, zakrywające im szczelnie włosy. Potem Dachir zawiesił sobie na szyi magiczne berło i obydwaj udali się do laboratorium.

Tam zapalili cztery świece i trójnogi z aromatycznymi ziołami. Gdy pokój napełnił się ostrym duszącym aromatem, stanęli pośrodku magicznego koła, z zewnątrz którego stały dwa fotele.

Dachir podniósł obie ręce, wymówił wyraźnie głosem równomiernym formuły zaklęć i nagle na końcu berła ukazał się czerwony, jak krew odcień. Wówczas, posługując się magicznym berłem jak piórem, Dachir zakreślił w powietrzu kabalistyczny znak, którego linie świeciły fosforycznie jak rakieta.

Po chwili w powietrzu utworzyła się chmura czarnego dymu, a z niej powstała olbrzymia postać ludzka, okryta płaszczem, utkanym jakby z mnóstwa ludzkich twarzy.

- Witam cię, Sarmielu! - rzekł Dachir, kłaniając się niezwykłej osobie. Po czym zwrócił się do Supramatiego, który w milczeniu patrzył ze zgrozą na niesamowitego gościa.

- Podaj rękę swemu nowemu sprzymierzeńcowi, władcy duchów, zaludniających pierwszą sferę naszej planety. On ci usłuży i okaże pomoc, gdy zajdzie taka potrzeba.

Opanowawszy lęk, wywołany widokiem tej niezwykłej istoty, Supramati podał przybyszowi rękę. Ten zaś odezwał się głębokim, dźwięcznym głosem:

- Nie lękaj się mnie! Gdy poznasz moich podwładnych, przekonasz się, że posiadają w sobie tyleż dobra, co zła. Jesteśmy tylko “demonami”, a nikt nie zdaje sobie sprawy, ile ciężkiej pracy poświęcamy dla dobra naszych braci w ludzkości. Zresztą jest to rzecz zwykła! Tym, gdzie chodzi o wdzięczność, wychwala się tylko uprawnionych dobroczyńców.

Delikatna ironia zadźwięczała w słowach olbrzyma. Przerwawszy dalszą rozmowę, duch uczynił krok w tył i z poświstem chłodnego wiatru zniknął w kłębach czarnego dymu.

Dachir wymówił nowe zaklęcia i zakreślił w powietrzu nowy kabalistyczny znak. Po chwili zjawiła się nowa postać.

Nie był to już olbrzym, podobny do swego poprzednika, lecz wysoki elegancki młodzieniec. W oczach miał wyraz niewymownej energii, połączonej z zimnym okrucieństwem. W ręku trzymał skręcony sznur jak lasso, z ognistą strzałą na końcu.

Wyciągnął białą klasyczną rękę na powitanie i Supramati podał mu swoją dłoń prawie machinalnie. Błyskawica potwierdziła ich przymierze.

Tym razem Dachir skłonił się z widocznym szacunkiem i rzekł, zwracając się do Supramatiego:

- Jest to król larw. On jeden zdolny jest poskramiać larwy, te wstrętne i szkodliwe stworzenia, czyhające na zgubę człowieka. Słowa Dachira wywołały na ustach króla larw półuśmieszek.

- To, coś powiedział, Dachirze - rzekł - jest dla twego ucznia zaledwie abecadłem. Obecnie tkwi on zanadto w pojęciach współczesnego psychiatry, aby mógł od razu wejść do naszego świata, którego istnieniu zaprzecza się przez “niepokalaną” naukę, która jest przekonana, że istnieje tylko to, co można dotykać, ważyć i badać skalpelem.

- Masz rację - odparł Dachir. - Ale żeby uwierzyć i zrozumieć, trzeba widzieć. Przypuszczam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, gdy pójdziemy obejrzeć twoje włości?

- Proszę bardzo - odrzekł z uśmiechem dziwny gość. - Będę wam służył za przewodnika w moim królestwie. Do zobaczenia!

Uczynił ruch pożegnania i utonął zdaje się w czerwonym mroku, który szybko rozproszył się.

- Pokazałem ci dwóch groźnych przywódców i władców armii zła. Obecnie wywołamy kilku przedstawicieli stowarzyszeń robotniczych i pomniejszych duchów, jak zwierzęcych itp.

Przed zdziwionym, lecz bardziej już ośmielonym wzrokiem Supramatiego przedefilował długi szereg istot o różnych dziwacznych kształtach i barwach. Supramati widział całkiem nieznany i zdumiewający świat.

Czuł to samo, co powinien był czuć zapewne pierwszy uczony, któremu udało się odkryć przy pomocy mikroskopu świat nowy, niedostępny dla zwykłego, nieuzbrojonego oka.

Wreszcie różnorodność i mnóstwo znaków i formułek, które Dachir wymawiał z całą pewnością siebie, zmęczyły Supramatiego; mimo gorączkowej ciekawości, z jaką patrzył na zjawiska demonstrowane, czuł się słaby.

Widząc to, Dachir oznajmił, że na dzisiaj dosyć i gdy obydwaj wrócili do swego pokoju, podał Supramatiemu kubek wina, po czym kazał mu wziąć kąpiel.

- Zanim rozpoczniemy nowe doświadczenia, musisz wypocząć należycie. Chodźmy stąd! Nara czeka z kolacją. W zupełności zasłużyłeś na zobaczenie się z żoną.

Supramati poszedł za Dachirem jak lunatyk. Miał zamęt w głowie i nie mógł zdać sobie sprawy, czy zjawiło mu się to wszystko w sennym widzeniu, czy też była to rzeczywistość. Ścisnął głowę rękami i wyglądał, jakby dostał pomieszania zmysłów.

Trwało to jednak czas krótki, bo głośny śmiech Dachira zbudził go z zamyślenia.

- Nie obawiaj się! Nie jesteś wariatem. Wszystko, łącznie z twoją uroczą małżonką - to realna rzeczywistość.

Po chwili witali się w jadalnym z Narą.

Gdy spożyli kolację, która wydała się Supramatiemu znakomita, przeszli do salonu i zajęli wygodne miejsca przed kominkiem.

Nara nie omieszkała zapytać męża o wrażenia.

- Więc widziałeś Jego Królewską Mość, króla larw? Prawda, jaki on piękny? Byłby wprost czarujący, gdyby nie musiał spełniać takich wstrętnych obowiązków.

- Tak się zachwycasz urodą króla larw, jakbyś chciała zbudzić we mnie zazdrość - rzekł Supramati z uśmiechem, całując rękę żony. Potem zaraz dodał:

- Chciałbym jednak wyrobić sobie o larwach bardziej dokładne pojęcie, gdyż to, co dotychczas widziałem o nich, nie zadawala mnie.

Nara spoważniała.

- Larwa, mój kochany, to - Narajana; to istota, która jak hiena podkrada się do człowieka, ażeby żywić się jego żywotnymi sokami, wmawiać w niego swoje niezaspokojone żądze i wciągnąć go kusiciel-

sko w otchłań moralnej nędzy i fizycznej męki. Ten, któregoś widział jest wielkim dobroczyńcą ludzkości. Imię jego jest nieznane na ziemi i nikt nie wie, ile ofiar uratowało się z zaprzepaszczenia, zawdzięczając energii tego ducha, niezmordowanego pracownika, który wspomaga, ratuje i wyzwala nieszczęsnych.

Warto go zobaczyć przy pracy, jak z odwagą i zimną krwią zwalcza istoty podłe, niebezpieczne, szkodliwe, wałęsające się w atmosferze ziemi, przesyconej rozkładem. Nie wyobrażasz sobie nawet, co się dzieje w pierwszej atmosferycznej warstwie, otaczającej naszą ziemską kulę.

- Czy coś gorszego, niż to, coś mi pokazywała w Wenecji?

- O, tak, a oprócz tego coś w innym rodzaju! - odrzekła Nara, śmiejąc się.

- Ależ, Naro, trzeba naprawdę mieć mocną głowę, aby nie zwariować na widok czegoś podobnego. Myśląc o tym wszystkim, co widziałem ostatnim razem, mam wrażenie, że śniłem.

Nara pociągnęła go z uśmiechem za rękę i sadzając obok siebie na kanapie, rzekła:

- Czy życie nasze, mój ukochany, nie jest jednym snem nieprzerwanym? Nawet zdarzenia w naszym wiecznym życiu przemijają ciągle, jak obrazy teatralnych dekoracji, które zaledwie ukażą się, już nikną...

Supramati opowiedział jej wszystko, co widział i co przeżywał; po czym dodał:

- Im bardziej wnikam w tajniki kierujące ludzkim życiem, tym straszniejsze wydają mi się prawa nieskończoności i z tym większą pożądliwością rzucam się w odmęt nauki.

- Tak czynić należy, gdyż wiedza jest deską ratunku naszego długiego życia. Praca - to dla nas podpora, zapomnienie i postęp, jeżeli nie zechcemy upaść, jak upadł Narajana - dodała w zamyśleniu Nara.

Odtąd Supramati wziął się do pracy jeszcze bardziej gorliwie. Praca pochłonęła go do tego stopnia, że zapomniał o egzystencji świata. Zresztą nie czuł żadnego zainteresowania życiem zewnętrznym i utonął całkowicie w cudownym świecie okultystycznej wiedzy, odsłaniającej mu coraz nowsze horyzonty. Obecnie Dachir musiał wpływać na niego, aby poświęcał więcej czasu na odpoczynek.

W starym zamku nikt nie liczył dni. Nic się tu nie zmieniło i nadal panował w tych murach spokój, komfort, cisza i ciepło przytulne. Na miejsce kilku służących, którzy zniknęli przyjęto nowych, również leciwych, małomównych i niewiele wymagających. Tych drobnych zmian Supramati prawie nie zauważył, gdyż domem opiekowała się wyłącznie Nara. Natomiast on pogrążył się w nauce magicznych formułek, które nie miały już dla niego po pewnym czasie żadnych tajemnic. Był przygotowany do wywoływań i mógł badać dziedziny czarnej magii, zdając sobie sprawę z jej straszliwych objawów i groźnej potęgi, zdolnej wyrządzać zło.

Medycyny również nie lekceważył. Zapoznawał się jednak z nową metodą leczenia i uczył się stosowania nowych środków. Uwzględniał przede wszystkim magnetyzm, jasnowidztwo i homeopatię. Ze szczególnym zajęciem oddał się ćwiczeniu woli. Jego zdolność myślenia posiadała już taką dyscyplinę, że z coraz większą łatwością wywoływał w magicznym zwierciadle bardziej doskonałe i złożone obrazy. Nie zawiódł się nigdy na swej potężnej i giętkiej woli, mogąc wydawać rozkazy niższym duchom i siłom destrukcyjnym.

W nieruchomym środowisku, w którym przebywał Supramati, zmienił się tylko on jeden i tylko on jeden nie dostrzegł, że z dawnego doktora Ralfa Morgana nic prawie nie pozostało. Z twarzy uczonego maga zniknął zupełnie dawny uśmiech sceptyczny. Natomiast w jego dużych, ciemnych oczach płonął ten dziwny ogień, który w spojrzeniach innych członków nieśmiertelnego bractwa przejmował go grozą.

Pewnego razu wieczorem Supramatiemu udało się doprowadzić do końca pewną, nader skomplikowaną operację, której dokonanie wymagało tyleż wiary, ile energii.

Dachir uścisnął mu rękę z radością i rzekł: - Praca moja skończona. Posiadasz już pierwsze wtajemniczenie. Zbadaliśmy zło, dojrzeliśmy jego korzenie i nauczyliśmy się przeciwdziałać mu. Obecnie stanąłeś na progu białej magii. Wypocząwszy należycie, możemy powrócić do Ebramara i już pod jego kierunkiem przystąpić do studiowania nauki o świetle.

Nazajutrz, gdy po spożyciu obiadu całe towarzystwo przeszło do małego salonu, Supramati napomknął o wyjeździe do Indii, lecz Nara przerwała mu:

- Poczekaj. Zanim zagrzebiesz się w Himalajach, powinniśmy odpocząć, wrócić do świata i trochę popodróżować.

- Któż nas zmusza, abyśmy tracili czas na stykaniu się z bezmyślnym tłumem i na bezcelowe podróżowanie! - zawołał Supramati, wzruszając ramionami.

- Mój kochany, mylisz się bardzo i zapominasz, że po to, aby nasza wiedza stała się żywą, musimy

stosować ją względem tych ludzi, których nazwałeś bezmyślnym tłumem. Właśnie przed rozpoczęciem nowych studiów musimy wejść w świat, aby przekonać się, że nie mają już nad nami władzy żądze i wir przyjemności i aby odnowić stosunki z ludzkością przez zadzierzgnięcie więzów, które powinny być trwałe, jeżeli nie chcielibyśmy stać się śmiesznym, żywym anachronizmem.

- Naro, jakże ty przesadzasz! Wszak w ciągu tych trzech czy czterech lat, spędzonych tutaj w samotności, nie mogliśmy tak bardzo oddalić się od społeczeństwa.

Jeżeli jednak i ty, Dachirze uważasz wychynięcie w świat za pożyteczne, a nawet nieodzowne, puśćmy się w drogę i zacznijmy świeckie życie! Bogu dzięki, na brak czasu nie możemy się uskarżać! Lecz dokąd mamy jechać?

- Najpierw do Paryża, a stamtąd do Wenecji. Możemy urządzić sobie równie ekskursję do lodowców i odwiedzić skład, którego jesteś nadzorcą. Następnie pojedziemy do zamku bractwa w czasie, gdy wszyscy zbierają się tam, aby złożyć relację ze swoich prac i nakreślić wytyczne na przyszłość. Biedna Lora będzie szczęśliwa, gdy znowu ujrzy Dachira, którego zaanektowaliśmy na tak długi czas. Czy zgadzacie się panowie na ten program?

Oczywiście propozycja została przyjęta jednogłośnie.

Rezultat tej rozmowy był taki, że Nara miała poufną naradę z Tortozem, który następnie tego samego wieczoru opuścił zamek.

Rozdział czwarty

Od czasu opisywanej rozmowy minęło trzy tygodnie. Pewnego ranka Nara oznajmiła, że wszystkie niezbędne do podróży przygotowania zostały poczynione, wobec czego jutro powinni wyjechać.

Resztę ostatniego dnia mężczyźni poświęcili na doprowadzenie laboratorium do porządku i na pakowanie rzeczy, które zamierzali zabrać ze sobą.

Nazajutrz z rana ubrani według ostatniej mody wsiedli do auta i pomknęli w stronę małej kolejowej stacyjki.

Ponura miejscowość, otaczająca zamek, nie zmieniła swego wyglądu, lecz wioski, które widać było z dala rozrosły się niezwykle, a sterczące nad nimi wysokie kominy świadczyły, że powstały tu jakieś fabryczne ośrodki.

Stacyjka zmieniła się nie do poznania. Maleńki, jakby zagubiony w przestrzeni budynek, przeistoczył się w olbrzymi dworzec, zbudowany wyłącznie z żelaza i szkła i znajdował się teraz w centrum przyzwoitego miasteczka, którego duże, wspaniałe budynki, otoczone ogrodami, rozrzucone były dookoła na znacznej przestrzeni.

Supramati otwierał na wszystko zdumione oczy.

Zaczął coraz bardziej utwierdzać się w przekonaniu, że w starożytnym zamku spędził czas daleko dłuższy, niż mu się to wydawało.

Początkowo czytywał gazety, lecz później w miarę postępów czynionych w nauce, lekceważył wszystkie wieści ze świata. Przestała interesować go polityka i zdarzenia z szerszego świata stały się dla niego obojętne, a nawet budziły w nim odrazę, gdyż wydało mu się, że nic go już nie wiąże ze społeczeństwem. Obecnie jednak zapragnął znowu zapoznać się z przejawami współczesnego życia i, zaledwie wszedł na dworzec, zaczął poszukiwać oczami sprzedawcę gazet.

Lecz nie znalazł go nigdzie. Natomiast zobaczył duży pawilon, obracający się automatycznie dookoła swej osi i podzielony na przegródki, zawierające egzemplarze gazet. U dołu przegródki były zaopatrzone w aparaty, które wskazywały cenę gazety.

Po chwili Supramati miał w ręku numer “Timesa” i niecierpliwie szukał w nim daty.

Nagle zbladł i złożył gazetę. Ciałem jego wstrząsnęły nerwowe dreszcze. Numer był zaopatrzony w datę 30 września 1940 roku. Ponieważ przybył do starego zamczyska w sierpniu 1900 roku, przeto minęło odtąd 40 lat, nie zaś cztery, czy pięć, jak mu się zdawało.

- Czy to możliwe? Czy nie śni?

Na rozwiązanie tej zagadki Supramati nie miał już czasu, gdyż w tej chwili nadszedł pociąg, którego

lokomotywa była jakoś dziwnie zbudowana. Ponieważ przystanek był krótki, więc Nara, zachowująca pozory zupełnego spokoju, ujęła męża pod rękę i pociągnęła go spiesznie do wagonu. Dachir wszedł za nimi.

Supramati tak był oszołomiony, że opadł bezsilnie na miękkie poduszki siedzenia i zamknął oczy. W głowie miał zamęt. Wśród wewnętrznego wzburzenia zdawał sobie tylko z jednego sprawę, że w laboratorium spędził prawie pół wieku. Nie dowierzał sobie.

Szybko wyciągnął z kieszeni portfel i zaczął szukać w nim czegoś gorączkowo. Pamiętał, że w portfelu przechowywał wiele notatek z czasu swego wyjazdu do Szkocji. Pierwszym napotkanym skrawkiem papieru był rachunek z zakupów, poczynionych przez niego w przeddzień wyjazdu z Wenecji. Porównał datę rachunku z datą gazety i doszedł do wniosku, że istotnie przeżył w laboratorium czterdzieści lat, i że obecnie liczy siedemdziesiąt cztery lata. Czy to możliwe? Jeszcze dzisiaj, szykując się do podróży, rozkoszował się w lustrze swoim młodzieńczym wyglądem. Wprawdzie wiedział, że posiada młodość wieczną, i że w porównaniu z wiekiem Nary jest młody jak niemowlę. Chociaż i młodzieńcza piękność Nary zachowała cały swój przepych w ciągu kilku wieków, a jedynie w jej oczach, utkwionych jakby w przestrzeń, widać było niekiedy zmęczenie i rozczarowanie długim życiem. Oczywiście, praca czyni czas znacznie krótszym, więc Nara miała słuszność twierdząc, że dla nieśmiertelnych praca jest deską ratunku.

Supramati otworzył oczy i spotkał się z rozkochanym spojrzeniem żony, uśmiechniętej do niego smutno i zalotnie. Wyprostował się, przetarł dłonią czoło, jakby chciał odpędzić od siebie dokuczliwe myśli i rzekł wesoło:

- Darujcie mi, że zapomniałem się na chwilę. Takie głupstwo, jak te czterdzieści lat, które przemknęło tak szybko i niepostrzeżenie, przyprawiło mnie o zawrót głowy.

Rozumiemy cię doskonale, gdyż sami przeżywaliśmy niegdyś coś podobnego - odrzekł Dachir, śmiejąc się.

A teraz przeczytaj gazetę, abyś mógł zorientować się w sytuacji - dodała Nara.

Supramati zaczął czytać, ale orientował się z trudem. Widocznie w świecie politycznym zaszły głębokie przemiany. Spotykał się z obcymi zgoła nazwiskami osób, kierujących losami ludzkości. Najbardziej zdumiewał go fakt, niezaprzeczony, że obecnie bardziej niż kiedykolwiek rządził światem przypadek, że z większą zawziętością silny dusi i eksploatuje słabego, oraz że okrutny egoizm ujarzmił społeczeństwo, hołdujące tylko jednemu bóstwu - złotu.

W Londynie podróżni nasi zabawili zaledwie tydzień. Ten czas Dachir i Supramati zużytkowali na zapoznanie się z wypadkami, które zdarzyły się w ciągu minionych czterdziestu lat. Jak się okazało, Nara pod tym względem była bardziej świadoma rzeczy, toteż zajęła się tylko poszukiwaniem pewnych osób, których los interesował ją.

Supramati również pragnął odwiedzić swoje dawne mieszkanie, ale starożytny budynek, pamiętający czasy Cromwella, zniknął z powierzchni ziemi razem z ogródkiem, ustąpiwszy miejsca piętnastopiętrowej kamienicy; dzielnica zaś, będąca niegdyś przedmieściem, znalazła się obecnie w centrum olbrzymiej części miasta, które rozrosło się na wszystkie strony.

Istniała jeszcze klinika dla umysłowo chorych, lecz była trzy razy większa, niż przedtem i przepełniona chorymi.

Nikt tutaj, oczywiście nie pamiętał doktora Ralfa Morgana.

Supramati zaopatrzył się w różne naukowe wydawnictwa i kupił całą kolekcję najrozmaitszych “Revue”.

Przejrzawszy nabyte dzieła, zapoznał się szybko z historią lat ubiegłych, a nawet zdołał wyrobić sobie pojęcie o socjalnym, handlowym i religijnym stanie społeczeństwa w tej dobie.

Wyczytane wiadomości wywołały w nim przygnębiające wrażenie. Wszystko świadczyło o upadku ludzkości, którą gubiły zakorzenione w niej nałogi, szaleństwo chciwości i nienawiści.

Humanitarne próby, mające na celu zażegnanie wojen, doznały kompletnego fiasca. Świat dwukrotnie był zalany krwią i zasłany trupami. W jednej z tych okropnych kampanii Anglia utraciła część swoich kolonii na korzyść Ameryki, która wyciągała wszędzie jak pająk, macki swej nienasyconej pożądliwości.

Interesy ludzkości obracały się koło handlu we wszystkich jego postaciach. Zło-to – ta najgroźniejsza szatańska potęga - wyszło z ukrycia i otwarcie wszechwładnie panowało, jako jedyne bożyszcze

wszechświata. Złoto podkopało trony, rozbiło kościół, zniszczyło moralność, zamieniwszy poczucie sprawiedliwości na brutalną przemoc bogactwa. Najbrudniejsze ręce, byleby posiadały broń złotą, mogły bezkarnie zniesławić najczystsze ołtarze i szydzić z jakiegokolwiek prawa honoru.

W miarę, jak przesuwały się kolejno te godne pożałowania obrazy i im bardziej wyraźnie uwypuklały się ich szczegóły - głęboki smutek zalegał w duszy Supramatiego.

W przeddzień wyjazdu z Londynu, gdy Supramati rozmyślał o tym ginącym w deprawacji świecie, przypomniało mu się nagle dawne proroctwo jakiegoś maga, wyczytane kiedyś w bardzo starym rękopisie. Jednocześnie zadźwięczała mu w uszach dosłowna przepowiednia:

"Z wnętrza ziemi pojawi się demon, który zostanie potężnym sprzymierzeńcem zła. Będzie żółty i wytworny, a jego wygląd i właściwy mu zapach wzbudzi najniższe żądze".

"Nieustannie zacznie przechodzić z rąk do rąk ludzkich, zatrzymując się tylko w rękach niektórych. Potem nastąpi czas, gdy ten straszny, nieuchwytny demon ukaże się na społecznej arenie, zajaśnieje potęgą, otoczony zostanie szacunkiem i uwielbieniem".

"Osadzony na tronie przez swych zwolenników i poddanych, zwycięży wszystko, przekupi wszystko i naigrywać się będzie nad powszechną ruiną".

"Bezmiernej jego pychy nie pohamuje żadne wędzidło. Wyzuty z sumienia zażąda, aby wielka prawda służyła mu jak niewolnica".

"I żądaniom jego stanie się zadość. Praworządność zawalana błotem, z ustami, pełnymi złotej piany, oplątana brudnymi rękoma utraci zdolność wyjawiania prawdy i bezstronnego sądzenia. Miłość zdeprawowana i sprzedajna, stanie się ohydną rozpustą i będą jej pluli w twarz; miłosierdzie, posłuży za pozór do nadużyć, za umówiony sposób do wyłudzenia jałmużny i zapomóg od naiwnych; wreszcie wiara - ta boska pocieszycielka - prześladowana i wyśmiana nie opromieni już światłem nadziei serc starganych i dusz zdeprawowanych".

"W epoce tej zapanuje nad światem złoty cielec, a u stóp jego będzie pełzała ludzkość".

"I wówczas gniew Boga spadnie na te dwunogie stado i głos na kształt pioruna zagrzmi w niezmierzonej przestrzeni: - O, szaleńcy, jeżeli złoty demon wystarcza wam za wszystko, to zostańcie z nim i rozkoszujcie się jego darami; ale to, co dane wam jest przeze Mnie, będzie wam przeze Mnie odjęte".

"I Pan zwoła swoje stworzenia i zacznie się wielkie przesiedlenie. Ptactwo, ryby, zwierzęta domowe i dzikie, wszystko, co przebywało w powietrzu, wodach, lasach i na równinach, wszystko, co służyło ludziom za pożywienie, ubranie i rozrywkę - zniknie z powierzchni ziemi. Potem zginą kwiaty, drzewa i trawy, następnie źródła wód i rzeki. Wszystko to porzuci ziemię i znajdzie schronienie na łonie Stworzyciela. A bezpłodna ziemia obróci się w pustynię, w której będą pyszniły się malownicze wspaniałe pałace, pełne skarbów, ale nie będzie chleba powszedniego".

"Doprowadzeni do rozpaczy, ludzie będą miotali się wśród złota, lecz pożywienia nie znajdą; a nieubłagany i obojętny demon wyszydzi ich niemoc...".

Supramati westchnął. Podobne prorocze słowa wypowiedział w swoim czasie Ebramar. Czyżby on, Supramati miał być świadkiem tej okropnej katastrofy, tej strasznej agonii całego świata?!

- O, zdrajco, Narajano! Po cóż wypiłem tą czarę życia, ulegając pokusie? - wyrzucał sobie Supramati.

Nazajutrz wieczorem nasi podróżni przybyli do Paryża. Elektryczność zalewała ulice jakby dziennym światłem.

Nad ulicami, linią napowietrzną przebiegały pociągi pełne publiczności, a wszędzie widać było rzędy piętnasto- i dwudziestopiętrowych domów. Widocznie gorączkowe życie miasta stało się bardziej intensywne. Pałac Supramatiego nie zmienił się wcale i jak dawniej otoczony był pożółkłą zielenią stuletnich drzew.

Na powitanie państwa zgromadziła się liczna służba, ale byli to ludzie nowi, wyszkoleni według współczesnych manier.

Poleciwszy, aby kolacja była przygotowana, możliwie, najwcześniej, Supramati poszedł przebrać się do swego pokoju, lecz zaraz wrócił do jadalnego, w którym nie bez zdziwienia zastał jakiegoś pana, mającego wygląd urzędnika ministerialnego. Pan ten wydawał zlecenia dwunastu młodym ludziom, którzy rozpakowywali koszyki, podając służącym gotowe dania wyszukanej kolacji.

- Dlaczego jedzenie przyniesiono w koszykach?

Wszak kucharz został zawczasu uprzedzony o naszym przyjeździe - zapytał Supramati.

Pan spojrzał na niego zdziwiony, ukłonił się lekko i rzekł:

- Czy wasza dostojność nie wie, że nawet tak zamożne osoby, jak pan, nie mogą utrzymywać kucharzy? Ta kategoria służby już nie isnieje. Są profesorowie gastronomii, którzy kierują spożywczymi fabrykami, zaopatrującymi ludność w potrawy.

- Istotnie! Przebywając czas dłuższy w Indiach, gdzie wszystko jest jeszcze tak bardzo konserwatywne, nie zdołałem zapoznać się z nowymi urządzeniami Paryża.

W tej chwili wszedł Dachir, a za nim Nara, potem we troje zasiedli do stołu.

Kolacja była przygotowana wspaniale, lecz składała się wyłącznie z dań mięsnych, wobec czego nasi podróżni, odzwyczajeni od tego rodzaju potraw, nie mogli zdecydować się na jedzenie.

- W przyszłości zechce pan postarać się dla nas o dania jarskie, które zapewne wyrabia pańska fabryka, - zwrócił się Supramati do nieznajomego.

- Bezwątpienia, wasza dostojność! Od jutra dane mi polecenie spełnię. A przyjdzie to tym łatwiej, że większość ludności to wegetarianie, gdyż ilość bydła i ptactwa zmniejsza się z przerażającą szybkością.

- Dlaczego? Czyżby nie zajmowano się już hodowlą zwierząt i ptactwa?

- Na razie przyczyny są niewyjaśnione, lecz jest faktem że dziczyzna maleje i spotyka się ją coraz rzadziej, niektóre zaś gatunki ryb zniknęły zupełnie.

Supramati zamienił wieloznaczące spojrzenie z Dachirem i żoną. Symptomy Gniewu Bożego były widoczne.

Nazajutrz z rana Supramati wyruszył na miasto konno w towarzystwie swego sekretarza, młodego, dobrze ułożonego człowieka.

Jadąc znanymi ulicami, Supramati coraz bardziej przekonywał się, jak wielki postęp uczynił zbytek i komfort.

Wszędzie działała elektryczność i para, a maszyny wyparły pracę ludzką. Mimo to jednak ludzie nie byli szczęśliwi; blade i wychudzone twarze, postrzępione ubrania i wszystkie objawy nędzy spotykało się na każdym kroku.

- Mój Boże! Ileż tu biedy! Czyżby nikt nie starał się ulżyć doli tych nieszczęsnych ludzi?

- Wasza dostojność - odrzekł sekretarz - dobroczynność społeczna nie ma już sił walczyć z tą przerażającą nędzą, a kwestia socjalna zaostrza się bardziej, niż kiedykolwiek. Kapitały finansistów i przemysłowców dosięgły bajońskich sum. Życie podrożało ogromnie, a przedmioty pierwszej potrzeby można nabywać za niesłychanie wysokie ceny. Ludzie średniej zamożności nie mogą już żyć jak dawniej i dlatego walka o egzystencję stała się nielitościwa. Jeden Pan Bóg wie, co będzie w przyszłości!

W tej chwili mijali kościół. Starożytna świątynia była zewnętrznie zaniedbana i miała drzwi zamknięte.

- Dlaczego jest zamknięty kościół? - zapytał Supramati.

- Dla uniknięcia szyderstwa lub świętokradztwa - zabrzmiała odpowiedź. - Nabożeństwa odprawiane są tylko w niedzielę i w wielkie doroczne święta; przy tym odprawia się je, jak powiadają, pod zamknięciem na siedem spustów.

- Jakież są tego przyczyny?

- Różne, wasza dostojność! Przede wszystkim publiczne odprawianie chrześcijańskiego kultu zostało zabronione. Liczba wiernych zmniejsza się corocznie.

- Czy zapanowało wolnomyślicielstwo?

- Nie wszędzie. U nas pojawiło się niezliczone mnóstwo sekt. Bardzo liczni są buddyści i mają dużo swych świątyń. Synagog jeden tylko Paryż posiada około dwustu. Naturalnie, ludy wschodnie związane są ze swymi wyznaniami silniej, niż my - zakończył sekretarz z goryczą.

Supramati dopiero następnego dnia zaczął poszukiwać swoich znajomych.

Przede wszystkim zasięgnął informacji o Rozalii Berken. Dowiedział się, że umarła przed piętnastu laty, ale pamiętano ją jeszcze w tej dzielnicy, w której słynęła, jako dobrodziejka wśród biednych.

Natomiast Supramati nie mógł dowiedzieć się niczego o Pierrocie i o Lormoeillu, od którego zniknięcia upłynęło dwadzieścia lat.

Wszystkie starania w celu odnalezienia kogokolwiek ze znajomych spełzły na niczym. Nagle w pewnym artystycznym klubie Supramati dowiedział się, że były tenor Pancone żyje jeszcze i otrzymuje za-

opatrzenie od towarzystwa artystów dramatycznych i operowych. Natychmiast pojechał do niego.

Pancone mieszkał w małym, samotnym domku na krańcach miasta. Drzwi Supramatiemu otworzyła młoda panienka, oznajmiając na wstępie, że dziadek jej jest nieobecny. Gdy jednak ujrzała przed sobą wytwornego pana, który wysiadł ze wspaniałego powozu, zmieszała się i poprosiła Supramatiego, aby chwilę zaczekał, dopóki ona dziadka nie uprzedzi.

- Prosiłbym tylko o wskazanie mi miejsca, gdzie znajduje się pan Pancone. Jestem jego dawnym znajomym i chciałbym zrobić mu niespodziankę.

Dziewczynka zaprowadziła go do ogrodu. Wskazawszy mu mężczyznę, ubranego w żakiet i duży słomkowy kapelusz, rzekła:

- Oto dziadek.

Po czym oddaliła się dyskretnie.

Supramati dostrzegł, że eks-śpiewak zajęty był obrzynaniem karczochów. Stojący opodal kosz był już napełniony ogórkami, głowami kapusty i innymi warzywami.

Mimo swych osiemdziesięciu lat był to starzec czerstwy i silny.

Na widok gościa zrobił krok naprzód i nagle cofnął się, krzyknąwszy głucho. Ogrodniczy nóż wypadł mu z rąk.

- Witam pana, panie Pancone! - zawołał Supramati, wyciągając do niego z uśmiechem rękę. - Czy tak przestraszyłem pana, czy też nie poznał mnie pan?

- Na Bachusa! Poznaję. Takich ludzi jak pan nie zapomina się. Jeżeli jednak przestraszył mnie pan, to nie ma w tym nic dziwnego. Nie widzieliśmy się przecież czterdzieści lat. Powinien więc pan mieć zgodnie z prawem natury, lat siedemdziesiąt. Tymczasem widzę przed sobą, jak przedtem, człowieka młodego. Chyba jesteś pan czartem, albo czart dał ci środek przeciwko starości.

- O, myli się pan! Diabeł nie ma nic wspólnego z moim wyglądem zewnętrznym - odrzekł Supramati śmiejąc się. - W tym tylko cały sekret, że my Hindusi, nie starzejemy się tak szybko.

Poszli z ogrodu na taras, przylegający do domu, zapalili cygara i przy szklankach wina, zaczęli rozmawiać o przeszłości i o czasach obecnych. Gdy Supramati napomknął o wicehrabim Lormoeillu. twarz starca posmutniała.

- O, tak, wiem co się z nim stało. Ku własnej swej niedoli żyje on jeszcze, ale nie sądzę, aby długo pociągnął.

Dla niego przyjazd pana będzie prawdziwym dobrodziejstwem. Znam pańską hojność. Poszukując go, daje pan tym dowód, że pragnie ulżyć jego ostatnim chwilom.

- Istotnie, taki jest mój zamiar. Lecz co spowodowało jego nędzę? Gdzież on mieszka?

- Stąd niedaleko, w schronisku dla biednych, utrzymywanym przez pewną dobrą wdowę. Pieniądze, które mu pan dał przed swoim wyjazdem, wicehrabia puścił w przeciągu kilku lat, potem został zlicytowany i znów znalazł się na bruku.

Opuścili go wszyscy, gdyż był skompromitowany przez kilka źle widzianych czynów. Odtąd zaczął prowadzić tryb życia dość tajemniczy: był krupierem w Monaco, potem został agentem jakiegoś towarzystwa od ubezpieczeń, wreszcie był klakierem. Słowem, schodząc ze stopnia na stopień coraz niżej, wpadł w nędzę i chorobę i byłby już dawno zginął w opuszczeniu, gdyby nie miłosierdzie wdowy, o której wspomniałem. Pomagam mu w miarę możności, ale niewielka to pomoc dla człowieka, który pamięta lepsze dni.

Po upływie pół godziny weszli do przytułku, stanowiącego brudną, ciemną izbę. Całe ubeblowanie składało się ze starego stołu, dwóch ławek i biednego łóżka, na którym leżał człowiek, okryty zniszczoną już bardzo kołdrą.

- O, nieszczęsny! - pomyślał Supramati, przypominając sobie z dawnych lat wytwornie urządzone mieszkanie świetnego utracjusza.

Pochylił się nad łóżkiem i od razu okiem lekarza określił, że leży tu człowiek umierający. W tym szkielecie, obciągniętym skórą, w tej twarzy podobnej do pergaminu i poranej głębokimi zmarszczkami trudno było poznać Lormoeilla.

- Wicehrabio! - rzekł Supramati, dotykając zimnej ręki umierającego.

Lormoeil drgnął, wyprostował się, otworzył błędne oczy i po chwili wyciągnął drżące ręce, dobywając resztkami sił głosu.

- Supramati! Mój opiekunie wspaniałomyślny!
- Biedny przyjacielu! Żałuję bardzo, że nie przyjechałem wcześniej, lub że nie wiedziałem przynajmniej o twoim nieszczęściu. Ale nie trać nadziei: wszystko się zmieni i ja dołożę wszelkich starań, aby życie twoje było otoczone spokojem i dostatkiem.
Cień głębokiej goryczy przemknął po twarzy biedaka.
- Dziękuję ci, panie, za tak dobre serce, ale na tym świecie potrzebna mi tylko trumna. Dosyć nacierpiałem się głodu, dość naprosiłem się zmiłowania...
Wstrząs płaczu nie pozwalał mu mówić.
- Umrzeć... umrzeć... Pragnę tylko tego. O Supramati! Jeżeli chcesz mi pan okazać ostatnią łaskę to proszę, abym był pochowany przyzwoicie i aby ciała mego nie rzucono do ogólnego grobu.
Supramati, głęboko wzruszony, uścisnął rękę wicehrabiego.
- Na to przysięgam panu. Jeżeli jednak masz pan jeszcze jakieś życzenie, to proszę powiedzieć mi, a wszystko spełnię najchętniej.
- Dziękuję panu! W takim razie pragnąłbym, aby mnie pochowano na cmentarzu w mojej rodzinnej miejscowości. Tam przyszedłem na świat, tam jest grób moich rodziców, tam...
Mowa starca przeszła w szept, twarz śmiertelnie pobladła, chwyciała go nagle słabość i opadł na poduszki.
Supramati patrzał na niego ze współczuciem i rozmyślał nad jego nieszczęsną dolą. Wtem błysnęła mu myśl uratowania go przy pomocy kilku kropli eliksiru życia.
Żadne prawo, żaden warunek nie zabraniały mu użycia pierwotnej esencji według własnego uznania. Wszak Dachir mówił, że nie spada żadna odpowiedzialność na tego, kto pod wpływem wspaniałomyślnego porywu lub współczucia unieśmiertelni ludzi w godzinie ich ciężkich cierpień.
Już Supramati sięgał do kieszeni, by wyjąć maleńki flakonik cudownej esencji, gdy nagle powstrzymała go inna myśl.
Czy dar nieśmiertelności będzie dla tego człowieka dobrodziejstwem? A co się stanie, jeżeli odżyją w nim wszystkie dawne wady i pójdzie on śladem Narajany, on, typowy przedstawiciel leniwego i żyjącego w rozpuście środowiska, które gotowe jest lizać najbrudniejsze ręce, byleby darzyły złotem? O, nie! Lepiej niech się stanie zadość mądremu prawu, dzięki któremu przenoszą się do pozagrobowego świata istoty zdeprawowane i nieużyteczne.
Pod wpływem tych myśli Supramati rzucił ostatnie spojrzenie na nieruchome, półmartwe ciało wicehrabiego, odwrócił się i westchnąwszy głęboko, wyszedł z izby.
Zanim jednak odjechał, poprosił Pancona o wynajęcie dla chorego przyzwoitego pokoju i o uczynienie wszystkiego, co by nieszczęśliwcowi dało ulgę w ostatniej chwili jego życia. Dymisjonowany śpiewak przyjął zlecenie i obiecał w razie śmierci Lormoeilla zawiadomić o tym Supramatiego.
Supramati powrócił do domu z dręczącym go nieustannie uczuciem, że stało się coś złego. Jakkolwiek był przekonany, że uczynił dobrze, powstrzymawszy się w porę od udzielenia Lormoeillowi eliksiru wieczności, to jednak miał takie wrażenie, jakgdyby podpisał wyrok śmierci i - myśl o tym nie dawała mu spokoju.
Dopiero wieczorem, gdy został sam na sam z Narą, opowiedział jej, w jak opłakanym stanie znalazł wicehrabiego, i zwierzył się ze swoich uczuć.
Nara wysłuchała męża w smutnym zamyśleniu, a gdy skończył, uścisnęła mu rękę i rzekła:
- Uczyniłeś dobrze i nie czyń sobie z tego powodu żadych wyrzutów, gdyż człowiek ten, niezdolny do ciężkich doświadczeń wiecznej egzystencji, byłby bardziej nieszczęśliwy, gdybyś zachował mu to życie nieużyteczne i zbrodnicze.
Pamiętaj, że aby nie pójść śladami Narajany, należy pracować z zaparciem i trzeba rozwiązać trudny problem spirytualizowania się żyjąc.
Prawdę powiedziawszy, los nasz jest okropny, wobec czego adepci nie powinni zbytnio zwiększać naszych szeregów. Ja również mam na sumieniu kilka podobnych grzechów, ale esencję życia dawałam tylko jednostkom pożytecznym i pracowitym, które wytrwale i energicznie posuwały się wąską ścieżyną postępu. A ty, któryś nie pomyślał o zachowaniu dla biedaków pożytecznego żywota Mme Rozalii - trapisz się wyrzutami, że nie obdarzyłeś nieśmiertelnością niegodziwca!
- Próbowałem uspokoić się tym samym argumentem. Ale nie wiem, dlaczego było mi tak ciężko pa-

trzeć, jak umiera ten człowiek, podczas gdy ode mnie w owej chwili zależał jego ratunek.

- Wyświadczyłbyś mu bardzo złą przysługę. Niekiedy życie nieskończone bywa nieznośną katuszą dla ludzi, którzy niezdolni są przygotować się na jego niezwykłe koleje.

Przypomniało mi to pewien fakt, który muszę ci opowiedzieć, a którego sprawcą był niepoprawny w swej karygodnej lekkomyślności Narajana, mimo, że wiele z pośród tajników życia widział i znał.

Wypadek, o którym zaraz się dowiesz, zdarzył się około 1340 czy 1350 roku. Spędziliśmy z Narajaną kilka miesięcy we Włoszech, po czym wyruszyliśmy do Bawarii, gdzie posiadał on niewielki zameczek, po którym dziś nie zostało już ani śladu. Tam Narajana zamierzał dokonać kilku magicznych doświadczeń przy udziale jednego z naszych, zamieszkującego w tej okolicy.

Jakkolwiek korzystaliśmy ze wszelkich wygód i urządzeń owej epoki, to jednak podróż nasza odbywała się nader powoli, gdyż drogi były podłe i noce trzeba było spędzać na postojach.

Gdy przejeżdżaliśmy przez Tyrol, zaskoczyła nas okropna burza. Wobec tego, że w pobliżu nie było żadnego możliwego schroniska, znaleźliśmy się w nader ciężkich tarapatach. Nagle jeden ze stajennych, pochodzący z tych stron, ofiarował się zaprowadzić nas do zamku, do którego droga wiodła na przełaj, znacznie w bok od głównego traktu.

Narajana przyjął propozycję z radością i stajenny zaprowadził nas krętymi, okrężnymi dróżkami, przez jakąś dolinę, do małego zameczku, który z daleka wyglądał, jakby był przylepiony do skały.

Gospodarze przyjęli nas z otwartymi ramionami, a byli to ludzie prości, dobrzy i gościnni.

Rodzina składała się z rycerza, jego żony, trojga dzieci i kilku sług o patriarchalnym wyglądzie.

Po kolacji, gdy rozmowa potoczyła się swobodnie, Narajana zaczął wypytywać rycerza o tryb życia i o pragnienia, jakie mogliby mieć na przyszłość on i jego żona.

Małżonkowie odpowiedzieli, że czują się zupełnie szczęśliwi. Wina posiadają dosyć z własnej plantacji i wyrobu, pola dają im wystarczającą ilość zboża, zamek ze względu na swą trwałą budowę i położenie jest twierdzą zupełnie bezpieczną, dzieci są dobre i cieszą się jak najlepszym zdrowiem, właścicielka zamku - to godny naśladowania wzór żony i gospodyni i wreszcie służba to ludzie uczciwi i wierni.

- Pan Bóg w nieskończonej dobroci swojej dał nam wszystko. Niepokoi nas tylko to jedno, że wszystko zmieni się z czasem, oraz że my i nasza służba zestarzejemy się, że dzieci, gdy dorosną porzucą to gniazdo i że w końcu śmierć nas rozłączy. Gdyby dzięki jakiemuś cudowi wszystko to mogło tak jak dzisiaj pozostać na zawsze, gdyby nie groziły nam ani starość, ani śmierć, wówczas wszystkie nasze życzenia byłyby spełnione, - zakończył dobrodusznie rycerz.

Gdy to mówił spostrzegłam na twarzy Narajany dziwny, przelotny uśmieszek, ale na razie nie zwróciłam na to żadnej uwagi. Nawet później, gdy Narajana zaczął szukać czegoś w naszych podróżnych pakunkach nie podejrzewałam go o złe zamiary.

Na prośbę gospodarzy odłożyliśmy swój wyjazd do następnego dnia. Postanowione zostało, że odjedziemy po obiedzie. Gdy, siadając do stołu Narajana oświadczył, że on ze swej strony pragnie poczęstować uprzejmych gospodarzy wyjątkowo, znakomitym winem, jakiego oni bezwątpienia nigdy nie kosztowali, zbudziło się we mnie jakieś złe przeczucie. Na ostrzegawczą uwagę moją, wypowiedzianą w języku greckim, towarzysz mój nic nie odpowiedział. Zwyczajem człowieka upartego przyniósł butelkę i zawartością jej napełnił kubki obecnych, nie wyłączając dzieci. Ponadto poprosił, aby mu pozwolono poczęstować także służbę, na co uzyskał uprzejmą zgodę gospodarzy.

Byłam wzburzona i nie wiedziałam, co czynić, tym bardziej, że w tej chwili nie chciało mi się wierzyć, aby ten przewrotny człowiek mógł nadużyć zaufania tych dobrych ludzi. Zanim jednak zorientowałam się w sytuacji całe towarzystwo wypróżniło kubki aż do dna. Skutek był momentalny. Wszyscy, którzy wypili zdradziecki napój, po kolei pospadali z krzeseł, jak rażeni gromem. Zrozumiałam, że stało się nieszczęście, któremu już zapobiec nie mogłam. Coś ty uczynił? - zawołałam oburzona.

- Co uczyniłem? - powtórzył Narajana, śmiejąc się. - A dałem im upragnione szczęście, dzięki któremu nie zestarzeją się i nie poumierają.

W godzinę potem byliśmy już na drodze. Dwaj służący zamkowi, którzy nas odprowadzili, a których ominął zdradziecki kubek, wyrazili opinię, że państwo ich popili się śmiertelnie. Narajana utwierdził ich w tym przekonaniu i zabronił komukolwiek budzić gospodarzy, dopóki nie ockną się ze snu sami.

Po upływie stu osiemdziesięciu lat znów przejeżdżaliśmy tamtędy. Narajana, przypomniawszy sobie zaszły tu wypadek, chciał odwiedzić zamek. Sprzeciwiłam się temu kategorycznie, ale on pojechał.

Wróciwszy nazajutrz, zaczął opowiadać mi, z humorem, że w zamku wzięto go początkowo za diabła. Służący, który pomagał wówczas przy stole, rzucił się na jego widok twarzą na ziemię, wzywając na pomoc wszystkich świętych niebieskich.

Rycerz śmiertelnie blady odżegnywał się od niego krzyżem, który miał na szyi, a żona kropiła go wodą święconą. Ale Narajana sam uczynił na sobie znak świętego krzyża i oznajmił, że jest prawdziwym chrześcijaninem, nie lęka się ani krzyża, ani wody święconej i że jest bardzo zdziwiony tym przyjęciem, jakie mu zgotowano.

- Jeżeli nie jesteś diabłem albo antychrystem, - rzekł ze smutkiem rycerz, to może niebo cię wysyła, abyś nas uratował, gdyż tamto twoje przybycie miało dla nas dziwne, bardzo ciężkie następstwa, aż obawiamy się, czy dusze nasze dostąpią łaski Zbawiciela.

Potem rycerz wyznał, że ani on, ani jego żona nie starzeją się i nie mogą umrzeć, jakkolwiek w chwili obecnej on liczy dwieście piętnaście lat, a ona dwieście sześć. Najbardziej jednak dziwi ich to, że w tak podeszłym wieku rodzą im się dzieci, które rosną i umierają, jak każdy człowiek, podczas gdy troje najstarszych żyje. Jest to tak niebywałe zjawisko w kronikach świata, że duchowieństwo zwróciło na nich uwagę.

- Przeprowadzono już śledztwo i pomówiono nas o stosunki z diabłem. Lud stroni od nas i przeklina. Niedawno żonie mojej grozili stosem, jak czarownicy i chcieli zamek nasz puścić z dymem. Co będzie jeżeli spełnią się te pogróżki? Ale pomimo to, czasy zmieniły się tak strasznie, że już niepodobieństwem jest żyć, - zakończył biedny rycerz, ocierając łzy z oczu.

Zwróciłam uwagę Narajany na te nieprzyjemności, jakie mogą nam grozić, gdyby ci ludzie mieli być nadal przedmiotem ogólnej ciekawości i wyraziłam zdanie, że trzeba te nieszczęśliwe istoty gdzieś ukryć, gdyż wtajemniczenie ich zabrałoby nam wiele czasu. Narajana przyznał mi słuszność.

Nazajutrz wrócił do zamku i oznajmił tym biedakom, że przybywa, aby wyjawić im tajemnicę ich niezwykłej przygody.

- Zbliża się koniec świata, - rzekł. Do walki z szatanem Pan Bóg wybiera ludzi szlachetnych, dobrych i obdarza ich łaską nieśmiertelności. Ludzie ci stanowią hufiec Boży, po czym pójdą żywcem do Nieba, jak Eliasz.

Zaznaczył przy tym, że on, Narajana, należy do liczby wybranych i zjawił się, aby poprowadzić gospodarzy razem z ich dziećmi w pielgrzymce do Jerozolimy.

Zmartwieni, ale ze szczęściem w sercach ludzie ci zgodzili się na pielgrzymowanie do Ziemi Męki Pańskiej. Po upływie kilku dni wyjechali razem z nami, a Narajana podpalił zamek. Ale zamiast do Jerozolimy zostali wywiezieni do Indii.

- I obecnie tam przebywają? - zapytał Supramati.

- Zostało tylko dwoje dzieci, reszta nie żyje.

- Jak to?

- Daremnie usiłowano ich wtajemniczyć w sekreta wszechstworzenia. Posiadając nazbyt mało rozwinięty umysł, nie byli zdolni do żadnej nauki, a czuli się tak nieszczęśliwymi i taka chwytała ich rozpacz, że opiekujący się nimi mag uznał za konieczne oddania ich światu pozagrobowemu, co też uczynił za pomocą analogicznego środka, jakiego chwytał się Narajana. Przykład ten dowodzi ci, mój drogi, jak niebezpiecznym jest obdarzanie nieśmiertelnością kogokolwiek z ludzi, którzy nie mogą korzystać z jej dobrodziejstw dla własnego doskonalenia się. Dlatego powinieneś powinszować sobie, że oparłeś się pokusie uczynienia wicehrabiego nieśmiertelnym.

- Przyznaję ci słuszność i rozumiem, że śmierć jest aktem miłosierdzia. A jednak przejście do pozagrobowego świata istoty bliskiej lub tylko znajomej sprawia człowiekowi ogromną boleść.

- Jest to zupełnie naturalne - zauważyła z uśmiechem Nara. - Fluid życia, rozpowszechniony we wszechświecie i zawarty w każdym atomie pod postacią powszechnego i właściwego każdemu żyjątkowi ciążenia, tworzy mocny łańcuch. Dlatego, gdy jakakolwiek istota odrywa się od tego łańcucha, wówczas ci, których jednoczyło to ciążenie odczuwają pustkę i smutek, nieraz bardzo ciężką boleść spowodowaną pęknięciem tej fluidycznej łączni. Więzy wytworzone przez prąd życia są tak potężne, że człowiek obdziela swym fluidem nawet używane przez siebie przedmioty, które wskutek dłuższego obcowania z nim stają się drogimi. Dlatego właśnie tak trudno jest rozstać się ze starymi meblami, z mieszkaniem, w którym spędzi się dłuższy czas, itp.

W kilka dni po tej rozmowie zjawił się Pancone z zawiadomieniem, że wicehrabia zmarł. Korzystając z wizyty śpiewaka, Supramati oznajmił mu, że wkrótce wyjeżdża do Indii i na pamiątkę podarował mu sporą sumkę pieniędzy na posag dla jego wnuczki.

Istotnie dalszy pobyt w Paryżu nie miał dla Supramatiego żadnego sensu, a nawet męczył go. Był on człowiekiem innego pokroju, niż Narajana, który niekiedy lubił rozpraszać się w życiu, nie bacząc na swe prace i na samotność, do której nieraz uciekał. Działo się tak, skutkiem czego Narajana nie był nigdy duchowo wyzwolony i oczyszczony z grzechów. Rządziła nim niepodzielnie materia i pociągała go do popełniaia różnych zdrożności.

Supramati zaś z natury trzeźwy, czysty i poważny zdołał w ciągu kilkudziesięciu lat, zużytych na pierwsze wtajemniczenie pozbyć się materii z dawnego człowieka.

Osiągnięta przez niego okultystyczna potęga nie służyła mu za igraszkę i nie otaczał się on aureolą czarnoksiężnika, aby zadziwiać i straszyć próżniaczą gawiedź. Przeciwnie, traktował posiadaną władzę, jak pierwszy stopień olbrzymiej drabiny wiedzy, do której należało wznosić się coraz wyżej ku świetlanemu celowi. Wszystkimi myślami tkwił w przyszłości i teraźniejszość nie zajmowała go wiele.

Wreszcie przyzwyczaił się do osamotnienia, do uporczywej pracy i do obcowania ze zjawami pozaświatowymi. Nieraz, ślęcząc nad astrologicznym manuskryptem w celu rozwiązania jakiegoś złożonego problemu, odczuwał czyjś delikatny dotyk i ciepły lub chłodny powiew. Wówczas zjawiała się koło niego eteryczna i jasna postać, albo masywne i ciemne indywiduum. Supramati jednak nie lękał się tych gości z przestworzy, lecz odnosił się do nich życzliwie lub z szacunkiem w zależności od tego, na co zasługiwali, przyjmując ich pouczenia zawsze z wdzięcznością.

Jego samotne laboratorium nawiedzał niejednokrotnie Ebn-Ari lub inny potężny demon, a wówczas któryś z nich pochylał się nad stołem, kreślił nieznany znak i tłumaczył jego moc działania.

Zrozumiałe więc jest, że posiadając taką strukturę duchową i tego rodzaju skalę zainteresowań umysłowych, Supramati nudził się i czuł się obco w tym lekkomyślnym i głupim tłumie, wśród którego przebywał.

Poza tym “świat”, do którego powrócił na nowo, uległ znacznej przemianie i urągał jego trwałym ideom i przekonaniom. Przejmowało go odrazą rozpowszechnione kramarstwo, wyrównujące różnice społeczne, lecz nie mogące wyrównać różnicy posiadania...

Bardziej jednak gorszył go religijny zamęt i mnóstwo sekt, toczących między sobą zaciętą walkę; poza sektami każdy wyznawał swoją religię, każdy na swój sposób tłumaczył tajemnice życia, każdy poszukiwał najwygodniejszego dla siebie rozstrzygnięcia spraw, którymi był zainteresowany, każdy wygłaszał przeróżne paradoksy i w rzeczywistości w nic nie wierzył.

Z niemniejszym wstrętem patrzył Supramati na powszechny egoizm, okazywany publicznie bardziej przez kobiety, niż przez mężczyzn. Troska o zachowanie chociażby zewnętrznej przyzwoitości, wszelkie poczucie wstydu, własnego honoru i szacunku zniknęły zupełnie. To, na co czterdzieści lat temu patrzono jak na hańbę i poniżenie, obecnie zdobyło sobie prawo obywatelstwa. Każdy żył, jak mu się podobało i nikogo to nic nie obchodziło. Kto posiadał złoto, ten stanowił prawa, ale sam nie stosował się do nich.

Oczywiście, w podobnych warunkach “rodzina” w dawnym pojęciu, przestała istnieć, a statystyka konstatowała fakt zmniejszania się ludności w stosunku wprost przerażającym.

Arystokratyczna wytworność Supramatiego i jego współtowarzyszy, a także bogactwo, zapewniły im w towarzystwie pozycję pierwszorzędną i ściągały na nich powszechną uwagę. Dachir uchodził za brata Supramatiego i obydwum schlebiano na każdym kroku. Na widok zaś Nary mężczyźni tracili głowy i wprost wściekali się z rozpaczy, że ta czarująca kobieta jest tak “zabawnie uczciwa”.

Pomimo jednak owego gruboskórnego materializmu, ludzie ci wyczuwali, że wokół tych trojga nieznajomych unosi się coś niezwykłego; pewien zaś stary dyplomata, chlubiący się trafnością sądu na pierwszy rzut oka oznajmił, że Supramati i jego czarująca małżonka podobni są do “uchodźców z podziemi”.

- Charakteryzuje ich matowa bladość twarzy i jednakowa zniewalająca ognistość spojrzeń, a w wyrazie ich oczu i w uśmiechu przebija coś takiego, co każe przypuszczać, że zdolni są oni odgadywać cudze myśli.

Nie bacząc wszak na taką “czarcią” opinię, jakiej nie szczędzono zamożnym obcokrajowcom, wszy-

scy ubiegali się na wyścigi o przebywanie w ich towarzystwie i pragnęli nawiązać z nimi znajomość.

Dawny Ralf Morgan nazbyt kochał swój zawód lekarski, aby nie pokusić się o zastosowanie w praktyce tych medycznych wiadomości, jakie posiadł w ostatnich czasach. Najpierw więc wyleczył kilku chorych biedaków, później zaś kogoś z wyższej sfery. Seria tych cudownych uzdrowień zrobiła mu tak głośną sławę i zaczęła tak szybko zwiększać liczbę jego pacjentów, że musiał w końcu ratować się ucieczką. Toteż pewnego ranka we troje porzucili niepostrzeżenie Paryż i wyruszyli do Wenecji, zachowując jak najściślejsze incognito.

Rozdział piąty

W starym pałacu, który był, zdaje się tak samo wiecznotrwały, jak jego właściciele, w Supramatim zbudziły się dawne wspomnienia.

Po kolacji zaczął opowiadać swoim przyjaciołom, jak dziwnych doznawał wrażeń, gdy jako książę przybył do tego pałacu i czuł się tu nieswojo w nowych warunkach egzystencji. To opowiadanie wydało się Narze i Dachirowi tak zabawne, że oboje zaczęli się śmiać. W toku rozmowy postanowili pozostać w Wenecji tak długo, dopóki nie przybędą tu wszyscy członkowie bractwa.

- Czy zamierzasz składać wizyty, Naro? - zapytał Supramati. - Wszak nie jest pożądane, abyśmy byli poznani.

- Bądź spokojny! Nikt nigdy nas nie pozna. Najwyżej może ktoś powiedzieć, że jesteś podobny do jednego ze swych krewnych, odpowiedziała wesoło młoda kobieta. Po czym dodała: - W tej chwili przypomniał mi się zabawny epizod, w którym główną rolę odegrał ten kpiarz Narajana.

- Wiecie, że pałac ten należał do Narajany od dawien dawna. Ponieważ właściciel jego lubił bardzo Wenecję, więc korzystał z każdej sposobności, aby choć raz na sto lat, a niekiedy nawet częściej, spędzać tu czas dłuższy.

Pewnego razu w czasie przebywania tu, w początkach szesnastego wieku, Narajana zamówił u pewnego znanego artysty malarza swój portret; zauważyliście zapewne, że pod tym względem był maniakiem. Gdy portret został wykonany, wszyscy zachwycali się wiernością podobizny. Wkrótce wyjechaliśmy z Wenecji, a kiedy po upływie osiemdziesięciu lat wróciliśmy tutaj, Narajana nie omieszkał zawiesić portretu w gabinecie, gdzie zwracał on powszechną uwagę. Pewien stary szlachcic zwrócił się do mnie z zachwytem:

- Jak pani mąż jest podobny do swego przodka. Bajeczna podobizna! Gdyby nie różnica w ubiorze, można byłoby pomyśleć, że to on właśnie.

Narajana nie posiadał się z radości i natychmiast zamówił nowy portret. To samo powtórzył w 1740 roku, gdy przyjechaliśmy tu znowu. Bawiły go zachwyty ludzi i każdorazowo zamawiał nowy portret. O! Narajana w wielu wypadkach był dużym dzieckiem.

- Zapewne istnieją jeszcze te portrety - zapytał Dachir.

- Naturalnie! - odrzekł, podnosząc się Supramati.

- Wszystkie wiszą w gabinecie, przylegającym do biblioteki. Chodźmy zobaczyć je. Są one naprawdę wybitnymi dziełami sztuki.

Udali się do wskazanego gabinetu i zaczęli oglądać cztery portrety, przedstawiające postać Narajany w naturalnej wielkości. Piękność jego uwydatniała się tym wspanialej, że miał na sobie bogate ubiory wieków minionych.

Supramati zauważył:

- Jaka szkoda, że ta istota, obdarzona niezwykłą urodą i zdolnościami, nie wykorzystała należycie prerogatyw swego niezwykłego losu dla rozwoju ducha i poświęcała się wyłącznie zewnętrznym błahostkom.

- Miejmy nadzieję, że obecnie Narajana większą wyciągnie korzyść ze swego pozagrobowego istnienia - odrzekła w zamyśleniu Nara. - Pod wpływem okrutnych cierpień i obrzydliwych warunków, w jakich znalazł się po śmierci, będzie bardziej rozsądny.

Po czym dodała z lekkim uśmiechem:

- W każdym razie pozostawił on po sobie bardzo ciekawą pamiątkę dzięki swej manii portretowania się.

- To prawda! Żałuję bardzo, że i tobie nie udzieliło się to zamiłowanie do portretów. Wszak rzadkością są twoje portrety, Naro.

- O, nie mów tak, gdyż dosyć poniosłam ofiar dla dogodzenia zachciankom mego eksmęża. Dowodem tego są fotografie, ozdabiające twe biurko i portret w twym gabinecie. Istotnie, nie lubię portretowania się. Jedyny mój wizerunek, który najbardziej cenię, to moja rzeźba. Wtedy rzeczywiście byłam młoda duszą i ciałem.

Obecnie nie jestem zdolna do porywów i uniesień, albo do przeżywania marzeń o przyszłości. Marzenia te zniknęły na zawsze, jak sny podczas letniej nocy. Ciało mam młode, ale oczy zdradzają starość. Tego wyrazu oczu nie uchwyci na płótnie żaden artysta i portret mój będzie zawsze zwykłym odbiciem zewnętrznych wartości.

Supramati i Dachir milczeli. Spoglądali tylko ze smutkiem na podobizny dawnego współtowarzysza, który potrafił w ciągu kilku wieków zachować świeżość uczuć i zdolność do rozkoszowania się życiem.

- Ale w naszej galerii faktycznie brak jednego portretu, a mianowicie twego, Dachirze, ty postrachu żeglarzy, złowieszcze widmo oceanu! - powiedziała nagle Nara, kładąc maleńką rączkę na ramieniu Dachira.

Drgnął, zbudzony niespodzianie z zadumy.

- Bohater legendy utraci zupełnie swą aureolę, jeżeli przedstawi publiczności swój portret, lub wręczy swój bilet wizytowy - odrzekł ze smutnym uśmiechem.

- Widzę, że nader cenisz swój urok “postrachu”. Wiemy jednak, o czym także wiedział Wagner, ale w natchnieniu, że Latający Holender to potężny młody człowiek, niebezpieczny jedynie dla serc niewieścich.

Nazajutrz wieczorem, postanowili pójść we troje do teatru. Grano jakąś operę, więc chcieli zapoznać się z nowymi kierunkami w muzyce włoskiej.

Weszli do loży i zajęli swe miejsca, gdy już kurtyna była odsłonięta i widownia pogrążyła się w ciemności.

Ponieważ muzyka była bardziej hałaśliwa, niż melodyjna, więc zwrócili baczniejszą uwagę na przedstawienie, którego realizm wykraczał znacznie poza ramy dozwolone na scenie.

W czasie pierwszego antraktu zaczęli obserwować salę, szukając wśród publiczności dawnych znajomych. Ale pięknych niegdyś kobiet i eleganckich młodzieńców, otaczających dawniej Narę szczególnymi względami, trudno było dopatrzeć się w tych czcigodnych staruszkach i siwych starcach, przygarbionych wiekiem. Niektóre z tych żywych zabytków przeszłości spoglądały na Supramatiego ze zrozumiałym zdziwieniem.

Supramati nie zwracał na nikogo uwagi, jakkolwiek na jego lożę kierowało się wiele spojrzeń. Nagle drgnął i pochyliwszy się naprzód, skierował lornetkę na przeciwległą lożę. Siedziała tam jasnowłosa, młoda kobieta bardzo ładna i strojna, zajęta ożywioną rozmową z młodym panem, najwidoczniej darzącym ją miłością.

- Naro! Czy widzisz tę kobietę w białej sukni ze szmaragdowym diademem na głowie? To Liliana - ofiara Narajany, której historię opowiedziałem ci - szepnął Supramati cichutko.

Nara szybko spojrzała we wskazanym kierunku, ale w tej chwili siedząca w loży dama również dostrzegła ich.

Doznała widocznie silnego wzruszenia, bo wachlarz wypadł jej z rąk, a ona blada śmiertelnie zagłębiła się w fotelu. Jej zdumione i zatrwożone spojrzenie jakby przylgnęło do Supramatiego.

- Nieszczęście! Znowu uprawia swoje wstrętne rzemiosło, - rzekła również po cichu Nara. - Dzięki eliksirowi życia, zachowała swą młodość i piękność, ale w oczach jej nie widać jakoś szczęścia. Powinieneś widzieć się z nią. Możliwe, że utraciła swój majątek i to popchnęło ją na drogę rozpusty.

Supramati szepnął żartobliwie:

- A czy jako człowiek żonaty nic nie stracę na swej opinii?

- Bądź spokojny - odparła Nara, rzucając na niego zalotne spojrzenie. - Nie będę zazdrosna o tak przykładnego męża, jakim ty jesteś, mimo że w Lilianie zbudziłeś gorące uczucia. Idź śmiało ze spokojnym sumieniem. Być może, że przydamy się na coś temu biednemu stworzeniu.

Pamiętaj, że jest ofiarą Narajany i to nakłada na nas obowiązek w stosunku do niej.

- Masz rację. Zaraz jutro odwiedzę Lilianę. A teraz dowiem się o jej adres i o jej obecne nazwisko.

Po upływie dziesięciu minut Supramati wiedział, że Liliana przeistoczyła się w Andrienn Lavanti, że przebywa w świecie zaledwie od trzech czy czterech lat i jest kochanką markiza Palestry, bardzo bogatego Toskańczyka.

Zebrawszy te wiadomości, Supramati skreślił na bileciku kilka słów:

"Jutro rano, o 11-ej proszę być samą. Odwiedzę panią. S.…".

Bilecik został wręczony kurtyzanie przez sowicie nagrodzoną odźwierną w chwili, gdy markiz wyszedł na papierosa.

Liliana była ogromnie wzburzona, poznawszy w Supramatim swojego dobroczyńcę, który uratował ją z fatalnego położenia, w jakim znalazła się dzięki Narajanie. Nie zapomniała pięknego, wspaniałomyślnego młodzieńca, który nie odwzajemnił się jej miłością, ale który pozostał nieosiągniętym ideałem jej serca mimo, że odtąd nie dawał o sobie żadnego znaku życia. Ujrzawszy go niespodziewanie tak samo młodego i czarującego, jak dawniej, a przy tym w towarzystwie pięknej kobiety, Liliana w jednej chwili przeżyła rozszalałą w niej burzę uczuć. Smutek, pożądanie i zazdrość dławiły ją. Dopiero liścik Supramatiego wpłynął na nią uspokajająco. Już samo to było pociechą, że została poznana i że pragnie widzieć się z nią. Dłużej w teatrze nie mogła pozostać i pod pozorem nagłej niedyspozycji, blada i wzruszona, pojechała do domu.

Spędziła noc bezsennie. W ciągu długich godzin, strawionych w ciszy nocnej na rozmyślanich, przeżywała znowu całą swą przeszłość, całą dziwną i niewytłumaczoną epopeję swojego życia. Ale najdłuższymi i najbardziej dręczącymi wydały jej się ranne godziny, poprzedzające przyjazd Supramatiego. Stojąc na balkonie, wpatrywała się niecierpliwie w każdego, ktokolwiek przejeżdżał tędy. Gdy przed domem zatrzymała się gondola i wyszedł z niej Supramati, serce w niej zaczęło bić tak gwałtownie, że zabrakło jej tchu.

Przyjęła upragnionego gościa w buduarze. Była tak wzruszona, że nie mogła wymówić słowa i podawszy Supramatiemu rękę w milczeniu, wskazała mu krzesło.

- Jestem szczęśliwy, że dzięki przypadkowi spotykamy się znowu i, że widzę panią taką młodą i piękną jak dawniej - rzekł Supramati tonem przyjaznym. - A jednak, miss Liliana, nie mogę ukryć tego przykrego uczucia , że znowu spotykam panią na ciernistej i poniżającej drodze, którą powinna była pani porzucić na zawsze.

Twarz jej zalała się silnym rumieńcem.

- Pan tak od razu dotknął chorego miejsca. Ale panu, jako memu dobroczyńcy, muszę wyznać wszystko i zdać rachunek z roztrwonienia tej fortuny, którą pan tak wspaniałomyślnie...

- O, nie miss Liliana - przerwał Supramati - pani nie powinna ani zdawać przede mną rachunku, ani czynić wyznań. Jestem pani przyjacielem i proszę mi wierzyć, że czuję się poniekąd odpowiedzialnym za los pani. Czyż nie stała się pani ofiarą zbrodniczej lekkomyślności mojego brata, Narajany? Chcę coś powiedzieć, ale proszę mi zaufać.

- O, ufam panu bardzo! Ale ze swej strony proszę, aby mi pan odpowiedział na jedno pytanie i wyjaśnił wprost niewiarygodne objawy, zachodzące w moim ciele.

- Domyślam się, o co mnie pani zapyta i odpowiem w miarę możności.

- Po pańskim wyjeździe usiłowałam uczciwie dotrzymać swej obietnicy i zaczęłam żyć innym życiem.

Kształciłam się, czytałam i doskonaliłam się w śpiewie i muzyce. Oprócz tego, pod kierownictwem M'me Rozalii zajmowałam się sprawami dobroczynności i chodziłam do kościoła. Muszę przyznać się panu, że ta cała obca dla mnie praca, której oddawałam się nie z własnej pobudki, lecz z obowiązku, nie wypełniała mego życia, wobec czego w sercu czułam pustkę. Nie sprawiało mi zadowolenia ani przelotne szczęście, że wyratowałam z nędzy jakiegoś biedaka, ani świadomość, że czynię postęp w grze na fortepianie. Jedyny człowiek, któremu chciałam zaprezentować swoje zdolności i którego pochwały pragnęłam, był daleko i nie udzielał mi o sobie żadnej wiadomości.

- Gdyby pragnęła pani uznania Boga, ale nie człowieka, który jest tak samo niedoskonałym jak ona, wówczas miałaby pani serce zaspokojone - odrzekł Supramati na pół zmieszany i wzruszony.

- Nie zamierzam pomniejszać swych braków i wad; przeciwnie przyznaję się do nich, aby usprawie-

dliwić swoje omyłki, których źródłem były właśnie one - odrzekła Liliana, westchnąwszy ciężko. - Ale wracam do swego opowiadania. W ciągu trzech lat prowadziłam samotny i pracowity tryb życia z dala od swych znajomych. Pewnego jednak razu zgoła nieoczekiwanie spotkałam się z Lormoeillem, którego nie widziałam od bardzo dawna. Wicehrabia nie wiedział o niczym. Na widok mój ucieszył się bardzo i oświadczył mi, że ma wiele do pomówienia ze mną.

Wstąpiliśmy do kawiarni, która była o tej godzinie pusta i tam dopiero Lormoeill zawiadomił mnie, że Narajana zmarł i że jako następcę zostawił swego brata. Rozpływał się w pochwałach dla pana. W rezultacie powiedział mi, że ożenił się pan w Wenecji, a potem wyjechał do Indii...

Liliana zawahała się i umilkła na chwilę, widocznie bardzo wzruszona.

- I cóż dalej, miss Liliana? - zapytał z uśmiechem Supramati. - Proszę mówić. Domyślam się, że wiadomość o moim tajemniczym ślubie była dla pani nieprzyjemna.

- Tak jest - przyznała się szczerze. - Byłam wzburzona i na tyle głupia, że ślub pański z kobietą czarującej piękności, z kobietą zupełnie godną pana, wydał mi się prawie osobistą zniewagą. W przystępie wściekłości zrozumiałam, że jestem wolna od obowiązku prowadzenia uczciwego życia i w zaślepieniu swoim nie zdawałam sobie sprawy, że cnota jest przede wszystkim coś warta dla tego, kto jej dochowuje.

- Głucha na prośby i przekonywania Rozalii, rzuciłam się z szatańskim szaleństwem we wszystkie świeckie zdrożności, lecz serce miałam wciąż puste, a w chwilach samotności dręczyły mnie wyrzuty sumienia, że oto zignorowałam rady swego dobroczyńcy. Aby zapełnić tę pustkę i zagłuszyć dręczącą świadomość, wpadłam w ostateczność. Szukałam silnych wrażań; grałam na giełdzie i w ruletkę, a skończyłam na tym, że w pewnej ryzykownej spekulacji przepadło całe moje mienie. Straciłam wszystko, co miałam, ale z tego powodu nie smuciłam się zbytnio. Nie wyczerpanym źródłem bogactwa była moja uroda, na którą zda się nie wpływał ani czas, ani nadużycia. W żaden sposób nie mogłam zrozumieć, dlaczego moja piękność nie więdnie. Liczyłam sobie już pięćdziesiąt lat, a w lustrze widziałam zawsze twarz kobiety dwudziestopięcioletniej.

- Kiedyś, zdaje się przed siedmioma laty, zapadłam bardzo na zdrowiu. Zdziwiło mnie to i przeraziło, gdyż od trzydziestu z górą lat nie chorowałam zupełnie.

Odczuwałam ogromne osłabienie, ołowiany ciężar w członkach i niewypowiedziany wstręt do życia. Wezwany przeze mnie lekarz nie mógł odnaleźć organicznej choroby i doszedł do wniosku, że te bolesne objawy są zapewne wywołane przez rozstrojony system nerwowy.

Przypuszczając, że zbliżam się do czterdziestki, zaopiniował, że lata mają swoje wymagania i zalecił mi zupełny kilkumiesięczny wypoczynek w miejscowości odseparowanej od wrzawy światowych uciech. Kazał mi przebywać na świeżym powietrzu, spędzać jak najwięcej czasu w lesie, pić mleko, używać potraw jarskich, nic nie robić i nie widywać się z nikim, aby organizm mógł zachować zupełny spokój.

Poszłam za tą radą i zamieszkałam w pewnej odludnej fermie na południu Niemiec. Gospodarzy miałam biednych, prostych, bogobojnych i uczciwych. Mały ich mająteczek otoczony był lasem, co jak panu wiadomo, jest w dzisiejszych czasach nadzwyczajną rzadkością.

Początkowo czułam się lepiej, lecz groźne symptomy mej choroby w sposób przerażający odezwały się znowu. Ciężar członków był bardziej nieznośny, wzrok psuł się, słuch przytępił, włosy zaczęły mi siwieć, ramiona przygarbiły się, a skórę, dotąd odłuszczoną i świeżą, poorały zmarszczki, słowem, w ciągu dwóch czy trzech tygodni - dokładnie określić tego nie potrafię, gdyż byłam wówczas jak obłąkana - przeistoczyłam się w starą wstrętną babę. Stan mojej duszy był okropny. Tak byłam przyzwyczajona do tego, że jestem młoda i ładna, że zapomniałam o swoim faktycznym wieku! Na próżno starałam się wmówić w siebie, że ta starość, która przyszła tak nieoczekiwanie, jest zupełnie naturalna i że tylko jakiś niepojęty przypadek tak długo oddalał ode mnie jej termin; żadną jednak miarą nie mogłam pogodzić się z uczuciem starości.

Ostatni etap tego okropnego stanu był nad wyraz ciężki. Wyschłam, włosy wychodziły mi pasmami i wszystkie zęby mi wypadły. W ciągu prawie trzech dni usta moje stały się puste, czaszka obnażyła się, a osłabienie było tak znaczne, że nie mogłam wstawać. Sądziłam, że jest to już ostatnia moja godzina. Wygląd mój zaniepokoił gospodarzy ogromnie. Chcieli wezwać lekarza, ale sprzeciwiłam się temu. Żyć w takich warunkach, w jakich się znalazłam, było tysiąc razy gorsze od śmierci. Wydałam tylko pewne

zlecenia co do mojego pogrzebu i na ten cel wręczyłam gospodarzom wystarczającą sumkę. Zabroniłam rozsyłania zawiadomień o mojej śmierci. Chciałam zniknąć bez śladu...

Było to wieczorem. Leżałam sama jednak w swym maleńkim pokoiku, pogrążona w ciężkim odrętwieniu, które wydało mi się przedśmiertną agonią. Nagle uczułam, jak gdyby w tym miejscu, gdzie miałam niegdyś ranę, którą mi zadał Narajana - buchnął ogień. Jednocześnie ciało moje zaczęły przeszywać ogniste strzały, powodując wszędzie wewnętrzne wybuchy: to w ręce, to w nodze, to w oku, to w żołądku itp. Sprawiało mi to ogromny ból, przenoszący się ze zdumiewającą szybkością z miejsca na miejsce.

Wreszcie uczułam, jakby głowa rozpadła mi się na kawałki i straciłam przytomność. Opowiadała mi potem gospodyni, że gdy zajrzała do mego pokoju, wydało jej się, że śpię, twardo. Istotnie, spałam tak czterdzieści osiem godzin. Po przebudzeniu się było mi zupełnie dobrze i uczułam dotkliwy głód. Służąca, która przyniosła mi śniadanie, oświadczyła, że wyglądam doskonale i odmłodniałam o trzydzieści lat.

Słowem odzyskałam swą młodość i urodę daleko szybciej, niż poprzednio starzałam się. Stopniowo wyrosły mi zęby i stałam się taką samą, jaką mnie pan widzi. Z początku moja dobra gospodyni patrzyła na mnie z jakimś zabobonym lękiem, ale wkrótce uspokoiła się, mówiąc tylko, że chorobę moją wzięła za czary, rzucone na mnie przez kogoś, i że te czary odwróciła święta relikwia, którą niepostrzeżenie zawiesiła nad moim łóżkiem.

Po zupełnym wyzdrowieniu zmuszona byłam znowu wziąć się do swego podłego rzemiosła, aby móc żyć tak, jak byłam do tego przyzwyczajona. Ale nie chciałam pokazać się tam, gdzie przedtem przebywałam, pod swoim dawnym nazwiskiem. Dlatego wzięłam sobie nazwisko Andrienne Levanti i wyjechałam do Ameryki. Stamtąd przywiózł mnie do Wenecji przyjaciel mój - Włoch. Reszta nie jest wcale ciekawa.

Teraz proszę wytłumaczyć mi ten nadzwyczajny wypadek, o którym opowiedziałam panu. Nie podlegając wpływowi czasu, powinien pan znać klucz do tej tajemnicy i powiedzieć mi, kiedy skończy się ta moja nienaturalna młodość i znienawidzone życie, przytłaczające mnie, jak nieznośny ciężar. Uprzykszyło mi się wszystko, nie mam w życiu celu i do niczego się nie nadaję. Choć przez litość niech mi pan powie, kiedy i w jaki sposób nadejdzie moja śmierć?

Tej długiej opowieści Supramati słuchał ze wzruszeniem. Dopiero teraz zrozumiał słowa Ebramara, gdy ten powiedział, że esencja życia udzielona organizmowi Liliany w ten sposób, jak to uczynił Narajana, działa zupełnie inaczej i na wiele lat przedłuża długość życia, nie czyniąc go bynajmniej wiecznym. Lecz czemu to się dzieje? Tego Ebramar nie wyjaśnił i Supramati zgoła nie wiedział, co sądzić o przyszłości Liliany. Odnowienie jej organizmu dokonane zostało w sposób zupełnie nowy i dowodziło tylko, jak różnorodne jest działanie cudownej i strasznej substancji.

- Zapytuje mnie pani o coś więcej, niż mogę odpowiedzieć, miss Liliana - odrzekł po chwili. - Wprawdzie istnieje tajemnicza substancja, przedłużająca życie na czas pewien i wzmacniająca siły oraz młodość, ale lekkomyślne posiłkowanie się tym niebezpiecznym środkiem jest zbrodnią. Dlatego uważam Narajanę za przestępcę w stosunku do pani, gdyż nie zapytawszy pani o zgodę i nie zastanowiwszy się, czy próbę taką znieść można, targnął się on na pani życie. Nie wiem, jak długo potrwa to życie, ale przypuszczam, że będzie ono bardzo długie. Och, ten Narajana, który działał tylko dla zadowolenia swych żądz cielesnych!

Widząc, że Liliana zbladła śmiertelnie i patrzyła na niego ze zgrozą, Supramati dodał:

- Niech pani uspokoi się i śmiało spogląda w przyszłość. Aby ulżyć pani doli, uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy.

Przede wszystkim urządzę panią tak, aby nie potrzebowała pani sprzedawać swej osoby. Kapitał ulokuję z pewnymi zastrzeżeniami, a to w celu zabezpieczenia go od wszelkich przypadkowych spekulacji. Następnie udzielę pani tej samej rady, którą kiedyś jej dałem, a mianowicie: żyć dla szlachetnego celu, a nie dla błahego zadowolenia. Musimy pokonać w sobie rozkiełznanie namiętności i poługiwać się nimi rozsądnie, a nie zaś, jak usprawiedliwiany pretekst do popełniania wszelkiego rodzaju głupstw.

Nie chce mi się wprost wierzyć, aby ten poniżający tryb życia, jaki pani prowadzi - sprawiał jej zadowolenie.

Słyszałem, że to wszystko przejmuje panią wstrętem. I to jest zgoła naturalne! Zapalona w nas iskra Boża każe nam iść naprzód z ciemności do światła. Na tym polega przeznaczenie dusz i to jest właści-

wa droga, którą powinniśmy iść w górę, aby połączyć się z naszym Ojcem Niebieskim.

Poświęci się pani pracy i samodoskonaleniu i to życie, które dzisiaj panią przeraża, wyda się jej znacznie milszym i przecież zapełni się czymś ta pustka ginącego świata, w którym śmierć kosi wszystko dokoła, oszczędzając wyłącznie panią.

- Jest to prawda, a jednak, gdy pomyślę o zgrozie takiej przyszłości, mam wrażenie, że tracę zmysły, rzekła Liliana, zakrywając twarz rękami.

Potem podniosła na niego swe oczy i zawołała:

- Radzi mi pan, abym pracowała i doskonaliła się. Ale jak? W jaki sposób? Samotność i czynienie dobra nie dają mi zadowolenia i nie wnoszą do życia mego żadnych ciekawych emocji.

- Będę się starał dać pani bardzo zajmującą pracę - odrzekł z uśmiechem Supramati. - Obecnie zaś załatwię pani sprawy majątkowe. Do widzenia! Wkrótce otrzyma pani ode mnie wiadomość.

Wróciwszy do domu, Supramati opowiedział Narze o przebiegu swej rozmowy z Lilianą i zaczął zastanawiać się nad sposobami ulżenia doli tej nieszczęsnej ofiary Narajany, skazanej widocznie na długie życie.

Po rozważeniu sprawy Nara zaproponowała zainteresowanie Liliany naukami okultystycznymi. Być może, że tego rodzaju zajęcia spodobają się jej i dzięki temu zostanie ona ich pomocnicą w przyszłości. Dlatego Nara chciała sama pomówić z młodą kobietą i wtajemniczyć ją w swoje zamiary.

W myśl tej decyzji zaprosiła Lilianę do siebie.

Liliana przyjechała pod wewnętrznym impulsem zarówno zazdrości, jak zaciekawienia. Uczucia te jednak szybko w niej zniknęły, gdy uświadomiła sobie swoją nicość wobec tej wybitnej kobiety, jaką była żona Supramatiego.

Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego Supramati nie mógł pokochać jej, będąc mężem Nary. Jednocześnie uczuła, że jego subtelna doborć pokonała ją i zbudziła w niej pragnienie pracy i zbliżenia się do tych wybranych dwojga dusz przez moralne oczyszczenie się.

Propozycję Nary przyjęła z wdzięcznością tym bardziej, że zainteresowanie naukami okultystycznymi zbudziło w niej pewne fenomeny, zademonstrowane w czasie wizyty przez Narę.

Przy pomocy Dachira, posiadającego na kontynencie Europy różne znajomości, skomunikowali się z pewnym starym Niemcem, badaczem nauk ezoterycznych, i umieścili Lilianę w jego samotnym zamku, jako uczennicę.

Zarazem ktoś z wyższych adeptów, przebywający w Londynie, obiecał opiekować się neofitką i udzielać jej wskazówek.

Gdy poczyniono już wszystkie przygotowania, Liliana wyjechała, zaopatrzona w niezbędne środki materialne i pełna najlepszych chęci do nauki i doskonalenia się. Serce miała bardziej spokojne niż kiedykolwiek i pragnęła zasłużyć sobie na uznanie swych dobroczyńców.

Rozdział szósty

Pewnego razu, wieczorem, po wyjeździe Liliany, Supramati siedział sam w swoim gabinecie. Dachir gdzieś wyszedł, a Nara zajęta była w swoim pokoju doprowadzaniem do porządku własnych notatek i przeglądaniem dziennika, który prowadziła dokładnie w ciągu kilkuset lat, a który był szeregiem osobistych wspomnień najbardziej interesujących, jakie kiedykolwiek były napisane ludzką ręką.

Supramati, leżąc na kanapie, przeglądał nowe romanse. Chciał zapoznać się z nową włoską literaturą, ale wnet sprzykrzyło mu się to bezmyślne wertowanie. Rzucił książkę na stół - popadł w zamyślenie.

Przebywanie w tym samotnym gabinecie wprawiało go zawsze w jakiś szczególny nastrój ducha. Cisnęły się do niego tłumnie wspomnienia, związane z chwilą jego pierwszego pobytu w tym pałacu i z tymi uczuciami, jakich doznawał, gdy niespodziewanie znalazł się w baśniowej krainie z “Tysiąca i jednej nocy” on, biedny i skromny Ralf Morgan.

Od tego czasu upłynęło czterdzieści pięć lat, ale chwilami zdawało mu się, że upłynęło tyleż wieków - tak bardzo był zmieniony. Jakież otworzyły się przed nim widnokręgi, jakie przeniknął tajemnice i jaką

posiada potęgę! Wola jego nie była już chwiejna, jak trzcina; myśl - jak płomyk słabiutki, który gasi dmuchnięcie wiatru. Obecnie myślenie jego stało się giętkim, ognistym prądem, który wybiegł, jak strzała ze zdyscyplinowanego umysłu i osiągnął cel oznaczony z góry.

Supramati uśmiechnął się z zadowoleniem. Jak belfer, powtarzający z pewnością siebie raz wtłoczony do głowy wykład - koncentrował na chwilę swą wolę, oczami ognistymi wpatrzywszy się w świecę, stojącą na biurku.

Momentalnie w powietrzu zabłysła iskra i świeca zapłonęła. Po chwili jedna z książek leżących na kanapie, uniosła się w powietrze i jakby kierowała nią jakaś niewidzialna siła, spoczęła mu w rękach.

Podobne doświadczenie wykonywał z powodzeniem niezliczone mnóstwo razy, ale tylko w ciszy swojego laboratorium. Od czasu jednak, gdy na nowo wystąpił w szerszym świecie i zaczął stykać się z lekkomyślnym i ordynanym tłumem, wydawało mu się, że wiedza jego została tam, w szkockim zamczysku, w którym spędził, jak we śnie, pół wieku i gdzie praca tak bardzo pochłaniała mu czas.

Ale nie! Niczego nie zapomniał i niczego nie utracił.

Wolę miał giętką, posłuszną i potężną, a moce okultystyczne ulegały mu z pokorą. O, nie, nie został on na powrót tym, kim był poprzednio!

Mimo woli myśl Supramatiego wybiegała do Narajany, któremu zawdzięczał swój los taki dziwny i cudowny. W pokoju tym wszystko przypominało Narajanę. Te meble wybierał on sam, w tej szyfonierce znajdowały się jeszcze włożone przez niego przedmioty, a tam nad biurkiem wisiały jego portrety i Nary.

Westchnienie współczucia i litości wyrwało się z piersi Supramatiego. Pokusy i żądze popchnęły do czynów występnych i doprowadziły do tak smutnego końca? Czy znajduje się on w tych samych wstrętnych warunkach, w jakich był tutaj, w tym pałacu. Obecnie nie boi się go, obecnie nie jest już tchórzem na widok zjawy pozagrobowej. Pokonał już wszystkie okropności, które zagradzały wejście do świata niewidzialnego i rozporządza bronią przeciwko niższym, niebezpiecznym duchom, zaludniającym otchłanie zagadkowych pośmiertnych bytów.

Patrząc teraz na portret Narajany, Supramati zauważył maleńką szafirową kulkę, latającą po płótnie. Wkrótce kulka przemieniła się w mały obłoczek i zbliżyła się do niego, nie przestając wirować i świecić blaskiem fosforycznym. W tej chwili Supramati odniósł wrażenie, jakby musnęła go po twarzy pajęczyna i poczuł zapach krwi.

Prace okultystyczne zaostrzyły w Supramatim zdolność czucia. Dzięki temu usłyszał nieuchwytne dla kogoś innego lekkie chrzęszczenie, wywołane obecnością ducha, zapewne ducha Narajany.

Czy pragnie on coś powiedzieć? Czy chciałby o coś zapytać? Czy może potrzebuje pomocy?

Zdecydowany na wszystko, Supramati czuł się w obowiązku odpowiedzieć na skierowane do niego wezwanie i w myśli zapytał:

- Narajano, czy życzysz sobie, abym cię zmaterializował?

- Proszę cię... - szepnęło mu coś.

Supramati podniósł się i udał do sypialni, skąd przyniósł szkatułkę, zawierającę różne proszki i flakoniki. Szkatułkę postawił na biurku. Potem wyjął srebrny trójnóg, dużą srebrną tacę, siedmioramienny świecznik i kryształowe naczynie.

Wysunąwszy stół na środek pokoju, postawił na nim tacę, świecznik i trójnóg, na który rzucił węgle. Kryształowe naczynie napełnił świeżą wodą i obok postawił kubek, do którego nalał z flakonu czerwonej esencji, wydzielającej przyjemny i ożywczy zapach.

Po ukończeniu tych przygotowań zgasił elektryczne światło i wyjął z zanadrza magiczne berło. Oddawszy ukłony w stronę północy, południa, zachodu i wschodu, zaczął wymawiać w powietrzu nad stołem tajne znaki.

Zaledwie zniknęły fantastyczne linie hieroglifów, gdy w powietrzu zabłysnął z trzaskiem ogień zapalając siedem świec i węgle, które przedtem Supramati posypał proszkiem. Proszek ten zapłonął silnym białym ogniem, jak płomień magnezji, i oświetlił najbardziej oddalone kąty gabinetu. Potem ogień zaczął mienić się wszystkimi kolorami tęczy, aż wreszcie zgasł ze słabym wybuchem.

Niegdyś wywołanie tego rodzaju zjawiska kosztowało Supramatiego wiele pracy i wysiłków, ale Dachir wymagał, aby uczeń umiał wykonywać tę sztukę, która jest niezbędna dla każdego, kto chce coś zrobić w dziedzinie okultystycznej wiedzy. Magicznych przedmiotów nie wolno zapalać zwykłym ogniem, lecz wyłącznie przez wywołanie ognia przestrzeni. Dlatego przeciętni sztukmistrze, nie posia-

dający siły, która mogłaby wywołać ogień, starają się uchwycić ogień błyskawicy i skwapliwie przechowują go, aby korzystać z niego przy zajmowaniu się magią.

Supramati opuścił berło, ale nie przestawał skandować swoich śpiewnych formułek. Jednocześnie oddalił się nieco od stołu, przy którym ujrzał dużą, szarawą plamę, przezroczystą, jak pajęczyna. Plama ta przeistoczyła się w chmurę, którą potrząsał powiew chłodnego wiatru.

W miarę, jak biały ogień zmniejszył się i gasł, szara chmura gęstniała i wydłużała się, przybierając kształt ludzkiej postaci.

Istota ta, o niewyraźnych zarysach i dwóch fosforycznych punktach zamiast oczu chwiała się i kołysała, podchodząc do stołu. Od tej szarej masy oddzieliła się eteryczna ręka i chwyciła kubek, którego zawartość to dziwne zjawisko wypiło jednym tchem. Jednocześnie prawie ukształtowała się ludzka postać z głową, pokrytą czarnymi włosami.

Teraz widać było dobrze wysoką figurę człowieka, mającego na sobie luźny szary płaszcz. Gdy postać odwróciła się, Supramati poznał w nim Narajanę, który na powitanie wyciągnął obie ręce.

- Dziękuję ci, drogi Ralfie, że na moje wezwanie odpowiedziałeś od razu i powołałeś mnie do rzeczywistego życia - rzekł Narajana dźwięcznym głosem.

Supramati uścisnął mu rękę serdecznie.

- Właściwie ode mnie należy ci się wdzięczność - odrzekł zapalczywie. - Powiedz, w jaki sposób mógłbym ci podziękować za ten ceniony dar, który mi ofiarowałeś?

Jestem szczęśliwy, że wywołałem cię dzięki swej wiedzy i mam możliwość pomówienia z tobą. Pozwól jednak, że powinszuję ci przemiany, jaką widzę w tobie. Gdy widziałem cię ostatnim razem, było mi ogromnie przykro. Musiałeś zapewne dużo pracować, aby oczyścić się aż tak bardzo.

Narajana przysunął fotel i usiadł. Przez chwilę błądził zamyślonym wzrokiem po otaczających go rzeczach. Przy świetle siedmiu świec Supramati zauważył, że piękna twarz jego poprzednika miała na sobie ślady dużego przemęczenia; natomiast zniknął z niej zupełnie wyraz piekielnej złośliwości. W tej chwili Narajana miał wygląd naturalnego żywego człowieka.

Zwróciwszy się do Supramatiego, rzekł na pół ironicznie, na pół żałośnie:

- Gdy widziałeś mnie ostatnim razem, byłem wskutek cierpienia wstrętnym i złym stworzeniem. Tak... Żadne słowa nie są zdolne wyrazić tego piekła, jakie musiałem znosić! Bez wątpienia, grzeszyłem wiele, lecz dla człowieka z moim charakterem było pokusą życie w ciągu kilkuset lat, gdy przy tym, można było uzbroić się w olbrzymią potęgę, wynoszącą mnie ponad całą ludzkość. Jesteś szczęśliwy, że w żyłach twoich, jako Ralfa Morgana, płynie krew spokojna, a w sercu płonie gorące umiłowanie nauki. Po drabinie wiedzy zajdziesz wysoko i przyszłe wieki uwieńczą twe czoło gwiazdą maga. Natomiast ja byłem niewolnikiem ciała, igraszką własnych nieokiełznanych żądz, a w przestrzeni stałem się niewolnikiem pierwotnej materii, wlewającej do fluidycznych żył mego astralnego ciała potoki życia. Jak nisko upadłem, widziałeś sam. Świadomość tego upadku sprawiała mi tyleż cierpienia, co ból fizyczny, szarpiący moje astralne jestestwo. Ale nie na próżno miałem w swym posiadaniu ułamki wiedzy, trochę wytresowanej woli i przyjaciół, a wśród nich pewnego starca, którego widziałeś w grocie przodków. Wspomagany przez nich, wziąłem się do pracy, aby oczyścić się z grzechów i chociaż w pewnym stopniu wynagrodzić zło, które kiedyś wyrządziłem. Sam widzisz, jakie są rezultaty moich usiłowań. Jestem w dalszym ciągu duchem cierpiącym, ale nie potrzebuję już jadła i obojętne mi są materialne rozkosze. Nie nakłoni mnie do cofnięcia się z tej drogi krzyż Nary. Ale, co do byłej żony mojej. Czy jesteś z nią szczęśliwy?

- Dla mnie jest ona aniołem!

- To dobrze. W stosunku do mnie była zawsze niewdzięczna i bez serca. Naturalnie tej godziny rozmowy nie uzyskałem od niej! Doprawdy, jestem ci niezmiernie wdzięczny za zmaterializowanie mnie w tym gabinecie, gdzie nasuwa się tyle wspomnień. Mam wrażenie, jak gdybym był nadal właścicielem tego pałacu.

- W oczach moich jesteś nim zawsze! Chciałbym okazać ci swą wdzięczność za pomocą czegoś wspanialszego, niż ta bagatelka.

- Jeżeli istotnie chciałbyś zrobić mi przyjemność, to nie odmawiaj mi jednego, Ralfie, a właściwie Supramati, jak cię obecnie nazywają i zostaw mnie samego tutaj na kwadrans, abym mógł oddać się marzeniom i wspomnieniom, łudząc się, że wciąż należę do tego świata.

Supramati podniósł się z fotela.

- Zostawiam cię samego. Pobądź tutaj, Narajano i uważaj się za gospodarza tych pokoi, które są pełne ciebie.

Uczynił przyjazny znak ręką i odszedł do sypialni, zamykając za sobą drzwi na klucz. Nie dostrzegł jednak, jak w tej samej chwili w oczach widma zabłysnął dziwny i ironiczny wyraz.

Po upływie kilku chwil od wyjścia Supramatiego z gabinetu otworzyły się raptownie drzwi z przeciwległej strony i do sypialni weszła szybko Nara. Była wzburzona i przerażona.

- Coś ty uczynił! - krzyknęła podbiegając do męża i chwytając go za rękę. - Zmaterializowałeś Narajanę i zostawiłeś go samego w gabinecie? Jakże można popełniać takie głupstwa! Jest to rzecz nie do darowania! Przecież nie jesteś profanem, który bawi się, nie wiedząc, co robi...

Supramati patrzył na nią ze zdumieniem. Tymczasem Nara, nie czekając na odpowiedź rzuciła się do drzwi gabinetu, lecz drzwi otworzyły się nagle i w progu stanął Narajana. Czarne jego oczy płonęły, na ustach błądził mu dumny i triumfujący uśmiech, blade policzki okrasił lekki rumieniec. Czarowna jego piękność ukazała się w pełnym blasku.

Supramati patrzył na niego z zachwytem, nie mogąc zrozumieć powodu oburzenia Nary; nie pojmował, dlaczego taka niewinna zwykła materializacja może mieć złe następstwa i jakimi grozi skutkami pozostawienie samego ducha na kilkanaście minut w pokoju, w którym kiedyś przebywał tak długo.

Rzuciwszy jednak spojrzenie do wnętrza gabinetu, zadrżał nagle. Oto w przeciwległej ścianie był otwór, którego przedtem Supramati nie zauważył, a na stole stała odemknięta szkatułka, wyjęta widocznie ze skrytki. Obok szkatułki stał flakonik ze złotym korkiem, zawierający pierwotną substancję. Nie ulegało więc wątpliwości, że z substancji tej skorzystał duch zuchwały...

Supramati zbladł. Zanim jednak zdołał wymówić słowo, Narajana zmierzył Narę ironicznym spojrzeniem i rzekł:

- Zjawiłaś się zbyt późno, moja prześliczna eksmałżonko, aby mi przeszkodzić! Mimo swej tak niezwykłej przebiegłości, zapomniałaś ostrzec zawczasu Supramatiego, w którym na szczęście setki lat nie zdołały wyjałowić serca, jak w tobie.

- Sam sobie wyświadczyłeś kiepską przysługę, ale lekkomyślność twoja jest już nie do naprawienia - odrzekła Nara z groźną chmurą na czole.

- Nie obawiaj się - odparł Narajana tonem szyderczym - konsekwencje swego śmiałego postępku poniosę sam, a małżeńska burza nie jest już dla mnie straszna. Przy tym czary twoje utraciły już wszelką władzę nade mną. Otóż uspokój się, okrutna i czarodziejska Naro: nie zażądam żadnego spadku, nawet gdybyś ty nim była. Wiesz lepiej, niż ktokolwiek inny, jak trudno mi będzie stykać się z ludźmi. Dlatego odchodzę i przeniosę się do pałacu yogi w Himalajach, nie chcąc niepokoić nikogo.

Nara wzruszyła ramionami i odwróciła się, po czym wyszła z pokoju, rzuciwszy pod adresem męża:
- Głupiec! Potrójny głupiec!

Narajana zaśmiał się głośo i zawołał do Supramatiego:

- Nie smuć się, mój biedny przyjacielu i następco, że tak zaszczytny tytuł otrzymałeś dzięki mnie. Przecież tylko ja jeden słyszałem go. Przy tym jeśli chodzi o mnie, to dawnymi czasy byłem honorowany bardziej energicznie. Ale pięknej kobiecie wolno wszystko!

- Ach, jesteś zawsze niepoprawny! - rzekł Supramati, śmiejąc się mimo woli.

Po czym zapytał całkiem poważnie:

- Powiedz mi teraz, coś ty zrobił?

- To, do czego miałem prawo: skorzystałem z pramaterii, którą otrzymałeś ode mnie w spadku. Przecież nie zbiedniejesz z powodu tych kilku kropli, użytych przeze mnie.

- Dość tego, Narajano. Wszystko, co należało do ciebie, pozostanie twoją własnością. NIe skorzystam z niczego. Zostanie tylko we mnie najcenniejszy twój dar - wtajemniczenie.

- Supramati, jesteś dobrym i uczciwym człowiekiem - odrzekł przyjaznym tonem Narajana, - ale wiedz, że nie potrzebuję dóbr ziemskich, które w spadku przekazałem tobie.

- W każdym razie, do dyspozycji twojej jest wszystko. Ale nie myśl, proszę, że żałuję twego wskrzeszenia.

- Wiem. Ale zechciej zrozumieć, że nie zostałem bynajmniej zwykłym człowiekiem, lecz płazem, który wślizgnął się przez dwoje drzwi do świata niewidzialnego. W świecie tym nie mogę używać zwykłych

potraw, lecz powinienem karmić się czymś specjalnym, co prawie nic nie kosztuje. Osiągnąłem możliwość uchronienia się od rozkładu dzięki pierwotnej esencji, która obdarzyła mnie wolą, względnie siłą żywotną, co nie przeszkadza mi być jednocześnie duchem. Mogę więc na życzenie ukazywać się i być niewidzialnym. Zaraz dowiodę ci tego.

Ujął Supramatiego za rękę i zniknął. Supramati rozglądał się dokoła, nie widząc nic w przezroczystym powietrzu, a jednocześnie czuł mocny uścisk palców Narajany.

Wreszcie Narajana uczynił się z powrotem widzialny. Ubawiło go zdziwienie i osłupienie młodego maga.

- Wiele tajemnic jest ci jeszcze nieznanych, gdyż posiadłeś wiadomości zaledwie z pierwszej dziedziny wiedzy, choć trzeba to przyznać, że uczyłeś się bardzo systematycznie. Wszakże zupełnie nieznane ci są zjawiska, które można wywołać za pomocą pramaterii. Różnorodność tych zjawisk jest zgoła nieskończona, gdyż ten czynnik materii spaja atomy z taką samą łatwością, z jaką je rozprasza.

Jedną czwartą częścią zawartości tego flakonu można wskrzesić cały cmentarz. Ale będzie to coś innego niż to, co ja zrobiłem. A ja ściągnąłem z przestworza pewną ilość atomów, które gwarantują mi spoistość, niezbędną dla półludzkiego życia, pozbawionego zresztą wszelkich cielesnych niedogodności. Obecne swe życie zamierzam spędzić w prześlicznym pałacu w Himalajach. Nie widziałeś go jeszcze, ale mam nadzieję, że odwiedzisz mnie tam wkrótce. Co zaś dotyczy ciebie, to pomimo że jesteś nieśmiertelny, odczuwasz skłonności ciała materialnego i potrzebujesz tysiące rzeczy dla swego komfortu, zmiany miejsca pobytu itp. Nie mogąc umrzeć z głodu, musisz jednak odczuwać inne niedomagania, od których ja jestem wolny.

Supramati jak podcięty opadł na fotel i potarł ręką czoło.

- Doprawdy gubię się w tym labiryncie cudów i niepojętych zagadek, ukrytych w pierwotnej materii. Coraz bardziej utrwala się we mnie świadomość, że jestem jedynie zwykłym prostakiem, który poznał zaledwie litery. Ale ty, Narajano, jesteś sztukmistrzem w tej zgoła niezrozumiałej dla mnie nauce i posiadasz doskonałą znajomość własności pramaterii. Zechcij więc wytłumaczyć mi pewne rzeczy i odpowiedzieć na kilka pytań.

- Z przyjemnością, podzielę się z tobą tą szczyptą wiedzy, jaką sam posiadam.

- Wobec tego powiedz mi przede wszystkim, czy żartowałeś, czy też mówiłeś prawdę, że za pomocą pierwotnej materii można wskrzesić cały cmentarz?

- Mówiłem na serio. Jest to rzecz zupełnie możliwa.

- Tego nie rozumiem. Dzięki naszemu sposobowi grzebania ciał, w grobach pozostają jedynie kości; ze spalonych zaś zwłok zostaje tylko popiół. Jakim więc cudem mogą ożyć i nabrać czucia te resztki?

Narajana zgasił płonący jeszcze siedmioramienny świecznik. Potem przeszedł do sąsiedniego pokoju i siadł na kanapie, wskazując Supramatiemu miejsce obok siebie.

- Widzę, że zamierzasz jeszcze długo zadawać mi pytania, dlatego będzie nam tu wygodniej. A teraz odpowiem na pierwsze twoje pytanie. Kościotrup, dopóki istnieje, stanowi objekt przesycony fluidem życia. Jest to, jeśli wolisz, podstawa, wokół której może być ześrodkowany system molekularny, tworzący niegdyś jedną całość. Następuje to zawsze z ogromną szybkością, jeżeli do zwłok wprowadzi się cząsteczkę pierwotnej esencji, niezbędnej do skupienia.

- I wskrzeszone w ten sposób istoty stają się nieśmiertelnymi? - zapytał blady ze wzruszenia Supramati.

- Ależ nie! Osiągają one życie zaledwie na czas pewien, który nie jest nigdy zbyt długi, albowiem proces wskrzeszenia ma swoje złe strony, wskutek czego traci się wiele materii. Na przykład, aby do ciała wróciła jego dusza, nieuniknione jest czasem wyrwanie jej z ciała, które ona ożywia w danej chwili. Oczywiście powoduje to śmierć owego obcego podmiotu, gdyż siła działająca nie znosi przeszkód i nieodzownie przejawia się tym, gdzie może być spotęgowana. W wypadku, który nas zainteresował, siła wyższa znajduje się zawsze w ciele rozłożonym, gdyż doza materii jest zależna od operatora. Dusza, sprowadzona w ten sposób do dawnego swego mieszkania, traci wspomienie z przeszłości, przy tym obojętna jest tu okoliczność, czy wywoła się ją z przestworza, czy wyrwie z innego ciała. Zresztą przy pomocy tej materii, jako prawdziwej esencji życia można nawet stworzyć sztucznie człowieka, ale życie jego będzie krótkotrwałe, gdyż ożywiająca materia zużywać się będzie bardzo szybko. Taki człowiek obróciłby się w popiół, jak spalony węgiel. Ale powtarzam, że jest to rzecz całkiem możliwa.

Czemuż więc Dachir nie mówił mi nigdy o tak ważnej sprawie? - mruknął Supramati.

- O, bo Dachir jest ostrożny i zanadto metodyczny ma system nauczania. Nauczył cię magicznych formułek, ujarzmiających niższe istoty, rozwinął w tobie zmysł okultystyczny i wyćwiczył twą wolę, ale nie zapoznał cię z własnościami pierwotnej materii, odłożywszy to prawdopodobnie na czas późniejszy. Ja zaś byłem zawsze uczniem krnąbrnym i nie znosiłem zbyt powolnego kształcenia się.

Dążyłem do zorientowania się we wszystkich dziedzinach wiedzy. Obecnie podzielę się z tobą chętnie wynikami moich dociekań w tym zakresie. Jeżeli życzysz sobie, pokażę ci kilka eksperymentów dla zilustrowania tego, co mówiłem o własnościach i mocy pierwotnej esencji.

- Czemuż miałbym nie życzyć sobie! Będę ci wdzięczny z całego serca za udzielenie mi kilku wyjaśnień co do własności niezwykłej materii, którą rządzę się jak laik, nie umiejący korzystać z niej i mogący wyrządzić wiele złego tam właśnie, gdzie chciałbym zdziałać wiele dobrego.

- Musimy bezzwłocznie wziąć się do eksperymentu wskrzeszenia. W tej chwili jest północ. Czas sprzyjający. Ponieważ nie grozi mi, dzięki Bogu, rozpadnięcie się, więc jestem całkowicie do twoich usług. Udamy się na wyspę zmarłych. Wybierzemy tam kilku nieboszczyków, których obdarzymy radością życia. A ponieważ nie będą wiedzieli, że mają w nas swych dobroczyńców, przeto nie potrzebujemy obawiać się zdrady, zresztą nigdy nie dopuszczą sobie do głowy myśli, że byli zmarłymi - zaśmiał się Narajana.

Supramati był zamyślony i niezdecydowany.

Możność wzięcia udziału w tak niezwykłym eksperymencie podniecała jego ciekawość do najwyższego stopnia, a swego rodzaju żal do Dachira i Nary, którzy wymierzali mu, jak dziecku, zbyt szczupłe porcyjki wiedzy, pobudzał go do przyjęcia propozycji Narajany. Z drugiej strony znów był na tyle szlachetny i uczciwy, że obawiał się, aby nie wyrządzić nikomu krzywdy przez zbrodnicze wykorzystanie nieznanych mu praw.

Narajana, który obserwował go uważnie, zaśmiał się ironicznie:

- Wahasz się? Może boisz się - cha, cha, cha! - Nary lub Dachira? Wobec tego, nie zrobimy tego, o czym mówiłem. Broń Boże, abyś za mnie miał być zgromiony przez swoich surowych nauczycieli.

Twarz Supramatiego oblał żywy rumieniec.

- Głupstwa pleciesz! Nikt mną nie rządzi. Chcę być obecny przy dokonaniu tego ciekawego fenomenu, który mi obiecałeś pokazać i idę za tobą. Pozwól tylko, że posprzątam rzeczy i wezmę płaszcz.

- Jak chcesz. Ale nie zapominaj wziąć ze sobą flakonu z pierwotną materią i daj mi również jakiekolwiek okrycie. Nie wypada, abym wyszedł na ulicę w tym stroju pozagrobowym - odrzekł Narajana, zrzucając z siebie na podłogę płaszcz, który jednocześnie jakby rozpłynął się w powietrzu.

Pozostał tylko w fioletowym jedwabnym ubiorze z szerokim koronkowym kołnierzem i w długich butach z ostrogami.

Supramati popatrzył na niego z uśmiechem, po czym, sprzątając szybko porozstawiane rzeczy, zapytał: - Powiedz mi, dlaczego Nara chciała za wszelką cenę nie dopuścić do tego, abyś ukazał się w kształcie realnym. Przecież jest to dla niej obojętne.

Na ustach Narajany przewinął się uśmiech zagadkowy.

- Zapytaj ją. Być może, że wyjawi ci przyczynę swego nieżyczliwego stosunku do mnie. Ja zaś nie chcę drażnić jej bardziej, aby nie zbudzić ewentualnych podejrzeń co do mnie.

Po upływie dziesięciu minut obydwaj znaleźli się na tajemniczych schodach, prowadzących w dół na boczną lagunę. U podnóża schodów czekała łódka.

- Zmieniłem swój plan - oznajmił Narajana, wsiadając do łódki i okrywając się szczelnie płaszczem, który przyniósł mu Supramati. - Do wyspy umarłych jest daleko, przy tym ogromnie tam trudno o kościotrupa. Wymyśliłem coś lepszego. W pobliżu - wymienił nazwę jednego z niewielkich bocznych kanałów - jest stary, na pół zrujnowany palazzo. Właściciel jego, mający starożytne nazwisko, stracił wszystko i marznie w jednym pokoju na parterze, gdzie wkrótce zdechnie, ale sprzedać swoich rumowisk nie chce. W tym właśnie pałacu znajdowała się niegdyś kaplica, pod którą mieściło się podziemie, dziś już zapomniane. Tam znajdziemy to, czego nam potrzeba.

- Doskonale! - odrzekł Supramati, chwytając za wiosła i kierując się do wskazanego miejsca.

Była to starożytna dzielnica Wenecji. Domy otaczające nieduży kanał, nacechowane były przeważnie wyrazem pustki i opuszczenia. Wreszcie Narajana wskazał duży i najbardziej zrujnowany budynek

i rzekł:

- Otóż ten pałac! Zatrzymaj się przy maleńkich drzwiczkach na lewo.

Supramati przymocował łódkę do brązowego kółka, wmurowanego w ścianie i ruszył za Narajaną w górę, po stopniach. Pod naciskiem ręki Narajany drzwi otworzyły się, skrzypiąc, i zaraz zatrzasnęły się, gdy obydwaj weszli.

- Ciemno jak u diabła w gardzieli - rzekł Supramati i wyjął z kieszeni szklaną kulkę na brązowej obsadce. Kulka ta zapłonęła silnym światłem.

- A! - zakrzyczał Narajana. - Więc poznaliście sekret wiecznych lamp, których tajemnica tak bardzo interesowała uczonych od czasu, jak znaleziono ją w rzymskich grobach?

- Tak, tajemnica ta została odkryta przed trzydziestu laty. Obecnie są one w powszechnym użyciu. Ale idź naprzód i wskazuj drogę, znając rozkład tego domu.

- O, znam go doskonale! Widziałem ten pałac za jego lepszych czasów, a mianowicie około 1560 roku. Wówczas był to wspaniały dom.

Minęli szybko amfliladę pustych sal. Silny blask lampy oświetlał nagie ściany, pokryte mchem freski i potrzaskane plafony, grożące oberwaniem. Dziwnie przygnębiający kontrast tworzyła ta nędza i zniszczenie ze wspaniałymi kominkami z białego i żółtego marmuru, z marmurowymi i mozaikowymi podłogami, pokrytymi kurzem i najrozmaitszymi śmieciami.

Kroki Supramatiego na kamiennych taflach rozlegały się hałaśliwie, Narajana zaś sunął obok niego bezszelestnie.

Nagle dziwne i przygnębiające uczucie ścisnęło Supramatiemu serce. W tej głębokiej nocnej ciszy, w tym nastrajającym smutnie otoczeniu zbudziło się w nim coś, co przywiodło mu na pamięć dawnego Ralfa Morgana. Na jakąż to dziwną przygodę odważył się on w towarzystwie niemniej dziwnego toważysza, który zjawił się z pozagrobowego świata!

- Ach, porzuć nareszcie te swoje niedorzeczne myśli! - wtrącił się niespodzianie Narajana. - Myśl lepiej o tym, co mamy robić. Zbliżamy się do celu. Jeżeli się nie mylę, to w końcu tej galerii wyjdziemy na małe podwórze, gdzie dawniej była fontanna, a po drugiej stronie znajdowała się kaplica.

Istotnie po upływie kilku minut znaleźli się u drzwi, prowadzących na podwórze, wyłożone kamiennymi płytami i obwiedzione galerią z arkadami. W tej chwili zza chmur pokrywających niebo wyjrzał księżyc.

W słabym jego świetle zarysował się w przeciwległym końcu podwórza nieduży budynek z kopułą, na której widniał krzyż.

- Do kaplicy jest również wejście z drugiej strony z zaułka, ale bezwątpienia tamte drzwi są zamknięte od wewnątrz, gdyż nie odprawia się tu nabożeństwa od dawien dawna.

- Zdumiewasz mnie po prostu doskonałym zapamiętaniem tutejszej topografii i wszystkiego, co dotyczy tego rumowiska - zauważył Supramati.

Narajana roześmiał się.

- Miałem tu przyjaciół i swego czasu byłem w domu tym częstym gościem. Ale chodźmy! Musimy wejść do zachrystii, przez którą wchodzili właściciele pałacu, którzy zbudowali tę kaplicę.

Przeszli podwórze i zatrzymali się przed małymi zjedzonymi przez robactwo drzwiami. Supramati uderzeniem ramienia wysadził te drzwi. Zachrystia była zupełnie pusta tak samo, jak kaplica, mająca niewymownie smutny wygląd.

W dwóch wąskich, strzelistych oknach szyby były powybijane i ołtarz był obnażony.

Ściany upiększało kilka dużych, kamiennych nagrobków. Narajana poszedł w głąb kaplicy, gdzie po lewej stronie ołtarza znajdowała się kamienna płyta z wbitym pośrodku brązowym kołkiem. Pochylił się i bez widocznego wysiłku uniósł płytę. W świetle lampy ukazały się wąskie stopnie kamiennych schodów.

- Jest to wejście do podziemia - rzekł Narajana, schodząc na dół.

Supramati poszedł za nim. Wkrótce obydwaj znaleźli się pod niewielkim sklepieniem, poprzedzającym właściwe podziemie. Brązowe drzwi były zamknięte na zasuwę, na której wisiała duża kłódka. Supramati podniósł leżący w kącie duży kawał żelaznej sztaby i kilkoma uderzeniami rozbił kłódkę. Potem odsunął zasuwę - i drzwi otworzyły się, skrzypiąc. Z wnętrza buchnęło zatęchłe powietrze, przesycone duszącą wonią wilgoci. Supramati nie zwrócił na to uwagi i wszedł do podziemia. Światło lampy, którą

trzymał w ręku rzucało blask na szereg większych i mniejszych trumien, ustawionych na kamiennych podstawkach wzdłuż ścian.

Niektóre trumny były zgniłe i spróchniałe z nich deski opadły na ziemię razem z kośćmi; inne były całe. Narajana podszedł od razu do dużej, ciężkiej trumny z poczerniałego dębu, z metalowymi rogami.

- Tutaj, - rzekł - leży ta, którą chcę wskrzesić. Biedna Lorenza była bardzo ładną kobietą. Mąż jej - stare dziwadło - zadusił ją w napadzie zazdrości za to, że wolała młodszego, pięknego kochanka. Historia ta nie wypłynęła na świat Boży jedynie dlatego, że stary niegodziwiec, Marco, był spokrewniony z dożą.

Nie przestając mówić Narajana zaczął zdejmować ciężkie trumienne wieko, które nie bez pewnego wysiłku dało się unieść i z hałasem spadło na ziemię. Z trumny wzbił się tuman kurzu.

Następnie Narajana ściągnął z wierzchu spróchniały ze starości całun i Supramati ujrzał w trumnie leżące zwłoki.

Nie był to szkielet, gdyż kości pokryte były zczerniałą i wyschłą skórą, uwydatniającą wszystkie nierówności. Zamiast oczu zionęły śmiertelnym mrokiem dwa czarne doły; pozbawione warg usta wyszczerzały zęby i głowa w otoczeniu wspaniałej masy włosów miała wygląd czaszki.

Narajana skrzywił się.

- Jak niewiele zostało z tej pięknej Lorenzy! Zaraz będziesz mógł się przekonać, że Marco popełnił poniekąd zbrodnię usprawiedliwioną. Ale suknia przechowała się znakomicie. Spojrzyj tylko na ten purpurowy złotogłów. Gruby i mocny, jak skóra mimo, że przetrwał z górą trzy wieki. Dla waszych fabryk byłby to doskonały wzór.

Supramati dotknął palcami materii, która była jeszcze faktycznie w bardzo dobrym stanie. Jedynie tylko złote koronki, upiększające stanik z szerokimi rękawami, zczerniały zupełnie.

- Ale czas już zabrać się do dzieła. Poczekaj, pójdę tylko po wodę z fontanny.

To rzekłszy, Narajana oddalił się, a Supramati, zaniepokojony i pełen najrozmaitszych uczuć, oparł się o ścianę.

Dręczyło go sumienie, że zdecydował się na takie zbrodnicze po prostu doświadczenie, które w rezultacie może być ciężką próbą dla kogoś, kto będzie wskrzeszony; ale znowu te wyrzuty sumienia milkły wobec podnieconego uczucia i rozbudzonej ciekawości “uczonego”, który jednak chciał dociec prawdy. Zadawał sobie pytania z gorączkowym pośpiechem: czy to nie fantazja, zmyślona przez Narajanę? A ten beznadziejnie zasuszony trup czyżby mógł wyjść ze swojej trumny?

Myśli te przerwało nadejście Narajany. Ku wielkiemu zdziwieniu Supramatiego Narajana przyniósł miseczkę wody i jakąś zapaloną latarkę, nieużywaną przynajmniej od stu pięćdziesięciu lat.

- Patrz! - rzekł on chełpliwie, stawiając miseczkę i latarkę na sąsiedniej trumnie.

- Na cóż ta latarka? - zapytał Supramati. - W porównaniu z moją lampą jest to tylko ogarek.

Właśnie zbyt silne światło twojej kulki będzie szkodliwe dla wywołania fenomenu. Bądź łaskaw zawinąć swoją lampę i schować do kieszeni - odrzekł Narajana.

- W jakiż jednak sposób zapaliłeś tę latarkę? - zapytał Supramati, ukrywając w kieszeni świecącą kulkę.

- A tak - odrzekł Narajana, podnosząc rękę do góry.

W tej chwili zapłonął mu na ręce migotliwy płomyk i zaraz zgasł, gdy ręka opadła.

Supramati wyjął flakonik i wpuścił do wody trzy krople. Z miseczki błyskawicznie trysnął duży, czerwony płomień i woda przemieniła się w roztopioną masę.

- Wlej to do trumny! - rozkazał Narajana.

Supramati spełnił rozkaz. Dał się słyszeć syk jakby od zetknięcia wody z niegaszonym wapnem.

- Teraz stańmy w ciemnym kącie. Będziemy stąd widzieli wszystko, nie będąc sami widziani.

Supramati w milczeniu ze ściśniętym sercem przypadł do ściany i patrzył na trumnę, w której coś syczało i burzyło się, a z wierzchu unosiła się gęsta, biała para, poprzeszywana ognistymi zygzakami.

Zewsząd, z sufitu, ze ścian, z podłogi wystrzelało mnóstwo połyskujących fosforycznych iskier, które sypały się z suchym chrzęstem na wrzącą masę w trumnie, jak kaskada specjalnych gwiazd.

W Supramatim serce kołatało z ogromną siłą, a wzruszenie zatykało mu oddech. Spojrzał na Narajanę prawie ze strachem, ale twarzy jego nie było widać, gdyż w tej chwili zakrył się on płaszczem na głowę. Płaszcz miał pokryty fosforycznym pyłem, wskutek czego postać jego zarysowywała się wyraźnie

na ciemnym tle ściany; jedną ręką ujął fałdy płaszcza i ręka ta o długich i cienkich palcach wyglądała, jak ręka żywego człowieka. Supramati doznał wewnętrznego wstrząsu. Odwrócił oczy i spojrzał znowu na trumnę.

W trumnie zaszła zmiana. Biała para przeistoczyła się w czerwoną jak krew chmurę i chmura ta szybko ginęła w głębi trumny. W tej chwili od sufitu oderwał się, jak błędny ognik, język płomienia, przeleciał przez podziemie, jak strzała i utonął w trumnie, pociągając za sobą resztki czerwonej chmury. Potem wszystko zgasło, a w starym podziemiu, oświetlonym słabym płomykiem latarki, zapadła martwa cisza.

Nagle w tej głębokiej ciszy poruszyło się coś, jakby zaszeleściła jedwabna materia. Wkrótce dało się słyszeć ludzkie westchnienie tak żałosne i bolesne, że po ciele Supramatiego przebiegły zimne dreszcze. Lecz oto na brzegu trumny ukazała się biała ręka, potem głowa, wreszcie postać kobiety, która podniosła się z trumny, oddychając ciężko. Twarz jej, będąca przed kwadransem trupią czaszką, miała wyraz obłąkanej zgrozy, oczy zaś błądziły z przestrachem, rozglądając się w tym okropnym otoczeniu.

- Ach, Boże Wielki! Matko Boska! Więc nie był to straszny sen, że Marco mnie zamordował i wzięto mnie za umarłą? - jęknął głos drżący.

W oka mgnieniu kobieta wstała i ostrożnie wyszła z trumny. Nagle drgnęła i podniósłszy nogę, spojrzała na nią uważnie.

- Ach proszę, jakież to liche pantofle mi dali! - rzekła czystym toskańskim dialektem.

Zabrakło jej sił, siadła na stopniu i ścisnęła głowę rękami, chcąc widocznie zebrać myśli. Supramati obserwował ją z ogromnym zainteresowaniem, zauważył teraz, że była to zupełnie młoda, ładna kobieta ze wspaniałymi czarnymi włosami. Przejęta zgrozą na widok miejsca, w którym się znalazła, podniosła się i chwyciła latarkę.

- Któż tutaj mógł przynieść tę latarkę? Naturalnie “On”, wiedząc, że żyję. Lecz gdzież ”On” jest? - szeptała do siebie i błogi uśmiech zajaśniał jej na ustach.

Po czym, nie namyślając się długo, wyszła z podziemia.

Supramati zawołał z zachwytem i współczuciem jednocześnie:

- O, Boże, jakaż ona piękna! Co się z nią stanie?

Wiesz, Narajano, że jest w tym wszystkim jakaś sprawa diabelska. Czy ten ktoś, na kogo ona oczekuje, to nie ty czasem? - zapytał wzruszony

- Co ci po tej wiadomości, druhu Ralfie! Chodzi o to, że muszę cię obarczyć obowiązkiem zaopiekowania się Lorenzą. Przypuszczam, że Nara nie będzie zazdrosna o ciebie, wszak jesteś tak szlachetnym i wiernym mężem! - odrzekł Narajana, śmiejąc się sztucznie. - Zresztą, nawet gdybym chciał zrobić na złość swojej ekspołowicy, nie mógłbym zająć się sam tą wskrzeszoną piękną panią. Nie posiadam ani praw ludzkich, ani praw ducha. Ale ujrzawszy mnie, Lorenza nie zrozumie tego i miłość jej sprawiłaby mi tylko kłopot. A teraz do zobaczenia! Idź na górę! Biedna kobieta stoi na dworze i w żaden sposób nie może pojąć tej zmiany, jaka zaszła w jej pałacu. Powinieneś zaofiarować jej swoje rycerskie usługi. Do łódki możesz wrócić inną drogą prostszą i krótszą, niż ta, którą szliśmy. W salonie posiadającym kominek z głową Apolla, na lewo są drzwi. Te drzwi prowadzą do galerii, a stamtąd już łatwo przejdzcie do westibulu. Płaszcz swój zostawiam ci, gdyż przyda się do okrycia niemodnego już ubrania Lorenzy.

Po chwili Narajana zniknął, a Supramati został sam w podziemiu.

Wydostawszy się po schodach na górę, ujrzał na podwórzu Lorenzę. Była widocznie zalękniona i niezdecydowana, nie mająca odwagi postąpić kroku naprzód.

- Signora! - rzekł Supramati, zbliżywszy się do niej. - Pozwoli pani, że odprowadzę ją, gdzie może pani odpocząć.

Mówił po włosku.

Lorenza podniosła na niego duże czarne oczy i z widocznym niedowierzaniem spojrzała na jego wysoką postać w ciemnym płaszczu i dużym miękkim kapeluszu.

Nagle cofnęła się w tył i zapytała z lękiem:

- Bravi?!

Supramati uśmiechnął się.

- Proszę się uspokoić, signora! Jestem człowiekiem uczciwym. Pragnę odwieźć panią do mojej żony. O reszcie zdecydujemy później - dodał, zarzucając jej na ramiona płaszcz i biorąc latarkę.

- Rozumiem! Jesteś pan wysłany przez Narajanę. On znajdzie mnie i weźmie pod swoją opiekę - odrzekła Lorenza, nasuwając na głowę kaptur. Ale ja nie pójdę przez ten dom. Marco pozna się na tym. Możemy wyjść przez kaplicę.

- Niech się pani nie obawia niczego. Nikt nas nie zobaczy i nie zatrzyma. Może mi pani śmiało zaufać.

Udała się z nim pełna lęku. Gdy jednak przechodzili przez puste i zrujnowane pokoje, ogarnęło ją lekkie przerażenie, że chwyciła Supramatiego za rękę i krzyknęła zdyszanym głosem:

- Co to znaczy? Cały dom zrabowany. Co się tu mogło stać w ciągu kilku dni?

- Wkrótce dowie się pani o wszystkim - odrzekł Supramati, pociągając ją za sobą ku wyjściu. Tutaj nie miejsce na dłuższą rozmowę.

W czasie przejazdu nie zamienili ze sobę ani słowa. Lecz gdy znaleźli się u celu podróży, Lorenza krzyknęła głucho:

- Chce mnie pan zdradzić? Wszak to pałac Narajany! Nie chce on mnie tu ukryć. Zawieź mnie pan do niego! Chcę go widzieć! - dokończyła z łkaniem.

Smutny, ironiczny uśmiech przesunął się po twarzy Supramatiego.

Razem z życiem obudziła się w duszy tej nieszczęśliwej kobiety miłość do człowieka, który był przyczyną jej tragicznej śmierci i który obecnie wyrwał ją z trumny tylko dlatego, aby dokonać “ciekawej próby” i dowieść, że ma on możność wskrzeszania zmarłych.

Wreszcie Lorenza przekonana, że nie grozi jej nic złego, wyszła z łodzi. Supramati poprowadził ją do salonu Nary, prosząc, aby zaczekała na niego. Sam zaś poszedł do sypialni żony, by zawiadomić ją o zaszłym wypadku.

Nara nie spała. Chodziła po pokoju widocznie podrażniona i niespokojna. Gdy wszedł rzuciła na niego ponure spojrzenie.

- Masz mi co nowego do powiedzenia? - zapytała z pewnym szyderstwem w głosie. - Zrobiłeś nowe głupstwo? I cóż? Jesteś wspólnikiem nowego bezeceństwa Narajany?

- Daruj mi, Naro - rzekł Supramati, całując jej rękę.

Przyznaję, że byłem porwany tym zbrodniczym doświadczeniem, ale było ono tak bardzo niezwykłe, że...

- Trzeba było zabić żywą istotę i okryć żałobą całą rodzinę, aby wskrzesić szkielet, a Narajanie dać możność wykazania swej wiedzy! Doprawdy, niewyczerpana jest ta jego piekielna złośliwość i czelność, z jaką igra on ludzkimi istnieniami, jak gdyby były to pionki, stworzone dla jego rozrywki. Wybrałeś sobie niebezpiecznego nauczyciela.

Jest to uczony, któremu brak sumienia. Korzysta on ze straszliwych praw nie dla wyższych, pożytecznych celów, jak każdy prawdziwy wtajemniczony, lecz gwoli swej karygodnej lekkomyślności i beztroski.

- Być może, że popełniłem głupstwo bez zastanowienia, ale poniosła mnie żądza wiedzy. Pragnę znać nareszcie własności pramaterii, którą rozporządzam. Ty zaś i Dachir trzymacie mnie w nieświadomości i wymierzacie mi wiedzę po kropelce, jak lekarstwo, dodał z pewną wymówką.

- Każdy, kto chce się nauczyć, powinien posuwać się naprzód stopiowo. Ty zaś, Supramati, jesteś pod tym względem jak duże dziecko, pomimo swych dobrych zalet. Bo zastanów się tylko, jaki los czeka tę kobietę, którą - że tak powiem - stworzyliście na nowo? Co ona pocznie, znalazłszy się w niepojętych dla siebie warunkach, w tym świecie, w którym nie zna nikogo?

Supramati poczerwieniał. Przysunął się do Nary i pocałował ją.

- Jak zawsze, masz rację, moja ty piękna i mądra czarodziejko. Ale stało się. Pomóż mi teraz naprawić zło w granicach możliwości. Biedna Lorenza jest tutaj. Wszak nie można było porzucić jej na ulicy. Czeka w twoim salonie, a muszę przyznać, ma wygląd trochę obłąkanej...

- Zapewne. Jeśli mam być szczerą, to sądzę, że obłęd byłby dla niej dobrodziejstwem. Lorenza nie zasługuje na moje współczucie i pomoc, ale ze względu na czas miniony i na to, że skazana jest na przeżycie podwójnej śmierci, wybaczam jej wszystko i postaram się ulżyć jej doli.

- Czy znałaś Lorenzę?

- O, naturalnie! Wydano ją za mąż za pewnego starego szlachcica, bardzo bogatego, który kochał ją szalenie. Ona zaś dała się uwieść Narajanie, który ją zdradził. Stosunki ich były tak skandaliczne, że

w końcu dowiedział się o tym signoro Marco i w przystępie szału zazdrości zamordował ją. Sam zaś po upływie sześciu miesięcy zmarł na atak apoplektyczny. W owym czasie wyjechaliśmy z Wenecji - i całą tę historię zatuszowano. Teraz idę do żywej nieboszczki, a ty, nieszczęsny "poszukiwaczu prawdy" idź do Narajany. Może nauczy cię on, jak przy pomocy pierwotnej materii można stworzyć człowieka. Potrafi on i to zrobić.

Nie czekając na odpowiedź, Nara wyszła z pokoju.

Lorenza siedziała w salonie, zakrywszy twarz rękami. W głowie jej szalały chaotyczne myśli, zdawało jej się, że dostaje obłędu.

Zdawała sobie sprawę, że od chwili, kiedy straciła świadomość, do chwili, kiedy ocknęła się w podziemiu, nastąpiła ogromna zmiana we wszystkim, co ją otacza.

Pamiętała wyraźnie tę chwilę, gdy wróciła do gondoli, pełnej kwiatów, którymi zasypał ją Narajana podczas corsa na Wielkim Kanale.

Ukrywała z trudem swoje uczucie dla zwodniczego Narajany, który był cudzoziemcem jedynie z pochodzenia, ale ubiorem, układnością a nawet chrześcijańską bogobojością, nie odróżniał się od panów weneckich. Od chwili, gdy został jej kochankiem, ileż wykazał subtelnej pomysłowości w wyszukiwaniu różnych okazji do obsypania jej podarkami.

Po tym cudownym wieczorze nastąpiła noc okropna.

Mąż zrobił jej okrutną scenę. Jakby to było niedawno, widziała jego twarz zmienioną ohydnie, oczy nabiegłe krwią, patrzące na nią z dziką zazdrością i zimne palce, którymi chwycił ją jak kleszczami, za gardło.

Zdarzyć się to mogło zaledwie przed kilkoma dniami, a jednak wspaniały pałac obrócił się już w ruinę, ulice zmieniły swój wygląd, stroje przechodniów nie były podobne do tych, do których oko jej przywykło i nawet ten pokój w którym znalazła się dzięki jakiemuś przygodnemu opiekunowi, miał w sobie coś nowego. Wszystko było tu dla niej obce, począwszy od ognia, płonącego w jakiś szklanych rurkach, a skończywszy na miękkich atłasowych meblach o dziwacznej formie.

Czuła pod czaszką ostry ból i jak rozbita, oparła głowę o stół.

Drgnęła pod dotknięciem czyjejś ręki. Spojrzała i - nagle skoczyła na równe nogi.

- Donna Nara! Czy to pani? - zawołała i w tej chwili umilkła zawstydzona.

- Tak, to ja, donna Lorenza! Pójdźmy do mego pokoju, gdzie będziemy mogły porozumieć się.

Zdumiona Lorenza udała się posłusznie do buduaru Nary, w którym na maleńkim stoliku był przygotowany posiłek, złożony z jarzyn, mleka, chleba i wina.

- Przede wszystkim niech pani zje i pokrzepi swoje siły - rzekła Nara, zapraszając Lorenzę do stołu.

Widok potraw wzbudził w Lorenzie apetyt. Napiła się wina i pokosztowała każdej potrawy. Gdy zamierzała usprawiedliwić się, Nara przerwała jej.

- Zanim zaczniemy rozmowę, musi pani wziąć kąpiel i zmienić ubranie. W tych szatach nie powinien pani nikt widzieć. Otóż proszę do mojej garderoby.

Lorenza słuchała w milczeniu, zmęczona i niezdolna do rozumowania. Rozebrała się i weszła do wanny, do której Nara coś wlała z małego flakonu.

Gdy Lorenza kąpała się z rozkoszą, Nara przyniosła z garderoby bieliznę i przygotowany dla niej peniuar.

Odświeżona kąpielą Lorenza włożyła na siebie batystową bieliznę i szeroki jedwabny peniuar, ozdobiony koronkami. Czuła się zupełnie dobrze.

- Teraz trzeba się przespać - rzekła Nara z uśmiechem.

- Ale przedtem podziękuję pani za jej dobroć dla mnie - bąknęła Lorenza, rumieniąc się i spuszczając oczy.

- Zawiniłam wobec pani i dlatego nie zasłużyłam na jej względy.

- Darowałam i zapomniałam wszystkie winy pani, gdyż na umarłych nie zwraca się uwagi. Aby wtajemniczyć panią cokolwiek w wiele rzeczy, które wydadzą się jej niezrozumiałymi, zmuszona jestem nadmienić, że letarg pani trwał daleko dłużej, niż przypuszczałaś, markizo. W tym czasie zmarł Narajana...

Lorenza zbladła i wydała głuchy okrzyk:

- Narajana zmarł, a ja żyję!

I wśród potoku łez zaczęła wyrzucać urywane słowa:

- Czemuż Bóg pozwolił mi przeżyć go! Miłość moja jest występna, ale związuje mnie z nim każda cząstka mego istnienia. Dla niego byłam gotowa znieść wszystko!

Widząc, że Nara milczy, zapatrzona w nią ze smutkiem, Lorenza usiłowała powstrzymać łzy i zdusić w sobie rozpacz. Rzekła z pozornym spokojem:

- Niech mi pani wybaczy ten wybuch boleści, która może niemile dotknęła panią. Na usprawiedliwienie swe posiadam to jedynie, że serce nie zna przymusu i że Narajana mówił mi, jakoby rozwiódł się z panią, że pani przestała go kochać i traktuje obojętnie jego miłość do innej kobiety. Czy to prawda? Czy można nie kochać takiego człowieka, jak on?

- Tak, to prawda. Nie mogłam kochać Narajany. Rozłączyło nas jego rozwiązłe życie, nieetyczne zasady, zdrady i okrutna lekkomyślność, z jaką deprawował kobiety. Zachowanie się jego wobec pani i jej małżonka było bezecne. Udawał przyjaciela markiza i skorzystał z jego krótkiej nieobecności, aby uwieść panią. Była pani taka młoda i powabna, że mogła łatwo zbudzić kaprys hulaki; mąż zaś kochał panią prawdziwie. Gdy zburzyła pani jego szczęście i honor, dopuścił się zbrodni i sam życie zakończył.

- Jak to? Marco również nie żyje? - wykrztusiła Lorenza opadając bezsilnie na fotel.

- Tak, może pani tylko pomodlić się za niego i za swego uwodziciela. Bóg obdarzył panią życiem, aby doznała pani skruchy i poświęciła resztę dni swoich modlitwom i oczyszczeniu duszy.

- Niech mi pani powie, na co on umarł i jak długo leżałam w letargu? Słowem nich mi pani wytłumaczy wszystko, co zaszło od tego czasu, gdy... straciłam świadomość - rzekła nieśmiało Lorenza.

- Ale nie teraz. Na dzisiaj dość wzruszeń. Mam do zakomunikowania pani wiele rzeczy niezbyt przyjemnych, a obecnie naprawdę potrzebuje pani odpoczynku.

Widząc, że Lorenza chce zaprzeczyć, Nara rzekła tonem bezwzględnym:

- Bez protestów! Niech pani weźmie te uspakajające krople i położy się w sąsiednim pokoju na kanapie. Jutro dowie się pani wszystkiego.

Lorenza istotnie nie zdawała sobie sprawy, że jest zupełnie wyczerpana. Okropne ”doświadczenie”, jakie znieść musiała jej dusza i ciało, odbiło się na niej fatalnie. Zaledwie położyła się na kanapie, gdy ogarnął ją głęboki sen, sprowadzony narkotykiem, który zażyła.

Nara w zamyśleniu i ze smutkiem patrzyła na tę piękną twarz będącą w ciągu stulecia prochem tylko, a obecnie ożywioną przez występną wolę Narajany. Ciężkie westchnienie uniosło jej pierś.

- Biedna! Jakież moralne cierpienia czekają cię po przebudzeniu. O, kiedyż, Narajano, spadnie na ciebie piorunem niebieska sprawiedliwość? Kiedy zrozumiesz, że popełniasz występną lekkomyślność, igrając z okropną tajemnicą, która wpadła niepostrzeżenie w twe ręce?

- Nienawidzisz mnie i dlatego tak sądzisz bezlitośnie - rozległ się nagle dźwięczny i dobrze znany głos.

Nara obejrzała się i spokojnym, jasnym spojrzeniem zetknęła się z pałającymi oczyma Narajany.

- Zjawiłeś się, aby nacieszyć się widokiem swej diabelskiej sztuczki? Czy naprawdę nie dręczy cię sumienie, że znowu tak okrutnie postąpiłeś z tą ofiarą swych żądz? - rzekła Nara z wymówką. - Ale - ciągnęła - wiesz dobrze, że ja nie nienawidzę cię, gdyż stopień mego wtajemniczenia wyłącza takie brzydkie uczucie. Żal mi tylko ciebie i wymawiam ci to, że posiadając czarę wiedzy, wolałeś bardziej kielich rozkoszy. Żal mi także, że nie zechciałeś otrząsnąć się z prochów podłego człowieka i wykorzystujesz ułomki zdobytych wiadomości w celu wyrządzania zła i robienia głupstw. Wiesz przecież, że na twojej przeszłości spoczywa więcej przekleństw niż błogosławieństwa.

- Masz ciągle na myśli wskrzeszenie Lorenzy?

- Myślę nie tylko o niej. Przypomnij sobie, ile dokonałeś okultystycznych nadużyć, nie bacząc na to, że straszliwy, tworzący niszczycielski czynnik został nam powierzony dlatego, abyśmy byli jego milczącymi i wiernymi stróżami, nie zaś dlatego, abyśmy korzystali z niego dla igraszki lub dla zadowolenia różnych wybryków. Gdyby tak każdy z nas korzystał z pewnych własności tajemnej esencji, wywrócilibyśmy cały świat.

- Masz rację, Naro, a jednak pomimo wszystko jesteś w błędzie. Wskrzeszenie jednej osoby nie zburzy świata i nie podważy mądrego prawa, zachowującego dla śmierci wszystkiego, co żyje. Tak samo nikomu nie stała się krzywda, gdyż użyczyłem sobie kilku kropli esencji życia.

- Następstwa tego czynu będą fatalne.

- Poniosę je sam. Ale czy ty, Naro znając prawa, którym podlegasz, powinnaś mnie sądzić tak surowo? Wszak wiesz, że wskutek długiego życia ciało moje astralne zostało aż nadto przesycone pierwotną materią i że w ciągu pewnego, niedającego się tak łatwo określić czasu nie mogę ucieleśnić się na nowo. Jestem więc skazany na tułaczkę.

Ponieważ wyższe sfery uczyniono dla mnie niedostępnymi, przeto zmuszony jestem dźwigać ciężar swojej egzystencji w środowisku ludzkim. Żaden człowiek o najbujniejszej nawet wyobraźni nie byłby zdolny wymyślić gorszego piekła nad to tułanie się wokół ziemi! Taniec umarłych, ludzi i zwierząt, atmosfera rozpaczliwej walki miliardów istot, dążących do zachowania równowagi, najrozmaitsze jęki, obrazy zbrodni, zawieja śmierci i narodzin - o, istnieć w takich warunkach dłużej nie mogę!

Nieszczęsna ludzkość i tak wiele cierpi, aby trzeba było powiększać jeszcze te cierpienia. Kontynuować zaś egzystencji wałęsającego się psa nie chcę za nic na świecie. Dlatego postanowiłem znów wejść do połowy w ludzkość, aby uniknąć przyjemności przypatrywania się tamtemu widowisku i aby ochronić się od ciągłego przemarzania w odrażającym środowisku pierwszej sfery.

Na poły duch, na poły człowiek zamieszkam w Indiach jak yoga i będę posilał się niezbędnymi życiowymi sokami, ale nie będę wyrządzał nikomu krzywdy, wyjąwszy żarty z niegodziwcami, niezasługującymi na nic lepszego.

Przyrzekam ci, że nie skorzystam już nigdy z pramaterii, ale pobawię się swoją dwoistością.

- Możesz sobie wyobrazić cały komizm sytuacji, gdy jakaś stara lady, nie dostrzegając zupełnie mojej osoby, nastąpi mi na nogę, a ja krzyknę: “ach” i wyrwę jej z rąk torebkę; albo zaśmieję się do ucha jakiemuś zakochanemu młodzieńcowi w chwili, gdy będzie wyznawał swą miłość ukochanej.

- I w podobnych głupstwach znajdziesz przyjemność? Doprawdy, Narajano, można ci tylko współczuć! Mój Boże! Komuż będzie danym zbudzenie w tobie miłości do wiedzy prawdziwej! - Westchnęła Nara.

- Bądź spokojna! Głupstwami nie będę się zajmował wyłącznie. Gdy urządzę się przyzwoicie, według swej zasady: jeżeli żyć to już żyć dobrze i trochę pobawię się, olśniewając ludzi swoim blaskiem i intrygując ich otaczającą mnie tajemniczością, wówczas założę szkołę wtajemniczania. Będę miał kilku uczniów, których nauczę, jeżeli nie wyższej magii, to w każdym razie fenomenów, wywoływanych przez półmagów. Przekonasz się, że otoczą mnie ludzie szacunkiem nie mniejszym, niż Supramatiego, który jest bezwątpienia obdarzony wszelkimi zaletami, aby mógł zostać prawdziwym magiem. A teraz - moja piękna eksmałżonko, do widzenia! Zapraszam cię razem z Supramatim do siebie. Będziecie mile widzialnymi gośćmi, zwłaszcza ty, gdyż wyrzekłem się tylko praw męża i związanych z nimi przyjemności, ale nie utraciłem praw kawalera i postaram się względami ze strony tego drugiego zatuszować wszystkie błędy, popełnione przez pierwszego.

- Żartowniś! - rzekła Nara z mimowolnym śmiechem, wzruszywszy ramionami.

W pokoju swym zastała męża wzburzonego i zatrwożonego. Na wstępie zapytał o Lorenzę. Opowiedziała mu o niej wszystko i nadmieniła, że widziała się z Narajaną, który zarzucał jej zbyt surową opinię o nim, polegającą głównie na nienawiści do niego.

Supramati zauważył - Moim zadaniem, jest w tym wiele prawdy. Pogniewałaś się na mnie za to, że dałem mu troszeczkę eliksiru, a jednak czy nie jest to dla ciebie, zgoła obojętne?

Naturalnie. Ale uważam wprowadzenie Narajany do świata realnego za odruch zbyteczny i szkodliwy. Gdyby zmuszony był tułać się nadal, cierpienia zbudziłyby w nim odrazę do siebie samego i mimo wszystko popychałyby go naprzód drogą pokuty do zupełnego wyzbycia się grzechów i wad. Obecnie zaś utknie w jednym miejscu, będzie się bawił i próżnował.

W takim razie żałuję mocno swej nieoględności - rzekł ze skruchą Supramati.

- Obecnie już żadne żale nie pomogą. Tak, kochany, widzę, że jeszcze wiele musisz się uczyć, zanim osiągniesz nie tylko wiedzę prawdziwego maga, ale i jego roztropność.

Rozdział siódmy

Dla Nary nadeszły ciężkie dni. Musiała wytłumaczyć nieszczęsnej Lorenzie rzecz niesłychaną, a mianowicie, że przespała z górą trzysta lat i że nie pozostało jej nic z tego, co kiedyś znała i kochała.

Najsmutniejsze jednak było to, że umysł wskrzeszonej niezdolny był pojąć zdarzeń, które wydały się jej niemożliwością.

Przede wszystkim trudno ją było przekonać, że przeżyte przez nią wypadki, nie są złośliwą manifestacją.

Dopiero przemożna rzeczywistość rozwiała w niej ostatnie złudzenie, ale wprawiło ją to w stan takiej obłąkanej desperacji, że jedynie sztuczny sen przynosił jej na chwilę spokój.

Wreszcie po tygodniu najstraszniejszej rozpaczy i potoków łez Lorenza zapadła w głęboką apatię. Całymi godzinami leżała na kanapie, nie przyjmując jedzenia i napojów, lub siedziała w oknie, patrząc na kanał w jakimś złowrogim zapamiętaniu, jak gdyby ważyła się na krok rozpaczliwy.

Nara obserwowała ją zaniepokojona, Supramati zaś był przybity następstwami swego "naukowego eksperymentu". Ten stan duchowy wskrzeszonej był dla obojga tym bardziej kłopotliwy, że zbliżał się czas ich wyjazdu do bractwa, a nie chcieli porzucić Lorenzy w stanie tak groźnej depresji.

Za zgodą Dachira postanowiono zawieźć Lorenzę do Indii i umieścić ją w gminie kobiet, których los był podobny do jej losu. Tam postaraliby się o rozwinięcie umysłu i stworzenie jej nowych warunków egzystencji, opartej na pożytecznej pracy. Gdyby na tej drodze nie mogła zaznać szczęścia i spokoju, namówiliby ją do zamążpójścia pod warunkiem, że nie zdradziłaby tajemnicy swojej dawnej i niezwykłej przeszłości.

Pewnego razu z rana Nara udała się do Lorenzy z zamiarem uczynienia z nią jeszcze jednej próby. Nie zwracając uwagi na jej ponury i zatroskany wygląd, siadła obok niej i tonem surowym jakim jeszcze ani razu nie zwracała się do niej, zaczęła mówić, że prawdziwa chrześcijanka powinna poddać się z wiarą i ufnością zrządzeniom Opatrzności bez względu na to, czy zrządzenia te mogą być przez nią zrozumiane, czy nie.

Widząc, że Lorenza zarumieniła się i zmieszała, Nara napomknęła jej o popełnionym przez nią okropnym grzechu, który poprzedził jej letarg, że śmierć jej pozostaje nadal tajemnicą i że Pan w miłosierdziu swym połączył ją z Narą, aby zabezpieczyć jej przyszłość. Dodała przy tym, że Supramati daje jej bardzo przyzwoitą fortunę, aby wybawić ją z kłopotów pieniężnych. Dlatego może według własnego uznania powrócić do świata i wyjść za mąż pod nowym nazwiskiem lub wyjechać do Indii i odpocząć wśród przyjaciół do czasu, zanim nie odzyska należytego spokoju i nie rozstrzygnie spraw swojej przyszłości.

Rozmowa ta nie pozostała bez skutku. Mając pewność, że nie jest istotą opuszczoną i zapomnianą, Lorenza uspokoiła się znacznie i wreszcie wyraziła chęć pomodlenia się w kościele. Nara odwiozła ją do kościoła św. Marka.

Obecność na nabożeństwie, które odprawiało się tak samo, jak dawniej, pokrzepiła biedną kobietę. Odtąd Lorenza była bardziej zrównoważona duchowo, a nawet wyraziła chęć towarzyszenia Narze i jej mężowi w podróży do Benaresu. Resztę czasu przed odjazdem poświęciła zwiedzaniu kościołów i odszukiwaniu grobów swoich współczesnych; przy odszukanych grobach modliła się bardzo długo. Przy mauzoleum męża, które po długich poszukiwaniach udało się jej odnaleźć, spędziła na modlitwie czas bardzo długi.

Po upływie dwóch tygodni wyjechali z Wenecji i zatrzymali się na wyspie Cypr, na której ulokowali Lorenzę i Tortosa na czas pewien, do chwili swego powrotu.

Młoda kobieta była smutna, poważna i spokojna.

Obecnie zrozumiała, że o przeszłości jej nie można było mówić.

W ciemną i burzliwą noc wysunęła się z przystani maleńka łódź. Siedziała w niej trójka nieśmiertelnych, którzy nie obawiali się ani fal, ani burz i odważnie wypłynęli na pełne morze. Zaledwie zniknęły we mgle światła przystani, ukazał się okręt widmo, oczekujący na swych pasażerów z rozwiniętymi żaglami.

Jak długo trwała podróż, Supramati nie mógł określić. Gdy przybyli do zagubionej w oceanie skały, strzegącej w granitowym wnętrzu skarby tajemnic, duszą Supramatiego targnęły nieopisane uczucia.

Ceremonia przyjęcia była taka sama jak za pierwszym razem, po czym wszyscy udali się do wyznaczonych dla siebie pokoi.

Nazajutrz Supramati, ubrany w śnieżnobiałą tunikę, skupiony i pełen niepokoju udał się na nabożeństwo, którego uroczystość wywarła na nim głębokie wrażenie.

Arcykapłan – starzec, odprawiający nabożeństwo, przywoływał ku sobie każdego z osobna i kropił jego głowę jakimś tajemniczym płynem, zawartym w kielichu.

Supramati, Nara i Dachir podeszli ostatni.

Starzec polecił im zatrzymać się u podnóża stopni, sam zaś zaniósł kielich do ołtarza. Wróciwszy, objął Supramatiego ramieniem i pocałował go serdecznie.

- Bracie mój, jestem szczęśliwy, witając cię tutaj, jako pożytecznego i godnego członka naszego bractwa. Obietnicy dotrzymałeś. Bogactwo nie przykuło cię do świata materialnego, nie skusiło cię swoim blaskiem rozkosznym i nie uczyniło cię nienasyconym w stosunku do tych podłości wielkoświatowych, które są zawsze jedne i te same pod innymi tylko nazwami i które mogą być wybaczone jedynie istotom, żyjącym i umierającym, jak owady. Wróciłeś do nas czysty niesplamiony. Pracowałeś uczciwie i przeszedłeś pierwsze stopnie wiedzy. Obecnie jesteś przygotowany do wejścia na ciernistą, ale zaszczytną drogę wyższego wtajemniczenia. Ale dostrzegam w twej duszy bojaźń i niepewność na widok tego olbrzymiego pola trudów i wiedzy, z którymi masz zmierzyć swe siły i zdobyć.

- Uspokój się, bracie! Wprawdzie ciężka jest droga, ale chęć i wola usuną wszystkie trudności, a w gorączkowym działaniu, w pracy, zapomina się o czasie. Po każdym zgłębieniu jednej tajemnicy natrafia się na drzwi drugiej, do których klucza trzeba poszukać. W ten sposób, przechodząc od jednej dziedziny do drugiej, wchodzi się po drabinie światła, która prowadzi do niewiadomego środka, gdzie króluje Niepokalana Istota - Twórca nieskończoności. A im wyżej będziesz wstępował, tym bardziej duszę twoją zacznie wypełniać harmonia i tym większą posiądziesz moc.

Wyższą magię będziesz studiować pod kierunkiem brata Ebramara, który nauczy się, jak masz korzystać ze zdobytej już wiedzy. Kształcenie maga uważa się za ukończone dopiero wtedy, gdy może on dokonać czegoś dla powszechnego dobra i potrafi świadomie rządzić się wielkimi motorami wszechświata. Zważcie, obecni tu bracia, że nieśmiertelność jest ciężkim brzemieniem, że wasza misja polega na ulżeniu agonii starego, konającego świata i na kolonizowaniu nowej planety. Niech więc świadomość tej odpowiedzialności wesprze twe siły Supramati i uzbroi cię w męstwo i wytrwałość, które oby były niezłomne!

Starzec dał Narze znak ręką, aby zbliżyła się, i ciągnął: - Ty, córko moja, również pracowałaś należycie.

Oczyściłaś się z grzechów i już wir zmysłowych podniet, w który popadłaś dzięki nierozważnemu związkowi z Narajaną, nie ma żadnego na ciebie wpływu. Masz spełnić ważny i pożyteczny obowiązek pod kierunkiem Ebramara. Spełnij go z honorem i gorliwie, a osiągniesz jeszcze jeden wyższy stopień.

- Wreszcie z tobą, Dachirze, mogę podzielić się radosną wiadomością. Ostatnia ciążąca na tobie klątwa została unicestwiona. Ofiary twe wybaczyły ci wszystko i stały się twoimi przyjaciółmi; ciemne zaś dusze, trwające w zaciekłej swojej nienawiści, są wobec ciebie bezsilne.

Niszczycielski ich fluid zwraca się przeciwko nim samym. Czysty i wyzwolony z więzów swojej występnej przeszłości przestąpisz próg wyższego wtajemniczenia.

Olśniony szczęściem Dachir zgiął kolano i ucałował rąbek połyskującej szaty Arcykapłana, ten zaś wyciągnął nad nim rękę i udzielił mu swego błogosławieństwa. Dachir klęczał przez chwilę pogrążony w uroczystej modlitwie, po czym podniósł się i zapytał niepewnym głosem:

- Co się dzieje z Lorą? Jak długo jeszcze będzie odbywała swą karę? Dola jej przytłacza mi duszę, jak kamień.

Starzec uśmiechnął się.

- Wznosząc się ku światłu, pozbądź się tej troski. Nienawiść Lory przeistoczyła się już od dawna w miłość.

Głębokie rozmyślania, modły i pokorna uległość, z jaką przyjmowała zrządzenia losu dopełniły dzieła jej oczyszczenia z grzechów. Lora pragnie iść twymi śladami. Ale ponieważ podjęte przez ciebie prace wyłączają wszelkie stosunki z kimkolwiek, oprócz duchowych, przeto Lora poświęciła się również żmudnej pracy i nauce. Będzie się wtajemniczała pod kierunkiem Nary, aby zostać godną towarzyszką

twej pracy i oddaną uczennicą, dopóki ziemia nie zacznie doświadczać ciężkich prób i dopóki nie zaczną się straszliwe kataklizmy, przygotowywane przez ludzkość z taką bezmyślną niefrasobliwością. Otóż, druhowie moi, gościć was będziemy dotąd, dopóki sami zechcecie.

Potem twój, Dachirze, okręt widmo odwiezie cię do miejsca przeznaczonego, a twoi przyjaciele będę ostatnimi twymi pasażerami.

W tajemniczym ustroniu Graala, Supramati spędził z żoną i Dachirem trzy miesiące. W tym czarownym miejscu panowała niewysłowiona harmonia i spokój niebiański.

Lora przebywała obecnie razem z nimi. Była szczęśliwa i smutna zarazem, gdyż miłość ziemska, jaką zbudził w niej Dachir, odzywała się w jej duszy głosem bolesnym.

Ale udział w życiu bractwa i przywiązanie się do niej młodego adepta oraz pierwsze wiadomości z dziedziny wiedzy, jakich udzielił jej Dachir, otworzyły przed nią zgoła inne jasne horyzonty. Rozmiłowała się w nauce i wkrótce błahe ziemskie uczucia malały w niej coraz bardziej, aż zniknęły zupełnie.

Chwila rozstania Dachira z Lorą, gd y odjeżdżał już ze swymi przyjaciółmi według zapowiedzi arcykapłana, była tak samo ciężka, jak za pierwszym razem. Lora chciała go odprowadzić, ale Wójt gminy polecił zawieźć ją do Indii.

Podróżni nasi nie zajeżdżali na Cypr. Supramati wysłał tylko do Tortosa zlecenie, aby wyjechał z Lorenzą do Kalkuty i tam czekał na nich w pałacu.

Okręt widmo wysadził naszych podróżnych w małym porcie na wyspie Ceylon.

Dachir opuszczał pokład statku, będący świadkiem jego zbrodni i odkupienia, nie bez pewnego uczucia smutku. Stojąc w maleńkiej szalupie, nie spuszczał oczu ze starego towarzysza, kołyszącego się dumnie na falach. Nagle okręt przygasł, jak gdyby na jego masztach i zwojach lin przeleciały ognie św. Elma, po czym wszystko rozpłynęło się w powietrzu i zniknęło.

Dachir osunął się na ławkę z głębokim, ciężkim westchnieniem i popadł w zadumę. Przyjaciele zostawili go w spokoju. Dopiero, gdy wyszli na brzeg, przetarł ręką czoło, jakby czciał odpędzić dokuczliwe myśli i zaczął mówić o podróży.

Odtąd już korzystali ze zwykłych środków lokomocji, aby dotrzeć do Kalkuty, gdzie Supramati musiał uporządkować niektóre sprawy przed wyjazdem do Benaresu.

W czasie tej podróży odzyskali na nowo doskonały nastrój ducha, zakłócony chwilowo przez pobyt na widmowym okręcie. Starali się zapomnieć o czasach minionych i mówili wyłącznie o przyszłości i o pracy, która ich oczekiwała.

- Odbywanie studiów pod kierunkiem Ebramara to rozkosz - oświadczyła pewnego razu Nara. - On tak wyraźnie rozwija i wyjaśnia złożone problemy, że odnosi się wrażenie, iż są one proste i łatwe. Wprawdzie jest on bardzo surowy i co najważniejsze wymaga bezwzględnego rygoru umysłu, poczytując wszelką gnuśną myśl za niedbalstwo nie do darowania, ale do tych wymagań można się przyzwyczaić stopniowo. Świadomość wyćwiczonego i pewnego siebie myślenia, z którym może się porównać jedynie siła żywiołu, wkłada obowiązek panowania nad tą straszliwą bronią, mogącą razić śmiertelnie, jak piorun. Będziemy musieli jeszcze wiele popracować nad osiągnięciem tej zdolności, ale pracę ułatwią nam znacznie warunki, w jakich znajdziemy się niebawem.

- Masz rację Naro, albowiem chwile pobytu u Ebramara wspominam z rozkoszą. W tym zupełnym spokoju i niewysłowionej harmonii dusza nabiera sił i ma się takie słodkie uczucie, jak gdyby u ramion wyrastały skrzydła. Jest to prawdziwy przedsmak rajskiej szczęśliwości.

W Kalkucie nasi podróżni zabawili zaledwie kilka dni. Umieścili Lorenzę w żeńskiej gminie, znajdującej się pod zwierzchnictwem jednej z wtajemniczonych. Gmina ta miała wkrótce przenieść się w okolice Benaresu, aby byli bliżej tajemniczych mędrców, przebywających w górach Himalajskich.

W miarę zbliżania się do Benaresu, Supramati był w coraz większym kłopocie. Chodziło o to, że w pałacu, dokąd wiózł Narę, przebywała Nurwadi i jego syn, którego uczynił nieśmiertelnym i syn ten miałby już około 42 lat.

Jak wyznać Narze, że pod jednym z nią dachem przebywa dawna jego kochanka, ta sama, dla której w ciągu dwóch lat z górą zapomniał o swojej prawnej małżonce?

Gdy pociąg minął ostatnią stację i zaczął zbliżać się szybko do świętego miasta Hindusów, niewymownie ciężka troska Supramatiego dosięgła szczytu.

W pozie półleżącej, z łokciami na poduszkach Nara śledziła wyraz tych różnorodnych uczuć, jakie

odbijały się na wrażliwym obliczu jej męża.

Wreszcie podniosła się, położyła rękę na ramieniu Suramatiego i rzekła z przebłyskiem uśmiechu w oczach:

- Nie warto trapić się tym starym grzechem! Byłeś wtedy wolny. Z wolności tej tak mało skorzystałeś, że byłabym niewdzięczną, gdybym miała się boczyć o takie bagatelki.

Znam historię Nurwadi i serdecznie współczuję temu biednemu stworzeniu, które kocha cię głęboką i czystą miłością. Nie chcę ani martwić jej, ani wzbudzać w niej zazdrości. Dlatego bądź łaskaw powiedzieć jej, że jestem twoją siostrą. Ułatwi mi to widywanie się z nią i prowadzenie swobodnych rozmów. Jest ona w nieśmiertelności swej nieszczęśliwa i pozostawienie jej w zupełnym nieuświadomieniu byłoby po prostu grzechem. Chciałabym rozwinąć jej umysł i wskazać drogę do wiedzy.

Supramati przycisnął obie ręce Nary do ust. Cieszył się i zarazem był skonfudowany.

- Twoje wspaniałomyślne kłamstwo będę musiał powtórzyć Nurwadi ze wstydem - bąknął.

- Będzie to tylko kłamstwo w połowie, gdyż oboje jednakowo oddajemy się wyższemu wtajemniczeniu, które nie pozwala na żaden ziemski stosunek. Miłość nasza przeistacza się w czyste jednanie się dusz i to przywiązanie, pozbawione wpływów materialnych, staje się wiecznym i niewzruszonym - odpowiedziała, patrząc na niego dobrym i ciepłym spojrzeniem.

Do Benaresu przybyli po południu. Gdy po podróży uporządkowali swoje rzeczy, Nara wysłała męża do Nurwadi.

- Idź, idź, - mówiła, ubawiona szczerym zakłopotaniem Supramatiego. - Bądź dobry dla niej i uprzejmy, gdyż zasługuje na to. A potem przyjdź z nią na kolację i zapoznaj ją ze swym bratem i siostrą.

Będąc jeszcze pod wpływem uczucia zakłopotania, Supramati skierował się do bocznej oficyny pałacu, gdzie mieszkała Nurwadi. Od służącej dowiedział się, że Nurwadi jest na tarasie w towarzystwie młodego księcia, który przed chwilą powrócił z wycieczki do Himalajów, skąd przybył na spotkanie swego ojca.

Supramati był trochę zdziwiony. W jaki sposób Sandira mógł się dowiedzieć o przyjeździe, jeżeli nie był uprzedzony przez Ebramara? Ale wszak Ebramarowi nigdy nie wspomniał nawet o swoim związku z Nurwadi.

Minął szybko szereg znanych mu dobrze pokoi i udał się w stronę tarasu. Odgłos jego kroków ginął w miękkich dywanach.

Wszedłszy do ulubionego pokoju Nurwadi, przylegającego do sypialni, dostrzegł młodą kobietę. Zwrócona do niego plecami stała na tarasie i tuliła do piersi chłopca, który na pierwszy rzut oka mógł mieć nie więcej niż dziesięć lat.

Supramati przystanął wzruszony. Serce mu biło gwałtownie, tysiące wspomnień przemknęło przez głowę. Głos zadrgał mu lekko, gdy cichutko zawołał:

- Nurwadi!

Odwróciła się szybko i z krzykiem szalonej radości padła w jego objęcia!

- Wróciłeś! Znów cię widzę! O, gdybym mogła w tej chwili umrzeć z radości!

Supramati przytulił ją do siebie i pocałował w czoło. W pocałunku tym było spokojne przywiązanie brata, nie zaś pożądliwość kochanka i - Nurwadi odczuła to.

Podniosła głowę i z pewnym lękiem zajrzała w piękne jasne oczy Supramatiego, który patrzył na nią tkliwie.

- Patrz, oto nasze dziecko, - rzekła nieśmiało, wskazując chłopca, który stał na uboczu w milczeniu, ze spuszczonymi oczami.

Supramati podszedł do syna, przytulił go do siebie i ucałował gorąco. Po czym, odsunąwszy go umyślnie, zaczął przyglądać mu się z naiwnym uczuciem radości i smutku. Chłopiec był piękny, jak anioł, ale nie posiadał w sobie żadnych cech męskości.

- Sandirze! Widok twój sprawia mi radość, ale zarazem zasmuca mnie. Nie jesteś mężczyzną, jakim spodziewałem się ujrzeć ciebie...

Chłopiec podniósł na niego swoje duże czarne oczy, a w aksamicie tych oczu zabłysła myśl tak dojrzałego, rozwiniętego i obdarzonego siłą ducha i woli człowieka, że Supramati drgnął.

- Rozumiem cię, ojcze! Ale to, co widzisz jest dziełem twoim. Radosnej chwili naszego pierwszego spotkania nie chciałem zakłócać żadnym wyrzutem, lecz skoro sam wspomniałeś o moim zewnętrznym

wyglądzie, który zupełnie nie jest stosowny do mego wieku, pozwól mi zaznaczyć, że ze swojej strony popełniłeś wielką nieostrożność, obdzieliwszy nierozwinięty jeszcze organizm tą straszną substancją, którą posiadasz. Bez wątpienia działałeś pod wpływem miłości i obawy, aby mnie nie utracić. Wiedziałeś jednak, na jakie skazujesz mnie cierpienia. Gdyby nie Ebramar i jego boska wiedza, pozostałbym w ciągu długich wieków niemowlęciem.

- Jak to? Znasz Ebramara? - zawołał Supramati.

- Jestem jego uczniem i pod jego kierunkiem przeszedłem surowy i długi kurs wtajemniczenia. To, że w ogóle podrosłem trochę, zawdzięczam jedynie szczególnemu rygorowi i bezustannej pracy. A teraz pozwól mi, że cię powitam i przyjmij do wiadomości, że nasz wspólny nauczyciel oczekuje nas u ciebie.

Supramati słuchał, nie spuszczając oczu z maleńkich różowych ustek, wymawiających takie poważne słowa.

- Słusznie, mój synu! - rzekł - czyn mój był bezprzykładnym przestępstwem, gdyż posiłkowałem się straszliwą mocą, nie zdając sobie sprawy ze skutków swego postępku. Wybacz mi, że przyczyniłem się do niezasłużonych twoich cierpień. Jedyną pociechą jest tylko to, że dzięki memu nierozważnemu postępkowi znalazłeś opiekę Ebramara. Pragnąłbym zaraz podziękować mu za naprawienie zła, wyrządzonego przeze mnie. Zresztą być może zyskałeś na tym, gdyż uniknąłeś wszystkich pokus ziemskich, wszystkiego duchowego i cielesnego błota, z jakim człowiek musi stykać się na świecie. Twemu wzniesieniu się do wiedzy wyższej nic nie stoi na przeszkodzie.

Sandira uśmiechnął się.

- Daj Boże, aby to była prawda. Ale nie! Trzeba przejść jeszcze olbrzymią przestrzeń. Tymczasem znany nam jest zaledwie punkt wyjścia, ale cel podróży ginie w oceanie światła świętego, lecz nieprzeniknionego środka, zastrzeżonego przez siedmiu geniuszów sfer. Tam po raz ostatni budzi się zwątpienie i niestrudzony pracownik, który dotarł do wrót jaśniejącej świątyni, słyszy podszepty:

“Jakaż to spotyka cię nagroda za twoje długie wysiłki i za nieustraszone przebycie ciernistej drogi wśród mroków i smutku?”. Ach, ojcze? Chwilami doznaję zawrotu głowy i pytam sam siebie: gdzieżeś jest, świetlany spokoju? Co za straszna i nieugięta siła pcha nas naprzód?

“Młodzieniec utkwił wzrok w przestrzeni i maleńkimi rączkami ścisnął kurczowo ręce ojca.

Supramati patrzył na niego ze smutkiem. W jego wspomnieniu Sandira był nadal niemowlęciem, które nosił na rękach; syn zaś, z wyglądu dziecko, choć w rzeczywistości myśliciel, którego nurtują wielkie problematy istnienia.

Supramati usiadł na kanapie i posadził obok siebie Nurwadi i Sandira. Zawiązała się między nimi długa rozmowa o przeszłości i o czasach przyszłych.

Gdy trzeba było już iść na kolację Supramati oznajmił obojgu, że zaprowadzi ich do brata i siostry, którzy pragną zawrzeć z nimi znajomość.

Supramati tak bardzo pragnął ujrzeć Ebramara, że chciał wyjechać do niego zaraz na drugi dzień.

Nurwadi poprosiła go, aby pozwolił jej również wyjechać. Nie chciała tak szybko rozstawać się z nim i z synem. Nara nie czyniła żadnych przeszkód, gdyż do zupełnego opanowania umysłu Nurwadi wystarczyła jej kilkugodzinna rozmowa.

Mówiła z nią o osobliwości jej egzystencji i o konieczności stworzenia sobie innego, bardziej rozumnego celu, niż spędzanie czasu wyłącznie na spaniu i strojeniu się.

Powiedziała jej przy tym, że w pobliżu tego miejsca, gdzie przebywa mędrzec, pod którego kierunkiem znajduje się Sandir, jest szkoła dla kobiet, skazanych również na długie życie i zaproponowała jej wstąpienie tam, na co Nurwadi zgodziła się chętnie.

Po kilkudniowej podróży przez górską okolicę, pełną zachwycających widoków podróżni nasi przybyli wreszcie do tajemniczego pałacu, w którym zamieszkiwał Ebramar.

Widocznie byli spodziewanymi gośćmi, gdyż drzwi wejściowe stały otworem, a ten sam zarządca, którego Supramati widział tu przed czterdziestu laty, powitał ich radośnie i z honorami.

Sndir oznajmił, że do pracowni maga sam ich zaprowadzi.

Ebramar powitał ich w progu pokoju i serdecznie uścisnął Supramatiego i Dachira, po czym z ojcowską tkliwością wyciągnął obie ręce do Nary, która patrzyła na niego jasnym i wdzięcznym spojrzeniem.

Po opanowaniu pierwszego wzruszenia towarzystwo zajęło swoje miejsca i zawiązała się ogólna rozmowa.

Ebramar winszował Supramatiemu szybkiego przejścia pierwszych stopni wtajemniczenia, Dachirowi zaś wyzwolenia się z pęt, którymi był związany ze smutną swą przeszłością. Oznajmił im przy tym, że zanim wezmą się do nowej pracy, mogą w ciągu kilku tygodni odpocząć z całą swobodą. Po czym zwracając się do Nary, rzekł z uśmiechem:

- Dla ciebie, siostro moja, zatrzymam miejsce Wajrami, która pragnie oddać się specjalnemu kultowi magii i przenosi się w dziedzinę badań. Otóż obecnie ty będziesz kierowniczką żeńskiej szkoły i zajmiesz się nowymi neofitkami: Nurwadi i Lorą, które tam wstąpią. Nurwadi zaraz oddam pod opiekę Wajrami.

Na polecenie Maga, Sndir pobiegł po Naczelną Kapłankę.

Supramati zapytał:

- Jak to, mistrzu? Posiadasz tu szkołę dla kobiet?

Tego bym się nigdy nie mógł domyśleć!

- O, jest tu jeszcze wiele innych rzeczy, których nie widziałeś, - odrzekł z uśmiechem Ebramar. - Gdy będziesz oglądał swoje posiadłości, pokażę ci wszystko.

Supramati zaprzeczył ruchem głowy.

- O, nie mistrzu! Tutaj, gdzie króluje twoja mądrość i dobroć, nic do mnie nie należy, z wyjątkiem twojej przyjaźni i opieki. Szczęśliwy ten dom, że przebywa w nim taki, jak ty, mędrzec! Szczęśliwi są ci, którzy mogą zamieszkiwać tutaj, aby pod kierunkiem twoim zdobyć światło wiedzy wyższej. Na cóż mi zdały się miliony, ulokowane we wszystkich bankach świata na nazwisko Supramatiego? Przestąpiwszy ten próg, pozostawiłem za sobą wszystko, co wiązało mnie z ziemską próżnością. Przyniosłem ze sobą zaledwie cząstkę wiedzy i gorące pragnienie, aby pracować ze wszystkich sił, aby wznieść się ku światłu tą niebezpieczną drogą, z której nie ma powrotu, gdyż w dali będzie świecił niewiadomy, tajemny cel, a poza mną rozewrze się przepaść.

- Wytrwaj przy swoim chwalebnym postanowieniu, a nie utkniesz w połowie drogi, - odrzekł Ebramar, uścisnąwszy mocno dłoń Supramatiego. - Wierzę niezłomnie, że kiedyś świetlany wieniec maga włożę na twoje skronie.

Rozmowę ich przerwało wejście Sandira w towarzystwie młodej pięknej kobiety w białym stroju, owiniętej w długą i szeroką gazową zasłonę.

Klasyczna jej twarz miała surowy i poważny wyraz, a w czarnych, aksamitnych oczach płonął ogień zapału.

Ze skrzyżowanymi rękami na piersiach oddała niski pokłon Ebramarowi.

- Poleciłem przywołać cię, Wajrami, aby ci oznajmić, iż pragnieniom twoim oddaniu się samotności stanie się wkrótce zadość. Siostra nasza, Nara, - rzekł, wskazując młodą kobietę, - obejmie kierownictwo po tobie. - Z różnych powodów nie mogę jeszcze oznaczyć dnia, kiedy wezwę ją do nowych jej obowiązków, na razie jednak powierzam ci, Wajrami, naszą nową neofitkę: Nurwadi.

Zabierz ją i umieść u siebie. Ty zaś, córko moja, pożegnaj się ze swym synem. Będziesz widywała go tylko w święta. Co do jego dalszych losów możesz być zupełnie spokojna.

Nurwadi zarumieniła się. Do oczu jej nabiegły łzy, ale wzruszenie opanowała po męsku. Uścisnęła Sandira i Narę, zamieniła uścisk dłoni z Supramatim i pocałowała w rękę Ebramara.

Wajrami złożyła gorące podziękowanie nauczycielowi. Po czym zdjęła z siebie osłonę, zakryła nią głowę Nurwadi i opuściła taras razem z neofitką.

- Powiedz, mistrzu, czy dużo jest nieśmiertelnych kobiet w szkole, którą będzie kierowała Nara? - zapytał Supramati.

- Wychowanic szkoła posiada około dwustu i są one wszystkie nieśmiertelne. Dlatego wtajemniczamy je w wyższą wiedzę. Maleńkie gminy podobne do tej, w jakiej umieściliście Lorenzę, mają zupełnie inny charakter i inne znaczenie, - odpowiedział Ebramar.

- Mój Boże! - zawołał Supramati. - Z górą dwieście nieśmiertelnych! Któż to był tak nieostrożny i tak nierozważnie stworzył ich taką masę?

Nara poruszyła głową.

- Zapominasz, mój kochany, że ci wszyscy, co obdarzyli te kobiety nieśmiertelnością, byli zwykłymi ludźmi, zanim zostali magami.

To samo uczucie, pod którego wpływem udzieliłeś swemu synowi pierwotnej substancji, działało

i w innych.

Są tu kobiety, które były kochane namiętnie; są matki, córki i siostry, z którymi nie chciano się rozłączyć.

Przypomnij sobie, jak sam pragnąłeś obdarzyć wicehrabiego Lormoeilla eliksirem życia. Niewiadomo, ile grzechów ciążyłoby na twoim sumieniu, gdybyś dłużej przebywał w tym świecie. W każdym razie liczba ofiar Narajany jest bardzo duża.

- Nadejdzie czas, - odezwał się ze smutkiem Ebramar, - że nie będziemy uważali się za zbyt licznych nieśmiertelnych. Gdy rozszaleją się kataklizmy, pracy starczy dla wszystkich. Gdy wokół nas nieśmiertelnych zamrze wszystko, będziemy mogli zaledwie zaludnić miasto.

Rozdział ósmy

Od chwili, gdy bohaterowie nasi przybyli do Ebramara, minęło około dziesięciu dni. Z początku czas upływał, jak w zaczarowanym śnie.

Panująca wszędzie harmonia wywierała swój dobroczynny wpływ na wszystkich, a rozmowy z Ebramarem sprawiały wstrząsające wrażenie.

Ale oto już od dwóch dni Dachir i Supramati zostali sami. Mag odosobnił się na kilka dni, aby, jak mówił, skupić się bardziej. Nara również nie pokazywała się wcale i czyniła przygotowania razem z Wajrami do objęcia stanowiska kierowniczki żeńskiej szkoły wtajemniczania.

Obydwaj przyjaciele odczuwali pustkę i częściej poddawali się smutnym refleksjom. Siedząc nieraz na tarasie, na który wychodziło się z pokoju Supramatiego, prowadzili rozmowę na temat przeszłości i czasów przyszłych.

Kiedyś zastała ich tak późna noc. Księżyc był w pełni i rzucał seledynowe swe światło na otaczający ich zewsząd czarodziejski krajobraz.

Była chwila ciszy, gdy nagle Supramati, który stał w zamyśleniu, wsparty łokciami o balustradę, odezwał się niespodziewanie:

- A wiesz, Dachirze, Narajana oszukał nas! Obiecał nam dać znać o sobie, a tymczasem nie ma żadnych wiadomości.

- O, jest to człowiek ogromnie przewrotny.

Prawdopodobnie zmienił swój poprzedni zamiar i nie chce wyjawić nam tajemnicy swego schroniska, - odpowiedział Dachir z uśmiechem.

- A jednak chciałbym wiedzieć, co porabia teraz ten dziwny, zagadkowy duch, który jest mieszaniną wad i zalet, nauki i swawoli. Mógłbym dowiedzieć się od Ebramara, ale nie wypada mi pytać.

W tej chwili dał się słyszeć potężny szum skrzydeł.

Odwrócili głowy i milcząc, patrzyli ze zdziwieniem na wspaniałego białego pawia, który opuścił się na balustradę i zalotnie rozwinął swój biały, srebrzysty ogon, jakby osypany drogimi różnokolorowymi kamieniami. Na głowie chwiał mu się złocisty czubek. Czarne jego oczki patrzyły na Supramatiego mądrym, prawie ludzkim, spojrzeniem.

- Ach, Boże, jaki to śliczny ptak! - zawołał Dachir.

- Nigdy jeszcze nie widziałem niczego podobnego!

Paw uderzył skrzydłami, zeskoczył do ogrodu i zaczął kręcić głową, jakby zapraszał ich ze sobą.

- Mogę przysiądz, że jest to wysłannik Narajany! - zawołał Dachir.

Paw skłonił swym fosforycznym czubkiem i pobiegł wzdłuż alei, zwracając się ciągle poza siebie, jakby chciał sprawdzić, czy ci dwaj idą za nim.

Supramati udał się za tajemniczym ptakiem, Dachir zaś pomyślał chwilę, czy pójść również i został.

- Być może, że tylko ty jesteś zaproszony, - rzekł do Supramatiego.

Ptak wydał lekki okrzyk i potaknął głową dwukrotnie ruchem dość niecierpliwym.

- Zapewniam cię, że on nas rozumie, - zawołał radośnie Supramati, chwytając Dachira za rękę i pociągając go ze sobą. - Nie dajmy czekać długo na siebie!

Paw szybko kroczył naprzód, a za nim Dachir i Supramati. Idąc tak, przeszli ogród, długą, ciemną aleję i znaleźli się w otwartym polu, zarośniętym wysoką, gęstą trawą. Zaczęli teraz trafiać na różne przeszkody. Drogę im zastępowały syczące węże, ale momentalnie odskakiwały w tył, gdyż nieśmiertelni nie są napadani przez złe zwierzęta.

Bacząc pilnie, aby nie utracić z oczu tajemniczego pawia, nie zwrócili nawet uwagi na obrzydliwe płazy.

Przy końcu drogi znajdowała się głęboka jaskinia, do której obydwaj przyjaciele weszli krętą, zaledwie dostrzegalną ścieżką. W dole panowały zupełne ciemności, ale polatując przodem paw rysował się w mroku, jak biała chmurka. Przed skałą czarną i omszoną ptak zatrzymał się na chwilę, po czym powoli wślizgnął się w wąską, zarośniętą różnymi krzewami szczelinę.

Nie namyślając się długo, Dachir i Supramati udali się za nim i znaleźli się w wąskim korytarzu, który doprowadził ich nieoczekiwanie do wąskiej i wysokiej, oświetlonej niebieskawym światłem groty, tworzącej coś w rodzaju sklepienia nad kanałem, czy podziemną rzeczką.

Kanał miał brzegi wysokie i strome. Wyżłobione w skale schodki prowadziły do wody, na której czekała na obydwu przyjaciół łódź. Łódź miała kształt długiego, wąskiego pieroga, z wysoko zadartym przodem; który upiększony był pozłacanym pawiem, mającym na plecach elektryczną lampkę. Promienie rozpraszane przez lampkę połyskiwały na stalaktytach sklepienia.

Dachir ujął wiosła, Supramati siadł do steru, paw zaś ulokował się plecami do nich, na przodzie, za elektryczną lampką.

W miarę jak płynęli coraz dalej, przed oczami ich rozpościerały się dziwne, cudowne widoki.

Podziemna rzeczka torowała sobie drogę wśród wyrw i urwisk. To z jednej, to z drugiej strony otwierały się głębokie groty. Jedne z nich miały wygląd galerii i ginęły w dali, inne podobne były do olbrzymich jaskiń, ale we wszystkich jaśniało różnokolorowe, niezwykle subtelne światło.

Niektóre groty wypełnione zielonkawą mgiełką czyniły wrażenie olbrzymich szmaragdów; inne były zalane różowymi bladorubinowymi światłami, większość jednak tonęła w niebieskoszafirowym świetle, które wypełniało główny kanał i było tak silne, że elektryczna lampka bladła przy nim. Skąd sączyło się światło, trudno było określić. Miało się wrażenie, że przenikało ono poprzez skalne ściany.

Przyjaciele patrzyli, jak oczarowani, na te niezwykłe cudowne obrazy, zmieniające się, jak w kalejdoskopie. Tu wytryskiwał ze skały strumień, podobny do roztopionego rubinu, tam znowu na głębokiej, ciemnoniebieskiej powierzchni wody ukazywały się wspaniałe wodne kwiaty: błękitne, jak turkusy, białe ze złotymi środkami, lub czerwone, jak korale. Rozgałęzienia rzeki sprawiały ciągły kłopot obydwóm przyjaciołom, kótrzy nie wiedzieli, jaki obrać kierunek, ale paw czuwał pilnie i każdorazowo ostrzegał ich krzykiem, gdy zamierzali zboczyć z właściwej drogi.

- Teraz rozumiem, - odezwał się Supramati, - że nasz mądry przewodnik prowadzi nas do Narajany. Jeżeli miejsce jego pobytu jest równie piękne, jak ta wiodąca do niego droga, to możemy sobie powiedzieć, że ten niepoprawny urwis dał jeszcze jeden wspaniały dowód swego niezrównanego smaku.

W tej chwili rozległ się w pobliżu tak głośny ironiczny śmiech, rozchodząc się pod sklepieniami tysiącznym echem, że obydwaj przyjaciele mimo woli obrócili się w tę stronę i zaczęli szukać oczami Narajany, który przecież był niewidzialny. Jedynie paw rozpostarł swój różnobarwny ogon i zakrzyknął przeraźliwie; w krzyku tym również zadźwięczał śmiech.

Nagle sklepienie osunęło się niżej i kanał zwęził się, tworząc raptowny zakręt. Łódź sunęła teraz niskim i ciasnym korytarzem. Lampa zgasła i obydwaj podróżni znaleźli się w nieprzeniknionych prawie ciemnościach. Wtem łódź została porwana przez silny prąd wody i zaczęła sunąć, jak strzała, prześlizgując się przez ciemny korytarz, niby przez lufę armatnią; po chwili zaś wypłynęła nieoczekiwanie na rozległe jezioro, na którego srebrzystej powierzchni igrały swawolnie promienie wschodzącego słońca.

Zmiana ta nastąpiła tak szybko, że Dachir i Supramati, olśnieni znienacka potokami światła, przymknęli oczy. Gdy jednak spojrzeli znowu, z piersi ich wyrwał się jednogłośny okrzyk zachwytu i zdumienia.

Woda była tak przezroczysta, że oczy dostrzegały na dnie jeziora wszelkie nierówności i najdrobniejsze kamyki. Ryby mieniły się w słońcu srebrzystą, złotą, mocno zabarwioną łuską.

Jezioro miało brzegi wysokie, skaliste, pokryte lasami, ponad którymi wznosiło sią dookoła pasmo wysokich gór. W dali, na wyspie, czy też półwyspie - gdyż na razie trudno było określić - widniały ściany

i dach pałacu, tonącego w gąszczu wspaniałej szmaragdowej roślinności.

Łódź, szarpnięta mocnym uderzeniem wioseł, pomknęła szybko po gładkiej powierzchni jeziora i po upływie kilku chwil znalazła się u wejścia na marmurowe schody, strzeżone w dole przez dwa brązowe sfinksy. W górze widać było szeroki portal z kolumnami.

Na powitanie gości zjawiło się na schodach czterech urodziwych młodzieńców. Mieli na sobie białe tuniki ze złotymi pasami i naszyjniki z drogich kamieni. Przyciągnęli łódź do brzegu i umocowali ją. Jednocześnie paw wydał trzykrotny przeraźliwy okrzyk, rozwinął ogon i zniknął.

Dachir i Supramati skoczyli na stopnie schodów. Lecz zanim zdążyli wejść na górny taras, ukazał się Narajana wesoły, uśmiechnięty i bardziej piękny niż kiedykolwiek.

Ubrany był w długą swobodną szatę, ściągniętą w biodrach jedwabną szarfą, na głowie miał lekki turban.

- Witam was, drodzy przyjaciele i proszę do mojego ubogiego domku, - rzekł, ściskając kolejno obydwu.

- Ach, ty żartownisiu! - zaśmiał się Supramati.

- Czarodziejski pałac nazywasz ubogim domkiem!

Jeżeli podobał się wam, to możecie w nim gościć tak długo, jak zechcecie, a właściwie jak pozwoli na to wam surowy nauczyciel, Ebramar, - rzekł uprzejmie Narajana, wprowadzając gości do wnętrza pałacu.

Minęli szereg komnat o cudownej architekturze, przyozdobionych z iście królewskim przepychem. Nie ulegało wątpliwości, że schronisko to było ulubionym miejscem pobytu Narajany we wszystkich epokach jego egzystencji, gdyż obok wspaniałych dzieł wschodniego autoramentu widziało się współczesne europejskie szkice - prace rzeźbiarzy i dzieła mistrzów, które w tym indyjskim pałacu sprawiały dziwne wrażenie.

Narajana zatrzymał się w dużym salonie, którego ozdobą według wschodniego zwyczaju były niziutkie kanapki.

- Zechciejcie, panowie, rozgościć się tutaj, jak u siebie w domu. Obok jest wanna, wobec czego radzę się odświeżyć. Potem zjemy śniadanie, odpoczniemy, a gdy upał nieco osłabnie, oprowadzę was po całej swej pustelni.

Uczyniwszy ręką znak pożegnania, Narajana oddalił się. Supramati przeszedł z Dachirem do sąsiedniego pokoju, który był właściwie olbrzymią salą z ustawionym pośrodku basenem. Basen był tak wielki, że zupełnie swobodnie mogło w nim pływać dwóch ludzi. Oczekiwało na nich dwóch służących, którzy rozebrali ich, a po kąpieli włożyli na nich luźne, lekkie, białe tuniki, po czym poprowadzili do pokoju, wychodzącego na ogród. Przy zastawionym przepysznie stole czekał już na nich Narajana.

- Siadajcie, panowie. Ponieważ jesteście jeszcze prawdziwymi ludźmi, przeto warto się posilić, - rzekł niezwykły gospodarz, siadając do stołu i wskazując krzesła gościom.

Śniadanie składało się ze wspaniale przyrządzonych jarzyn, różnego pieczywa i najrozmaitszych owoców, win, mleka i miodu.

Dachir i Supramati byli głodni więc zaczęli jeść z apetytem. Narajana zaś zadowolił się maleńką szklaneczką mleka i bułeczką wielkości jajka.

Obserwujący go Supramati zapytał z uśmiechem:

- Czy zachowujesz post z rozmysłu, czy też zmuszają cię do tego surowego rygoru szczególne warunki twojej egzystencji?

- O, tak - odrzekł, krzywiąc się, Narajana.

- Czas smacznych obiadów i obfitych kolacji minął dla mnie bezpowrotnie od chwili, gdy dobrowolnie pozbyłem się materialnego życia. Zresztą nie mogę jeszcze narzekać; nie jestem głodny i pochłaniam tylko tyle pokarmu, ile mi potrzeba dla odnowienia życiowego fluidu, który krąży w mych żyłach. Eliksir życia to substancja materialna, nie zaś duchowa, dlatego, aby nie osłabiać swego działania wymaga on pewnego rodzaju opału w organizmie.

- Coraz bardziej zaczynam pojmować, ile jeszcze pracy trzeba poświęcić badaniom pierwotnej materii. Ty sam, Narajano, jesteś w obecnym swym stanie zagadką trudną do rozwiązania. Gdybyśmy opowiedzieli komukolwiek ze współczesnych twoją, albo swoją historię, uważano by nas za potrójnych wariatów, - zauważył Supramati.

Narajana roześmiał się wesoło. - Oczywiście! Te współczesne godne pożałowania owady tułają się po ziemi przeciętnie w ciągu lat sześćdziesięciu, a pycha ich chce objąć przestrzeń stuleci. Natknąwszy się na jakieś nieznane im prawo lub zjawisko, które dlatego wydaje im się czymś nowym, że jest nieznane, - zaczynają wykrzykiwać: “”To cud!”, “To niemożliwe!”, “Nie zgadza się to z prawami natury!”, “Jest to zaprzeczenie zdrowemu rozsądkowi!”.

Ale niespodziany błysk światła olśniewa uczonego, który rozumuje jak automat. Lęka się on nowego zjawiska, które obala wszystkie powzięte przez niego pewniki; broni się, chowa za stare teksty, zamyka oczy na rzeczywistość i woli wynajdywać nieprawdopodobne przypuszczenia i hipotezy, aniżeli zgodzić się na prostą i zrozumiałą prawdę, która przecież jest w sprzeczności z jego płytkimi ideałami. O, nie! Historię naszą moglibyśmy opowiedzieć nie tego rodzaju ludziom. Niekiedy dzięki zaślepieniu tłumów, głupiemu uporowi dyplomowanych uczonych omal nie ginęły nawet wielkie odkrycia.

- Masz rację! - rzekł Dachir. - Jest to dziwne, ale wszelkie objawienie prawdy, podobnie, jak wielkie odkrycia zawsze były przyjmowane wrogo. Pochodzi to zapewne stąd, że uczeni piramid i pagód ukrywali zawsze wyższą wiedzę pod osłoną tajemnicy.

- I czynili rozsądnie. Co zaś dotyczny kapłanów współczesnych religii, to zgubili oni klucz do otwarcia tajemnic i budują swój autorytet na ślepej wierze. Sami jednak są ślepi, a gdy nauka i ludzkość uczynią krok naprzód, zawsze ma to być w ich pojęciu dziełem diabła lub herezją, - dodał ironicznie Narajana.

Po czym ciągnął, zapalając się nagle:

- Ale kto rzucił wzrokiem raz jeden za zasłonę Izydy, dla tego nie masz niemożliwości. Cokolwiek zdolny jest przypuścić ludzki umysł - wszystko to są zjawiska możliwe i łatwe do urzeczywistnienia dla każdego, kto zna prawa, kierujące nami, i potrafi wprowadzić je w ruch. Chrystus obwieścił wielką prawdę, twierdząc, że wiara (pewność, wola) może poruszyć góry.

Supramati, który w zamyśleniu obserwował ruchliwe i wyraźne oblicze swego osobliwego amfitriona, zapytał nagle:

- Powiedz mi, Narajano, czemu, posiadając rozum i znajomość wielkich tajemnic, troszczyłeś się tak mało o własne moralne doskonalenie się i sam obecnie skazałeś się na niezmienność swego istnienia?

Na razie twarz Narajany posmutniała, ale wnet zaśmiał się ostrym, przejmującym śmiechem i zawołał:

- A czy ty masz pewność, że posuwanie się naprzód jest znowu tak wielkim szczęściem? Bo co do mnie, to wątpię. Żyłem nazbyt długo i z nudów nauczyłem się wielu rzeczy - nie tyle dla osiągnięcia moralnej doskonałości, ile dla praktycznego posiłkowania się poznanymi prawami.

Miewałem chwile przygnębienia i wówczas gotów byłem złożyć wizytę niedostępnej świątyni Niebios, aby wreszcie dowiedzieć się, czy choć tam znajdzie spokój nieszczęśliwy, zmęczony i poszarpany płomyk, który nazywamy duszą, a który stworzyła wszechwładna wola bez zapytania, czy też chciałby on żyć. Co się dzieje za tą ognistą ścianą, gdzie jest materia ujarzmiona zupełnie, gdzie nie masz już żadnego doskonalenia się, gdzie wre niezbadana twórcza potęga, w której ukryty jest ten, kto musi być naszym władcą, kogo nazywamy Bogiem, a kto kieruje naszymi losami i naszymi cierpieniami...

Gdy po krótkiej przerwie Narajana zaczął znów mówić, wzrok mu pałał, a pięści zaciskały się groźnie.

- Tak! Pełen rozpaczy, zwątpienia i trwogi na widok tego kołowrotka wspinania się i upadku miałem nieraz niezwalczoną chęć rzucić się na tę jaśniejącą twierdzę, wedrzeć się tam siłą i zobaczyć, co się tam dzieje. Nie dochodzi stamtąd najcichszy nawet głos, nie przejawia się tam żadna widoczna czynność i siedem geniuszów stojących na straży wokoło tego tajemnego ośrodka wszechświata - milczy.

- Dziwi cię to, Supramati, że pragnę zatrzymać się na jednym miejscu? Czy sądzisz, że wznoszenie się w górę jest taką wielką rozkoszą? Wprawdzie chaos i burza walk i cierpień, wśród których kołacze się iskra rozumu, na razie przycichają; ale w miarę jak wstępujesz wyżej, ogarnia cię coraz szerszym kręgiem zgroza, przejęta śmiertelnym milczeniem. Nauczyciele twoi puszczają cię w samopas i zmuszony jesteś posiłkować się zdobytą tylko wiedzą.

Konieczność pcha cię naprzód, a nieubłagane prawo grawitacji ciągnie napowrót do tego tajemniczego środka, skąd wyszedłeś i w którym musisz się pogrążyć. Do jakiego dążymy celu, jaki nas czeka los i przyszłość - tego nikt nie wie. I tak, wałęsając się pomiędzy ciemnotą protoplazmy, a milczeniem ar-

chanioła, odbywamy to osławione wspinanie się na szczyty, którego tak pragniesz, a które mnie przeraża.

Zapadło milczenie. Po dłuższej chwili Narajana wstał i zaproponował obejrzenie pałacu i ogrodów, na co goście zgodzili się chętnie.

Najpierw zwiedzili dom, podobny raczej do muzeum, po czym wyszli do ogrodu, w którym sztuka i natura połączyły się razem i stworzyły prawdziwy raj. Wszędzie panował subtelny przepych i na każdym kroku widać było zgrupowane z niezwykłym smakiem dzieła sztuki.

Wreszcie przystanęli pod grupą palm, akacji i innych drzew, których listowie tworzyło zielone sklepienie, nieprzenikliwe dla słonecznych promieni. Srebrzysty strumień bijącej z marmurowego basenu fontanny chłodził przyjemnym powiewem.

Usiedli na marmurowej ławce i zaczęli rozmawiać o rzeczach, które oglądali przed chwilą z takim zachwytem.

W pewnej chwili Narajana rzekł:

- Upał jest nieznośny. Wróćmy do domu i odpocznijmy. Spotkamy się przy kolacji.

W pałacu Narajana porzucił ich towarzystwo.

Nie poszli spać zaraz, lecz zaczęli oglądać nader cenne dzieła sztuki wszystkich epok, po czym wzięli się do studiowania rękopisów, które wydały im się rzadkością.

Czas uciekał szybko i słońce dosięgło już zenitu, gdy wreszcie zmęczeni położyli się na kanapie i zasnęli.

Zbudził ich Narajana.

- Chodźmy na kolację! - zawołał wesoło. - Słońce już zaszło, a powietrze jest ciepłe i wonne.

Po czym dodał ze śmiechem:

- A co? Dobra byłaby nawet połowa tego życia, jakie ja prowadzę! No, ale weźcie wpierw kąpiel. To dobrze wam zrobi.

W pół godziny potem jeden z pięknych młodzieniaszków, usługujący w pałacu, zaprowadził Dachira i Supramatiego do otwartego salonu, wychodzącego na ogród; przez arkady o cienkich kolumnach widać było ciemne skupiska drzew, poza którymi połyskiwała gładka powierzchnia jeziora.

Salon tonął w subtelnym błękitnawym świetle. Pośrodku stał stół zastawiony bogato.

Na widok wchodzących gości Narajana podniósł się z kanapy, na której leżał, po czym wszyscy zasiedli do stołu. Kolacja była tak samo wspaniała, jak śniadanie.

Gospodarz był wesół i niewyczerpany w rozmowie, wobec czego czas minął szybko.

Gdy wstali od stołu i przeszli na taras, była już noc.

Miliardy gwiazd świeciły na ciemnym lazurze nieba, a wschodzący księżyc obejmował wszystko na ziemi miękkim, pieściwym półświatłem.

Widząc, że ten cudny krajobraz pochłonął całkowicie uwagę gości, Narajana dotknął ramienia Supramatiego i rzekł:

- No i cóż! Czy w dalszym ciągu utrzymujesz, że głupie i karygodne jest moje pragnienie odpoczynku wśród tych cudownych warunków i rozkoszowania się rzeczywistością, zamiast gonić nieznane gwiazdy i szukać gdzieś wątpliwego szczęścia, które pomimo wszystko zmuszony będę osiągnąć bez względu na to, czy chcę, czy nie chcę?

Dachir przerwał mu tonem niezadowolenia.

- Nie sprowadzaj duszy Supramatiego na bezdroża, zwłaszcza w chwili, gdy przysposabia się on do ciężkich trudów wyższego wtajemniczenia, wymagającego przede wszystkim spokoju i skupienia wszystkich władz duchowych.

- Przeciwnie - zaprzeczył Narajana. - Właśnie w tej chwili, gdy Supramati ma zamiar popełnić największe głupstwo i pogrzebać się żywcem, należy pomówić z nim rozsądnie i przedstawić mu wszystkie powaby tego życia, którego chce się pozbyć, nie zakosztowawszy jego słodyczy.

- Bądź spokojny - odrzekł z uśmiechem Supramati.

- Zupełnie mi nie żal podłości życia i pustych, bezmyślnych uciech. Bardziej interesują mnie nowe dziedziny, które odsłania nam zgłębianie wielkich tajemniczych zagadnień.

- Widzę, że jesteś niepoprawny! Ale pomimo, tak negatywnego stanowiska wobec uciech życiowych, musisz, jako mój gość, być na koncercie i balecie, które urządzam dzisiaj wieczorem na waszą

cześć.

Supramati roześmiał się.

- Widocznie służba twoja jest doskonale dobrana, skoro posiadasz własną orkiestrę i balet. Ano zobaczymy!

Narajana westchnął.

- Nie rozporządzam już tymi środkami, jakimi rozporządzałem niegdyś. Ale na szczęście w przestworzach znajdują się zawsze nieźli muzykanci. W głębi zaś tego jeziora spoczywa wiele najpiękniejszych bajaderek, które utonęły ku wielkiemu smutkowi braminów, opiekujących się nimi.

- Narajano, zaklinam cię na wszystkie świętości, abyś nie wskrzeszał tych zmarłych! - zawołał przerażony Supramati.

Uprzejmy gospodarz roześmiał się cicho z pewną ironią.

- NIe krzycz i uspokój się! Nie będę wskrzeszał nikogo. Chodzi tylko o zwykłą materializację, która dostarczy tyleż zadowolenia duchom, wywołanym, co i nam. O świcie wszyscy aktorzy wrócą do świata pozagrobowego.

Więc można rozkoszować się koncertem i baletem z zupełnie spokojnym sumieniem.

Narajana odwrócił się i uderzył w gong, stojący na stole.

W tej chwili zjawiło się dwóch młodych służących.

Jeden przyniósł trójnóg, drugi szkatułkę, które to przyrządy postawili pod balustradą.

Narajana wyjął ze szkatułki flakon i koszyczek. Wyśpiewując półgłosem zaklęcia, wpuścił do węgla kilka kropli czerwonego płynu i rzucił szczyptę proszku.

Momentalnie z trójnoga buchnął gęsty dym, po czym trysnęły snopy iskier, rozpraszając się ognistymi zygzakami we wszystkich kierunkach. Wreszcie ukazały się czerwone, jak krew kule wyleciały w powietrze na kształt rakiet i rozerwały się z hukiem, podobnym do grzmotu. Jedne z nich wpadły do jeziora, burząc jego tonie. Potem zapanowała na chwilę cisza.

Lecz oto ze ścian, z mroków leśnych i z atmosfery zaczęły wysuwać się białe mgiełki, grupując się po jednej stronie tarasu. Stojąc z podniesioną ręką i z płonącym wzrokiem, Narajana, zda się, wydał im dyspozycje. Po upływie kilku chwil połowa tarasu została oddzielona szarą, sfalowaną kotarą, upstrzoną iskrami. Potem rozległa się dziwna muzyka, mieszanina ludzkich głosów i jakichś nieznanych instrumentów. Nie był to ani określony śpiew, ani dźwięki orkiestry; raczej były to fale harmonijnych wibracji, niezwykle subtelnych i mocnych, tworzące melodię równie osobliwą, jak dziwnym był sposób wykonywania tajemniczego koncertu.

Supramati słuchał z zachwytem, jak oczarowany. Gdy nagle od strony jeziora doleciał go przytłumiony głos.

Ujrzał, jak na powierzchni wód wydęła się spieniona fala i popłynęła ku brzegowi; gdy rozprysnęła się o stopnie schodów, ukazało się kilka żeńskich postaci, które raczej płynęły, niż szły ku tarasowi.

Były to młode, piękne hinduskie dziewczątka w wiosennym rozkwicie wieku. Miały na sobie gazowe tuniki, zaledwie osłaniające ich przepyszne kształty. Na głowach, szyjach, rękach i biodrach lśniły im drogie kamienie o różnokolorowych ogniach.

W tej chwili w różnych kulach zapłonęły elektryczne lampy i rzucały na taras potoki światła.

Bajaderki rozpoczęły taniec. Lekkie, zgrabne i pełne życia poruszały się tanecznie, tworząc cudne, plastyczne, ale zarazem tak wyzywające i namiętne figury, jak sama pokusa. Gdy bajaderki skłoniły się dając tym znać, że przedstawienie skończone, Narajana podniósł się i polecił im podejść bliżej.

Należy piękne tancerki uraczyć dobrą kolacją, - rzekł wesoło. - Jest nas trzech, a ich sześć, wobec czego każdy z nas musi zaopiekować się dwiema ślicznotkami.

Wśród śmiechu Supramati i Dachir wzięli za ręce po dwie tancerki i udali się za Narajaną do jadalnego. Stół był znowu zastawiony, ale zamiast jarskich przysmaków, menu składało się z surowego mięsa, chleba i mocnego wina.

Na jadło to pozagrobowe tancerki rzuciły się z pośpiechem i jakąś dziwną żarłocznością, a w miarę, jak nasycały swą chciwość, twarze ich nabierały różowych kolorów, w oczach rozpalał się dziwny ogień. Wreszcie po błyskawicznym pochłonięciu kolacji przysunęły się do Supramatiego i Dachira i zaczęły przymilać się do nich, kusząc ich namiętnymi uśmiechami i pięknością półobnażonych kształtów.

Ale trwało to krótką chwilę, bo oto rozległ się srebrzysty dzwonek i - wszystko zniknęło nagle.

- Ebramar nas wzywa - rzekł Dachir, wstając od stołu.

Supramati przesuwał ręką po czole, jakby zbudzony ze snu, pełnego koszmarów.

- Odprowadzę was, gdyż możecie zabłądzić w podziemnym labiryncie - rzekł Narajana, zamieniając z nimi uścisk dłoni.

Opuścili tajemniczy pałac pod wrażeniem dziwnego niepokoju i wkrótce znaleźli się w swej łodzi.

Zaledwie pierwsze promienie wschodzącego słońca ozłociły horyzont, gdy weszli do ogrodu, przylegającego do pałacu Ebramara.

Minęło dwa tygodnie, w ciągu których nie zdarzyło się nic szczególnego. Rozmawiali, czytali, odbywali spacery i rozkoszowali się przyjemnym wypoczynkiem. Ale pewnego wieczoru po kolacji Ebramar oznajmił:

- Czas już, moje dziatki, wziąść się do pracy. Od jutra Nara obejmuje swoje stanowisko w szkole, a wy przejdziecie pod moje kierownictwo. Pożegnaj się, Supramati, z małżonką! Rozstaniecie się o świcie i odtąd będziecie się widywać bardzo rzadko.

Supramati zbladł. Nadeszła chwila, która go przejmowała takim lękiem - chwila rozłąki z kobietą, kochaną uczuciem ziemskim. Ze ściśniętym sercem szukał smętnymi oczami spojrzenia Nary. Ale w jasnych źrenicach młodej kobiety było takie czyste i głębokie uczucie przywiązania, taka świetlana moc, że szybko odzyskał swe męstwo i spokój.

Podszedł do Nary, przycisnął ją do piersi i pocałował mocno.

- Bądź moją podporą nawet z daleka, gdyż czuję, że żyje we mnie jeszcze ”ziemski” człowiek, któremu może sił nie starczyć na drodze ciernistej.

- Myśl moja nigdy nie opuści ciebie - odrzekła Nara, oddając mu pocałunek i patrząc mu w oczy dobrym, ciepłym spojrzeniem. - Im bardziej dusze nasze bądą siebie szukały, tym bardziej miłość, łącząca nas, będzie niezłomna.

Powiedziawszy to, uczyniła ręką znak pożegnalny i wyszła z pokoju.

Nazajutrz, za dnia, zjawił się Sndir i przyniósł ojcu długą białą tunikę, obszytą pomarańczową wstążką i szarfę tegoż koloru, którą miał opasać biodra.

- Jest to ubranie uczniów wyższego wtajemniczenia - rzekł, pomagając Supramatiemu przebrać się.

Po czym zaprowadził go do niewielkiego pokoju, w którym czekał już Dachir, ubrany tak samo.

Prawie jednocześnie ukazał się Ebramar i zamienił ze swymi uczniami przyjacielskie powitanie.

Udali się tą samą drogą, którą niedawno prowadził ich do Narajany tajemniczy paw.

Jak poprzednio, tak i teraz zeszli do podziemnej groty, minęli wąski, wyżłobiony w skale korytarz i znaleźli się na kanale. Wsiedli do łodzi, która na nich czekała. Ebramar sterował.

Wkrótce skręcili do bocznej galerii. Po pewnym czasie dopłynęli do stopni, zagradzających im drogę przez całą szerokość kanału.

Gdy przystanęli, Supramati ujrzał przed sobą monumentalne wejście do podziemnej w galerii, upiększonej olbrzymimi symbolicznymi posągami. Wnętrze było podobne do groty albo do olbrzymiej sali z kolumnami, rozstawionymi nieco bezładnie. Ściany od góry do dołu były pokryte niezwykle oryginalnymi rzeźbami cudownej roboty. Wszystko tonęło w błękitnym, miękkim, choć silnym, świetle.

- Jakaż cudna robota! Co za wielkoludy wykonywały tę pracę i ileż wieków zużyły na to? - zawołał w zachwycie Supramati.

- Ten podziemny świat - odrzekł zciszonym głosem Ebramar - zawierający w sobie wiele cudów, których sobie nawet nie wyobrażasz, stworzyła czarna rasa u szczytu swej umysłowej i kulturalnej chwały.

Po czym kazał uczniom zatrzymać się i czekać na niego, sam zaś zniknął za purpurową kotarą, zasłaniającą wnętrze galerii.

Supramati zaczął rozglądać się dokoła z ciekawością. Nagle uwagę jego zwrócił dochodzący z daleka, lecz niewątpliwie coraz bliższy śpiew. Wkrótce z bocznej galerii wyszedł chór kobiet ubranych biało i okrytych zasłonami. Na przodzie szły: Wajrami i Nara, prowadząc między sobą Nurwadi. Nie przerywając śpiewu, kobiety ustawiły się półkolem. Gdy umilkły, skończywszy hymn, rozległ się chór męskich głosów i z innej galerii wyszła nowa procesja, tworząc drugie półkole.

Wreszcie i te głosy umilkły. Zapadła głęboka, uroczysta cisza. Po czym kotara uchyliła się i ukazał się Ebramar w towarzystwie kilku mężczyzn, ubranych tak, jak on, w śnieżnobiałe, lśniące stroje. Ebramar trzymał w ręku kielich, podobny do tego, jaki Supramati widział w przybytku Graala. Nad kielichem

unosiła się złotawa mgiełka.

Nara i Wajrami podeszły do maga i uklękły. Dwaj współtowarzysze Ebramara zdjęli długą zasłonę z kapłanki i zakryli nią jasną głowę Nary.

- Idź, córko moja, i pracuj nie tylko dla siebie, ale i dla swoich towarzyszek życia - rzekł Ebramar, zbliżając kielich do ust młodej kobiety.

Zwilżyła wargi złocistą mgiełką i pogrążyła się w głębokiej modlitwie. Po chwili z całego jej ciała zaczęło wydzielać się białe światło, tworzące wokół niej jakby aureolę.

Z kolei Ebramar zwrócił się do Wajrami:

- Pragnieniom twoim stało się zadość. Możesz już poświęcić się samotnej pracy i zgłębianiu nauki. Gdy przyjdzie czas wezwę cię.

Rzekłszy to, również podsunął jej kielich. Gdy Wajrami wzięła do ust kilka kropli płynu, powtórzyło się z nią to samo zjawisko, co z Narą, ale w większym stopniu. Białe światło skupiło się nad czołem Wajrami tak silnie, że zdawało się, iż twarz młodej kobiety rozjaśnia ogień, podczas gdy zapadła w stan ekstatyczny. Nagle zachwiała się, uniosła w powietrzu i zniknęła w gęstym obłoku, który ogarnął ją całą, podniósł w górę i pomknął razem z nią.

Wówczas Nara wróciła do kobiet, stanęła na ich czele i nakrywszy głowę Nurwadi zasłoną, zniknęła ze swym dworem w podziemnej galerii. Mężczyźni również odeszli w milczeniu i wkrótce w olbrzymiej grocie pozostali tylko dwaj przyjaciele: Dachir i Supramati.

- Wróćmy do domu - odezwał się Dachir.

- Z Ebramarem zobaczymy się dopiero jutro, kiedy nam wskaże miejsce przeznaczone do naszej nowej pracy - wtajemniczenia.

Wróciwszy do domu udali się do swoich pokoi milczący i zafrasowani.

Supramati położył się na kanapie i ścisnął głowę oburącz. Rozszalały się w nim bezładne myśli i uczucia. Od dawna już nie był tak przybity swym dziwnym losem, jak w tej chwili. Rozłąka z Narą odzywała mu się w sercu bolesną nutą, sprawiając ból niemal fizyczny. Przerażała go olbrzymia, niedokonana jeszcze praca, a bezkresne życie, którego już nie mógł się pozbyć przejmowało go wstrętem i doprowadzało do rozpaczy.

Po twarzy potoczyły mu się łzy. Ale w tej chwili odniósł wrażenie, jak gdyby ktoś pieszczącą ręką przesunął po jego czole, a drogi, znany mu głos szepnął na ucho:

- Patrz w przyszłość, zamiast spozierać poza siebie! Nie jesteś sam. Nic nas nie rozłączyło, gdyż dusza moja widzi cię i słyszy. Pracuj, mój ukochany, idź odważnie naprzód, a wkrótce posiądziesz szczęście. Będziesz mnie widział i mówił ze mną swobodnie. Już nie rozłączy nas cielesna materia.

Głos umilkł i Supramati poczuł w sobie dziwny spokój i przypływ sił.

Ukląkł w pokorze i modląc się żarliwie, błagał Stwórcę o dodanie mu otuchy i sił, aby mógł godnie dźwigać swój zagadkowy dziwnie zrządzony los.

Gdy podniósł się z klęczek, wróciło mu dobre samopoczucie. Siadł w oknie i w zamyśleniu patrzył na czarodziejski obraz, rozpostarty w dali. Zaczął myśleć o przyszłości jak radziła mu Nara.

Z przeszłością było zerwane. Życie świeckie zniknęło we mgle oddalenia. Zanim wśród ludzi zjawi się znowu, upłyną lata, a może wieki. Wszystko stanie się inne i w nim i wokół niego. Czyż warto mieć współczucie dla przemijających nieszczęść i mąk, dla zaślepionych w żądzy istot, które same na siebie ściągają gniew Boży.

- O, nie! Po tysiąc razy nie! Czuję się szczęśliwy, że oto ma przed sobą rozległy horyzont i może iść otwartą drogą ku świetlanej dziedzinie czystej nauki.

- A więc żegnaj, mroku przeszłości mimo swych przelotnych uciech! Naprzód, do światła! - zawołał.

Koniec Magów.

„ ~~Eliksir życia~~ ”

„ ~~Magowie~~ ”

Ciąg dalszy w księgach:

„Gniew Boży” 2 tomy